NATIONAL GEOGRAPHIC EXTRA | NR 03(32)/2026 | Cena 29,99 zł (w tym 8% VAT)

INSPIRUJĄCY
PRZEWODNIK
DLA KAŻDEGO

NATIONAL GEOGRAPHIC
TRAVELER

32 TRASY
TREKKINGOWE W EUROPIE

SZLAK ŚW JAKUBA | CHORWACJA | TATRY | SWANETIA | ANGLIA | RUMUNIA | ALBANIA | WYSPY OWCZE



ISSN 2450-1247
03
9 772450 124629

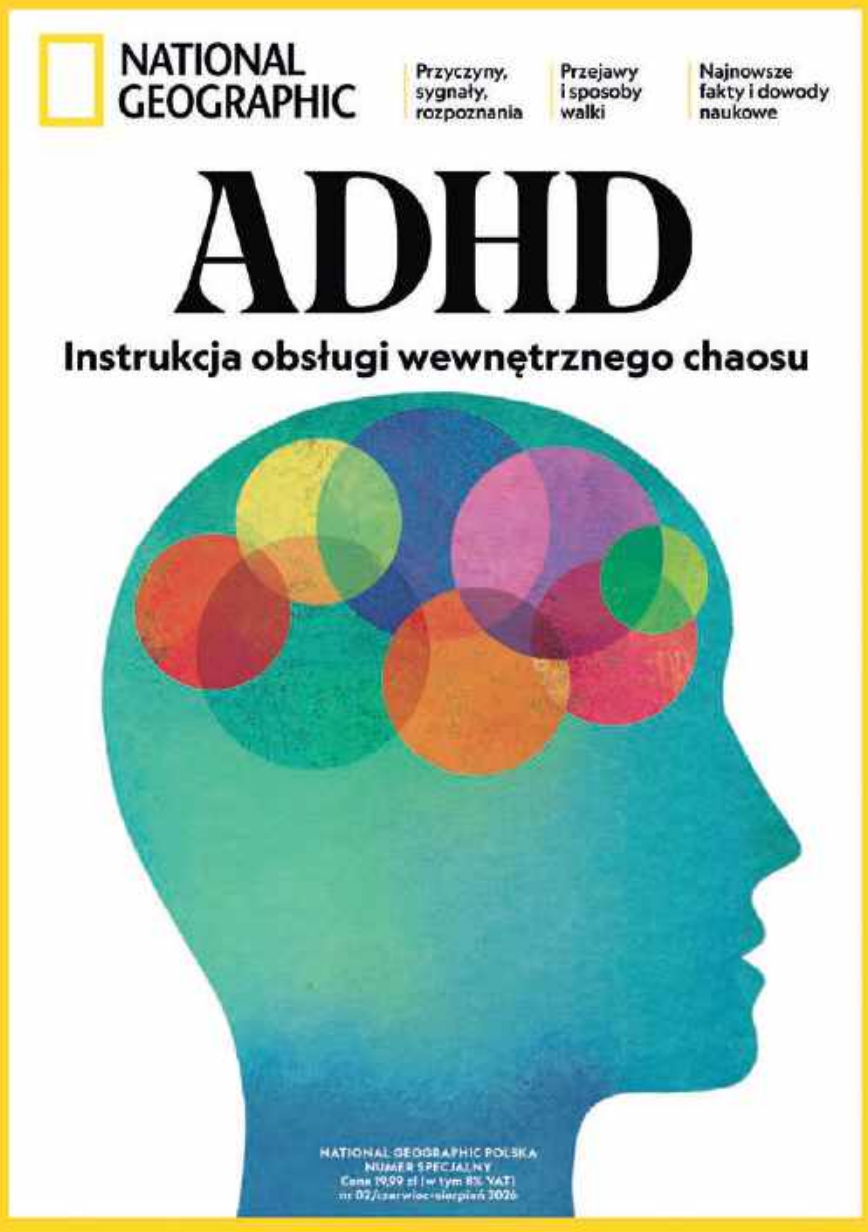






eprasa.pl a72af8dce1

JUŻ W SPRZEDAŻY!



KUP PRENUMERATĘ ONLINE

www.national-geographic.pl

natgeopl



Na Maderze jest ok. 3 tys. km lewad, którymi dotrzemy do najbardziej niezwykłych miejsc tej wyspy.

Po co ci to – często pyta głos w mojej głowie, gdy bosymi stopami dotykam zimnej podłogi w schronisku. Przecież mogłam leżeć gdzieś na plaży w jakimś ciepłym resorcie i leniuchować. Jednak kwadrans później, gdy rześkie górskie powietrze rozpiera moje płuca, ten sam głos milknie. Bo gdy poranna mgła niczym kurtyna unosi się nad doliną, odsłaniając monumentalne poszarpane szczyty Dolomitów, a pierwsze promienie słońca barwią skały na nierealny różowy kolor, pojawia się odpowiedź. Właśnie tutaj, w takich okolicznościach natury, czuję się naprawdę szczęśliwa. Nie zostaliśmy stworzeni do siedzenia, potrzebę ruchu mamy w genach i ten gen co jakiś czas wzywa mnie na szlak. Stąd w tym wydaniu *Travelera* proponujemy Wam to, co sami uważamy za jeden z najbardziej wartościowych sposobów spędzania wolnego czasu. To przygoda na najpiękniejszych szlakach trekkingowych



Europy. Zabieramy Was na Maderę, która jest niczym ogród pływający po Atlantyku. Jej jednym z najcenniejszych skarbów są lewady, XIX-wieczne kamienne kanały nawadniające, które zawiodą nas do świata fantasy, gdzie roślinność pamięta jeszcze czasy sprzed epoki lodowcowej. Jeśli Madera jest medytacją w zieleni, Ścieżka Króla (Caminito del Rey) w hiszpańskim wąwozie El Chorro to czysta adrenalina, dosłownie spacer nad przepaścią. Islandia z kolei to jak inna planeta. Mój mózg miał problem z przetworzeniem tamtejszej dawki piękna. Setek wodospadów, szmaragdowo-fioletowych łąk, gór w kolorze tęczy czy czarnych plaż migocących lodowymi diamentami. Mimo upływu czasu wciąż to pamiętam. A wspomnienia o deszczu, błocie, zimnie i zmęczeniu się wykasowały. Cieszę się, że jak wynika ze statystyk, coraz więcej z nas docenia ten rodzaj aktywności, dlatego życzę Wam wielu niezapomnianych chwil na szlaku.

Agnieszka Fremus

NA OKŁADCE:
Islandia: Getty Images,
Norwegia: Getty Images,
Hiszpania: Getty Images,
Portugalia: Shutterstock.

ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1



W STRONĘ SPOKOJU

NERWOWE ODLICZANIE KILOMETRÓW. WYŚCIG OD JEDNEJ STACJI DO DRUGIEJ. PRZYMUSOWY POSTÓJ ZAMIAST NATURALNEJ PRZERWY. WŁAŚNIE TAK JESZCZE NIEDAWNO WIELE OSÓB WYOBRAŻAŁO SOBIE PODRÓŻ ELEKTRYKIEM. TO JUŻ PIEŚŃ PRZESZŁOŚCI. DZIŚ ELEKTROMOBILNOŚĆ CORAZ CZĘŚCIEJ OZNACZA SPOKOJNIEJSZE TEMPO, WYJĄTKOWY KOMFORT I WIĘKSZĄ UWAŻNOŚĆ NA TO, CO ZA OKNEM. ŚWIETNIE WIDAĆ TO NA PRZYKŁADZIE NOWEJ MAZDY 6e.

Jeszcze kilka lat temu samochody elektryczne kojarzyły się głównie z miastem – z jeżdżeniem do pracy czy na zakupy. Ograniczony zasięg i mała liczba ładowarek sprawiały, że dłuższe trasy wydawały się logistycznym wyzwaniem. Dziś wygląda to zupełnie inaczej. Sieć punktów ładowania stale się rozwija, a nowe modele pozwalają podróżować spokojniej i wygodniej także poza miastem. Sama droga zaczyna mieć przy tym inny rytm. Nie chodzi już tylko o szybkie dotarcie do celu, lecz o komfort i możliwość złapania oddechu. Postój przy ładowarce coraz częściej zamienia się w chwilę na kawę, obiad albo krótki spacer. W taki styl podróżowania idealnie wpisuje się Mazda6e.

LEKKOŚĆ RUCHU

Nowy elektryczny model Mazdy powstał zgodnie z filozofią „Kodo – Dusza Ruchu". Smukła sylwetka inspirowana coupé sprawia, że samochód wygląda dynamicznie nawet wtedy, gdy się nie rusza. Niska linia dachu, czyste powierzchnie i precyzyjne proporcje składają się na wrażenie, że auto sunie tuż nad asfaltem. Równoległe linie biegnące wzdłuż boków podkreślają zgrabną sylwetkę i nadają bryle lekkości. Efekt świetlistej przestrzeni w dolnych partiach drzwi jest inspirowany mgłą wodną unoszącą się wokół szybkiej łodzi motorowej. Bezramkowe drzwi nadają bryle wyrafinowanego charakteru, a elektrycznie wysuwany tylny spojler poprawia stabilność przy wyższych prędkościach. W tym modelu znaczek Mazdy, czyli motyw skrzydła, zyskał z przodu podświetlenie i podczas ładowania delikatnie pulsuje. Mazda6e jest też samochodem bardzo praktycznym. Pięciodrzwiowe nadwozie typu hatchback oferuje bagażnik o pojemności 466 litrów, a po złożeniu tylnych siedzeń – nawet 1074 litrów. Dodatkowy schowek z przodu pozwala przewozić przewody ładowania lub torby podróżne.

W DROGĘ BEZ STRESU

W przypadku samochodów elektrycznych największe emocje wciąż budzi temat zasięgu. Mazda6e została stworzona właśnie

eprasa.pl a72af8dce1





Bezpośrednio za kierownicą znajduje się cyfrowy zestaw wskaźników o przekątnej 10,2 cala, na którym powtórzone są kluczowe informacje z wyświetlacza head-up, uzupełnione o dane dotyczące jazdy i stanu pojazdu.

po to, by „oswoić" te dłuższe podróże i pokazać, że elektromobilność może być intuicyjna. Podstawowa wersja modelu ma akumulator o pojemności 68,8 kWh i oferuje zasięg do 479 kilometrów. Silnik rozwija moc 190 kW (258 KM), a napęd trafia na tylne koła. Szczególnie ważne podczas dalszych tras jest oczywiście szybkie ładowanie. Uzupełnienie energii od 10 do 80 procent trwa około 24 minut, a kwadrans przy ładowarce pozwala zwiększyć zasięg nawet o 235 kilometrów. Dla kierowców planujących jeszcze dalsze wyjazdy przygotowano odmianę Mazda6e Long Range. Większy akumulator o pojemności 80 kWh pozwala zwiększyć zasięg do 552 kilometrów. Samochód wspiera kierowcę w planowaniu podróży, wskazuje punkty ładowania i przewiduje poziom energii po dotarciu do celu.



Interfejs inspirowany smartfonami pozwala szybko zarządzać funkcjami auta.



Przestronny bagażnik sprawia, że Mazda6e świetnie odnajduje się w dalszych trasach.

KOMFORT ZA KIEROWNICĄ

Wnętrze Mazdy 6e zaprojektowano zgodnie z japońską filozofią Ma, opartą na harmonii i ograniczeniu nadmiaru bodźców. Kabina ma uporządkowaną formę, a najważniejsze informacje rozmieszczono tam, gdzie naturalnie pada wzrok kierowcy. Centralnym elementem jest ekran o przekątnej 14,6 cala z interfejsem inspirowanym smartfonami. Towarzyszą mu cyfrowe wskaźniki oraz wyświetlacz head-up prezentujący kluczowe informacje bez konieczności odrywania wzroku od drogi. Mazda6e obsługuje także sterowanie głosem i gestami. W trasie równie ważny staje się komfort akustyczny. Elektryczny napęd pracuje niemal bezgłośnie, a wielowahaczowe zawieszenie tłumi nierówności, więc nawet wielogodzinna podróż przebiega spokojniej i mniej męczy pasażerów. Kabina wykończona została jakościowymi materiałami – od skóry ekologicznej, przez skórę Nappa, aż po zamsz w wyższych wersjach wyposażenia.

ELEKTRYCZNY BALANS

Mazda od lat rozwija filozofię Jinba-Ittai, zakładającą poczucie jedności między kierowcą a samochodem. W nowym modelu ta idea została przeniesiona do elektromobilności. Każdy szczegół przekłada się na precyzyjne prowadzenie, intuicyjną reakcję i naturalne poczucie kontroli. Mazda6e to dowód, że podróż może wyglądać inaczej niż dotąd – ciszej, spokojniej i bardziej świadomie. W świecie nieustannego pośpiechu taki rytm często okazuje się największym luksusem.

Minimalistycznie zaprojektowana konsola środkowa podkreśla nowoczesny charakter wnętrza.

Poznaj Mazdę 6e:



eprasa.pl a72af8dce1


GRECJA


RUMUNIA


PORTUGALIA


NORWEGIA

SPIS TREŚCI

32 TRASY TREKKINGOWE

10 PORTUGALIA

10 **PRZEZ ZIELEŃ**
Słynne lewady na Maderze są idealnym miejscem do medytacji

18 **NA DACHU MADERY**
Trasa widokowa na najwyższy szczyt archipelagu

24 **ROZKOSZ WĘDRÓWKI**
Szlakiem Rota Vicentina wzdłuż najdzikszego wybrzeża południowej Europy

32 **AZORY DLA AKTYWNYCH**
Ten archipelag jest rajem dla wędrowców

40 HISZPANIA

40 **NA ŚCIEŻCE KRÓLA**
Caminito del Rey w Andaluzji – im wyżej, tym piękniej

46 **JAKUB I ŚWIĘTA KOMPANIA**
Pielgrzymka do Santiago de Compostela w Galicji

54 **ZAPOMNIANE ŚCIEŻKI**
Szlak Cavalls del Vent to wspaniały sposób na poznanie Pirenejów

62 ISLANDIA

62 **TĘCZOWE GÓRY**
W krainie elfów, lodowców i kosmicznych kolorów

72 CHORWACJA

72 **CAŁY DZIEŃ NA SZLAKU**
Wymagająca trasa przez góry Biokovo

78 WIELKA BRYTANIA

78 **OD MORZA DO MORZA**
Coast to Coast Walk w północnej Anglii to 293 km przygody

86 GRUZJA

86 **SERCE KAUKAZU**
Tuszetia to jeden z najbardziej pierwotnych zakątków kraju

96 **W KRAINIE SWANÓW**
Pośród kamiennych wież i spektakularnych krajobrazów

104 POLSKA

104 **OLŚNIENIE W TATRACH**
Poczochraj owce, zagadaj juhasa

112 **KRÓLOWA BIESZCZAD**
Połonina Caryńska to dla miłośników gór obowiązkowy klasyk

eprasa.pl a72af8dce1



SHUTTERSTOCK (3), ADOBE STOCK

WYBÓR NAJLEPSZYCH TEKSTÓW *TRAVELERA*

118 **TOP 5 POLSKICH SZLAKÓW**
Najpiękniejsze trasy na Podlasiu, Podkarpaciu, Dolnym Śląsku i w Małopolsce

120 **SŁOWACJA**

120 **GÓRY, DOLINY I SPOKÓJ**
Po słowackiej stronie Tatr

128 **NORWEGIA**

128 **GRZBIETEM JASZCZURA**
Park Narodowy Jotunheimen rozpieszcza wędrowców

134 **RUMUNIA**

134 **W KRAINIE NIEDŹWIEDZI**
Z Gór Fogaraskich trudno jest wrócić do cywilizacji

142 **GRECJA**

142 **PRZEZ WIELKI KANION**
W regionie Epir doświadczycie zupełnie innej Grecji

150 **WŁOCHY**

150 **KONCERT MIĘDZY SZCZYTAMI**
Dolomity są niczym kompres dla duszy

156 **ALBANIA**

156 **GÓRY PRZEKLĘTE**
Kiedyś przyciągały śmiałków i zbiegów, a dziś miłośników wędrówek

164 **DANIA**

164 **WYSPA DLA POCZĄTKUJĄCYCH**
Na Bornholmie pokochacie wędrówki

172 **ZAKOSAMI NA SZCZYT**
Jedziecie na Wyspy Owcze? Uważajcie na elfy!

NATIONAL GEOGRAPHIC
TRAVELER

ng@burdamedia.pl
www.national-geographic.pl

REDAKTOR NACZELNY **ŁUKASZ ZAŁUSKI**
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO **AGNIESZKA FRANUS**
REDAKTOR PROWADZĄCY / SEKRETARZ REDAKCJI **MICHAŁ CESSANIS**
DYREKTOR ARTYSTYCZNA **WIOLETTA WIŚNIEWSKA**
FOTOEDYTORZY **TERESA TULEJA, ROMAN TUROS**
GRAFIK **KRZYSZTOF STYPUŁKOWSKI**
KARTOGRAFKA **JOANNA KOPKA**
KOREKTOR **TOMASZ CHOLAŚ**

ZESPÓŁ:
REDAKTORKI **DANUTA ŚMIERZCHALSKA, AGNIESZKA MICHALAK**
REDAKTORZY ONLINE: **JAN STRADOWSKI, SZYMON ZDZIEBŁOWSKI, MAGDALENA RUDZKA, KATARZYNA KOGUT, SABINA ZIĘBA, JONASZ PRZYBYŁ**

WSPÓŁPRACOWNICY
DZIENNIKARZE **BARBARA ŻUKOWSKA, AGNIESZKA BIELECKA, BARTEK KAFTAN, JULIA ZABRODZKA, MICHAŁ GŁOMBIOWSKI, PAWEŁ KEMPA, KATARZYNA KACHEL, ANNA KŁOSSOWSKA, JOANNA LAMPARSKA, ZUZANNA O'BRIEN, WIKTORIA MICHAŁKIEWICZ, RADOSŁAW ŻYDONIK, PIOTR MILEWSKI, SERGIUSZ PINKWART**
FOTOGRAFOWIE **TOMASZ TOMASZEWSKI, MAREK ARCIMOWICZ, PAWEŁ MŁODKOWSKI, MIKOŁAJ NOWACKI, MARCIN DOBAS, ADAM BRZOZA**

PATRONATY MEDIALNE **patronaty-ng@burdamedia.pl**
REDAKCJA ONLINE **NG@BURDAMEDIA.PL**
REDAKTOR PROWADZĄCY **JAN STRADOWSKI**
REDAKTOR MEDIÓW SPOŁECZNOŚCIOWYCH **KATARZYNA KOGUT**
STRONA INTERNETOWA **WWW.NATIONAL-GEOGRAPHIC.PL**

Wydawca czasopisma National Geographic Traveler ostrzega P.T. sprzedawców, że sprzedaż aktualnych i archiwalnych wydań magazynu po cenie innej niż wydrukowana na okładce jest działaniem na szkodę Wydawcy i grozi odpowiedzialnością sądową.

WYDAWCA
BURDA MEDIA POLSKA SP. Z O.O., CZŁONEK IZBY WYDAWCÓW PRASY, UL. MARYNARSKA 15, 02-674 WARSZAWA, TEL. (22) 360 39 09, WWW.BURDAMEDIA.PL

LICENCJOBIORCA **NATIONAL GEOGRAPHIC SOCIETY**

ZARZĄD
CHIEF EXECUTIVE OFFICER **MACIEJ KLEPACKI**
CHIEF OPERATING OFFICER **TOMASZ JAŻDŻYŃSKI**

REKLAMA
BIURO.REKLAMY@BURDAMEDIA.PL
SALES DIRECTOR MULTIMEDIA LUXURY & LIFESTYLE **MAŁGORZATA GURBAŁA**
LUXURY & PEOPLE TEAM LEADER **EWELINA DORDA**
ZESPÓŁ **DOMINIKA CHOJNOWSKA, ANNA URBANIAK**
KOORDYNATOR WYDANIA **EDYTA BRZEZICKA**

DZIAŁ MARKETINGU
DIRECTOR MARKETING LUXURY & LIFESTYLE **MAŁGORZATA NOCUŃ-ZYGMUNTOWICZ**
BRAND MANAGER **WIKTORIA BUGAŁA**
BUSINESS ANALYST AND DEVELOPMENT MANAGER **EDYTA PIECYK**

PRODUKCJA
DYREKTOR PRODUKCJI **KRZYSZTOF KRASZEWSKI**

DYSTRYBUCJA
DYREKTOR DYSTRYBUCJI I PRENUMERATY **TOMASZ KAŁUŻA**

PRENUMERATA I SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA
CUSTOMER SERVICE COORDINATOR **MARIOLA BURDECKA**
BIURO OBSŁUGI KLIENTA, UL. MARYNARSKA 15, 02-674
WARSZAWA, INFOLINIA TEL: (22) 360 39 09 (PON.-PT. GODZ. 9.00–17.00),
E-MAIL: BOK@BURDAMEDIA.PL,
NUMER RACHUNKU DO WPŁATY ZA PRENUMERATĘ: ING 04 1050 0086 1000 0090 3172 2706

Copyright © 2016 National Geographic Partners, LLC. All rights reserved. National Geographic Traveler: Registered Trademark ® Marca Registrada. National Geographic nie ponosi odpowiedzialności za materiały niezamówione.

NATIONAL GEOGRAPHIC SOCIETY
CHIEF EXECUTIVE OFFICER **DR. JILL TIEFENTHALER**I
SENIOR MANAGEMENT PRESIDENT AND CHIEF OPERATING OFFICER **MICHAEL L. ULICA**
CHIEF DIVERSITY, EQUITY, & INCLUSION OFFICER **SHANNON P. BARTLETT**
CHIEF COMMUNICATIONS, MARKETING, & BRAND OFFICER **CRYSTAL BROWN**
CHIEF HUMAN RESOURCES OFFICER **MARA DELL**
CHIEF SCIENCE & INNOVATION OFFICER **IAN MILLER**

NATIONAL GEOGRAPHIC
TRAVELER

EDITOR IN CHIEF **NATHAN LUMP**
EXECUTIVE MANAGING EDITOR **DAVID BRINDLEY**
EXECUTIVE CREATIVE DIRECTOR **PAUL MARTINEZ**
EXECUTIVE DIRECTOR, DIGITAL **ALISSA SWANGO**
EXECUTIVE DIRECTOR, MULTIPLATFORM CONTENT **MICHAEL TRIBBLE**

INTERNATIONAL EDITIONS
EDITORIAL DIRECTOR **AMY KOLCZAK**
EDITORIAL SPECIALIST **LEIGH MITNICK**

eprasa.pl a72af8dce1

WYBIERZ SIĘ W POD

ZAMÓW PRENUMERATĘ JUŻ DZIŚ!

ROCZNY PAKIET PRENUMERAT
MAGAZYNÓW TRAVELER
I TRAVELER EXTRA

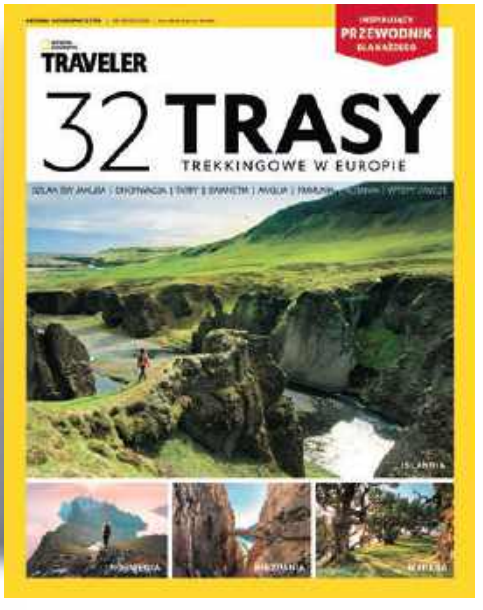
195 zł

Cena regularna 12 magazynów TRAVELER i 4 magazynów TRAVELER EXTRA poza prenumeratą wynosi **295,84 zł**



Otrzymujesz:

- **12 wydań** TRAVELERA
- **4 wydania** TRAVELERA EXTRA
- **Darmową dostawę do domu**



ROCZNA PRENUMERATA
MAGAZYNU TRAVELER
EXTRA BOOKAZINE

99 zł

Cena regularna 4 magazynów TRAVELER EXTRA BOOKAZINE poza prenumeratą wynosi **119,96 zł**

Otrzymujesz:

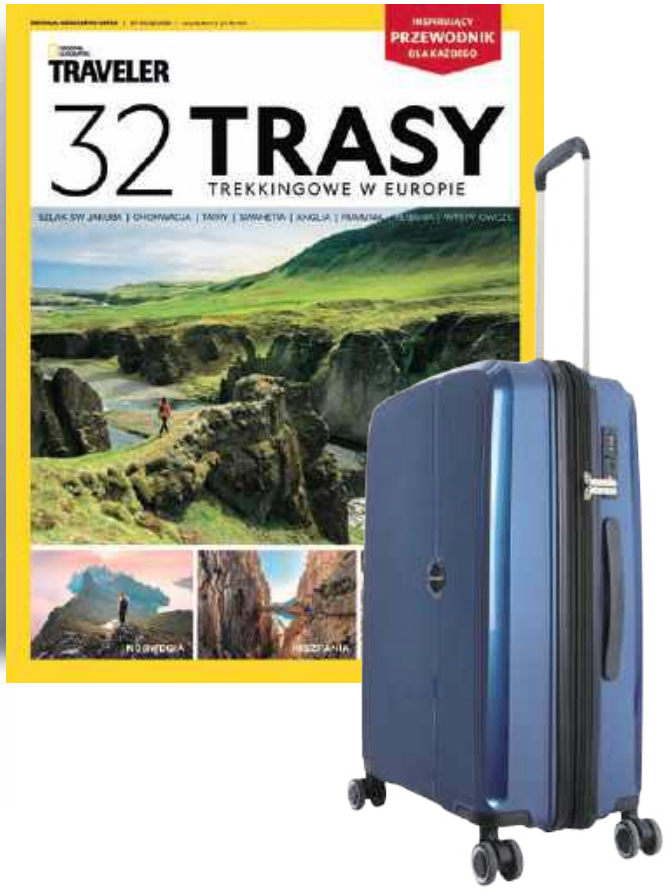
- **4 wydania** Travelera Extra Bookazine
- **Darmową dostawę do domu**

Zamów na **kultowy.pl** lub u Opiekuna Prenumeraty:

+48 22 360 39 09 **kontakt@bok.burdamedia.pl**

eprasa.pl a72af8dce1

RÓŻ Z TRAVELEREM



ROCZNA PRENUMERATA MAGAZYNU TRAVELER EXTRA BOOKAZINE z walizką kabinową **SAXOLINE HOLIDAY EXPRESS** (S/Navy)

265 zł

Cena regularna 4 magazynów TRAVELER EXTRA BOOKAZINE i walizki SAXOLINE HOLIDAY EXPRESS (S/Navy) poza prenumeratą wynosi **399 zł**

Otrzymujesz:

- **4 wydania** Travelera Extra Bookazine
- Walizkę kabinową **SAXOLINE HOLIDAY EXPRESS** (S/Navy)
- **Darmową dostawę do domu**



WALIZKA SAXOLINE HOLIDAY EXPRESS to produkt który charakteryzuje się nowoczesnym designem, a do tego posiada płaski zamek szyfrowy TSA, dzięki czemu zabezpieczysz zawartość przed kradzieżą. Została wykonana z w 100% z polipropylenu, więc skorupa jest stosunkowo lekka i wytrzymała na pęknięcia oraz drobne zarysowania. Prosty ale elegancki wygląd na pewno spodoba się każdemu. Bardzo dobrze sprawdzi się w podróży - cztery podwójne kółka, rączka górna, wysuwana i blokowana rączka na stelażu, płaski zamek szyfrowy, wewnętrzna komora na suwak i druga z pasami przytrzymującymi bagaż sprawi, że podróż która zaczyna się od pakowania będzie od początku przyjemnością.

Zamów na **kultowy.pl** lub u Opiekuna Prenumeraty:

+48 22 360 39 09 **kontakt@bok.burdamedia.pl**

eprasa.pl a72af8dce1



TEKST **MARZENA MRÓZ**

PRZEZ ZIELEŃ

SŁYNNE MADERSKIE LEWADY TO MIEJSCA IDEALNE NA WĘDRÓWKĘ, KTÓRA MOŻE SIĘ WRĘCZ STAĆ MEDYTACJĄ.



Trasa Levada do Rei rozpoczyna się w São Jorge, a kończy przy strumieniu Bonito Ribeiro.

32 TRASY TREKKINGOWE
PORTUGALIA/MADERA



Do lasu Fanal na płaskowyżu Paul da Serra, słynącym z fantazyjnie powykręcanych drzew laurowych, można dotrzeć szlakiem PR 14 Levada dos Cedros.



Szlaki wzdłuż lewad prowadzą przez wilgotny las wawrzynowy, pośród gęstych paproci.



Wędrując lewadami, można podziwiać najpiękniejsze widoki na ocean rozciągające się ze stromych klifów.

eprasa.pl a72af8dce1



SHUTTERSTOCK (2), GETTY IMAGES (2), POPRZEDNIE STRONY: GETTY IMAGES

Wędrując po Maderze, znalazłam przełęcze niczym z Machu Picchu, tarasowe pola jak z Bali, czarne plaże jak z Islandii, kwiaty hawajskich plumerii i drzewa z dojrzewającymi właśnie owocami kiwi – niczym na Nowej Zelandii. To wulkanicznego pochodzenia „maleństwo" na Atlantyku, oddalone od wybrzeży Afryki o niespełna 680 km, opływają delfiny i wieloryby, więc klimat ma również iście karaibski. Po raz pierwszy od dawna pomyślałam, że jest to przystań, w której chciałabym zostać na dłużej. Bo po co jechać dalej, skoro na Maderze jest cały świat? Świat, który na dodatek można obejść wąskimi, wydrążonymi w kamieniu ścieżkami – lewadami.

ŚCIEŻKI WODY

Portugalskie *levadas* to niesamowite osiągnięcie XVI-wiecznych inżynierów wynalazców. Za pomocą skomplikowanego systemu kanałów i śluz rozprowadzają one wodę deszczową po stromych zboczach gór, nawadniając pola uprawne ułożone na tej niewielkiej wyspie w sposób tarasowy. Ich nazwa pochodzi od czasownika *levar* oznaczającego „nieść", „doprowadzić". Lewady miały za zadanie dostarczenie wody z północnej części wyspy na bardziej suchą południową stronę. Pozwoliło to na uprawę trzciny cukrowej i budowę młynów. Lewady, często ręcznie wykuwane przez ludzi na wulkanicznym podłożu, stały się nieodłącznym elementem historii, kultury i krajobrazu Madery niemal od początku osadnictwa, czyli od pierwszej połowy XV w. To wtedy na niezamieszkaną wcześniej wyspę dotarli portugalscy żeglarze: Tristão Vaz Teixeira, Bartolomeu Perestrelo i João Gonçalves Zarco. Ponieważ tę nową ziemię porastał gęsty las, nazwali ją Madeira, od portugalskiego słowa oznaczającego „drewno". To oni przywieźli tu doświadczenie Maurów, którzy podobne systemy irygacyjne tworzyli już wcześniej – na Półwyspie Iberyjskim. Nigdzie indziej na świecie nie powstał jednak system aż tak konsekwentnie rozbudowywany, który do tego stałby się wręcz symbolem danego miejsca. Maderę przecina ponad 200 lewad, wytyczonych na przestrzeni kilku stuleci, o łącznej długości 3,1 tys. km. W XX w. okazało się, że są one nie tylko świetnym rozwiązaniem technologicznym, ale także atrakcją turystyczną. Pierwsze lewady były krótkie, część z nich została wycięta w ścianach gór, a 25 km prowadzi przez specjalnie wydrążone tunele. Później konstruowano je z bazaltowych kamieni, tak by miały głębokość od 50 do 70 cm i przekrój poniżej jednego metra. W drugiej połowie XX w. do budowy zaczęto używać betonu, a wtedy ich średnica zwiększyła się do ponad metra. Liczący kilkaset lat system działa do dziś. Lewady wspomagają uprawę winorośli i licznych na Maderze plantacji bananów. Są też wykorzystywane do napędzania turbin w czterech działających na wyspie elektrowniach wodnych, zaspokajając aż 16 proc. zapotrzebowania mieszkańców wyspy. Obok kanałów biegną ścieżki, które nie tylko pozwalają osobom z obsługi na dotarcie do miejsc wymagających udrożnienia czy naprawy, ale również wyznaczają sieć szlaków pieszych o różnych poziomach trudności. Można się wybrać na krótką, półgodzinną przechadzkę z Levada do Risco z Rabacal, prowadzącą do wodospadu Cascada do Risco. Bardziej wytrawnym piechurom polecam jednak PR9 Levada do Caldeirão Verde, dość wymagającą, bo blisko 9-kilometrową trasę, której przejście zajęło mi ponad 6 godz. Prowadzi przez doliny, lasy, cztery wydrążone w skałach tunele, a kończy ją imponujący wodospad Caldeirão Verde. Jest

Maderę przecina ponad 200 lewad wytyczonych na przestrzeni kilku stuleci. Ich łączna długość przekracza 3 tys. km.



Zięba maderska to ptak endemiczny dla wyspy. Łatwo ją spotkać na trasach turystycznych w lasach wawrzynowych, gdzie ufnie pozwala się fotografować.

eprasa.pl a72af8dce1

znana i użytkowana od XVIII w., a biegnie także przez strome klify i górskie stoki, aby woda miała szansę nawodnić pola w okolicy wsi Faial.

KRWIOBIEG WYSPY

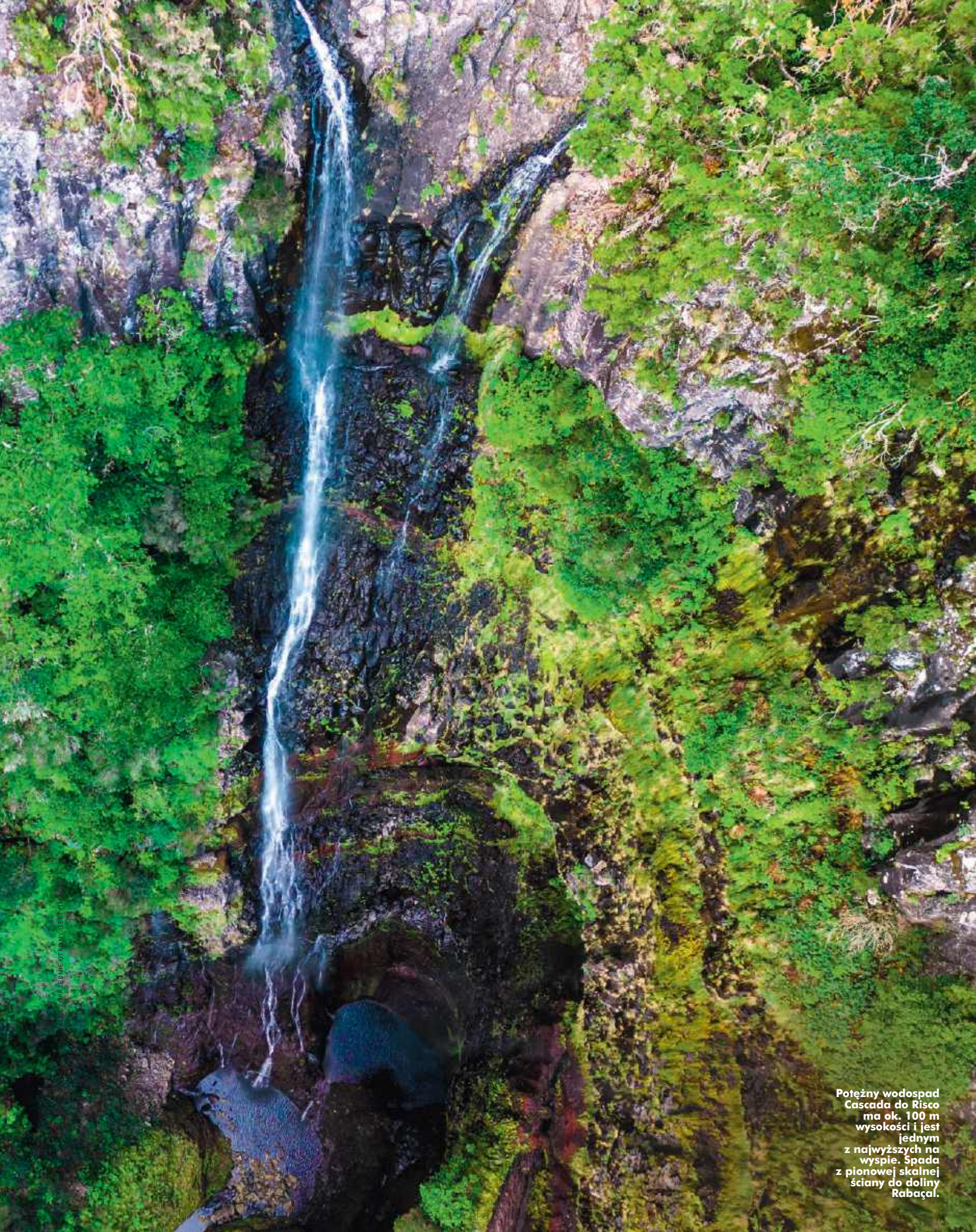
Lewady oplatają całą Maderę, stanowiąc swoisty krwiobieg wyspy. Niektóre z nich można obejść, idąc w koło, inne – wiodące prosto – zakładają tę samą drogę powrotną. Te niesamowite, tak różnorodne ścieżki zmieniają kolory o każdej porze roku. Zimą szłam po ciemnych szlakach, omijając kałuże i wyrastające z ziemi konary, wiosną wędrowałam po lewadach porosłych trawą, w kolorze zielonym, a latem – po usłanych płatkami kwiatów. Lubię odkrywać nowe drogi, przedzierać się przez tunele, które tworzą gałęzie drzew, brodzić wśród paproci. Pewnie dlatego co roku wracam na Maderę, żeby

Za pomocą skomplikowanego systemu kanałów i śluz lewady rozprowadzają wodę deszczową po zboczach gór.

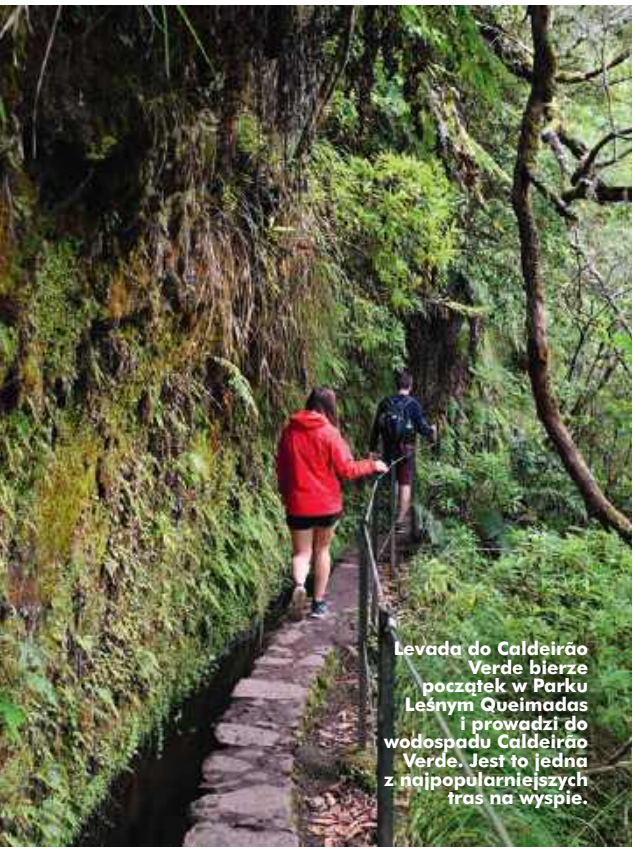


Agapant afrykański to jeden z najbardziej charakterystycznych elementów krajobrazu Madery. Kwitnie od czerwca do jesieni.

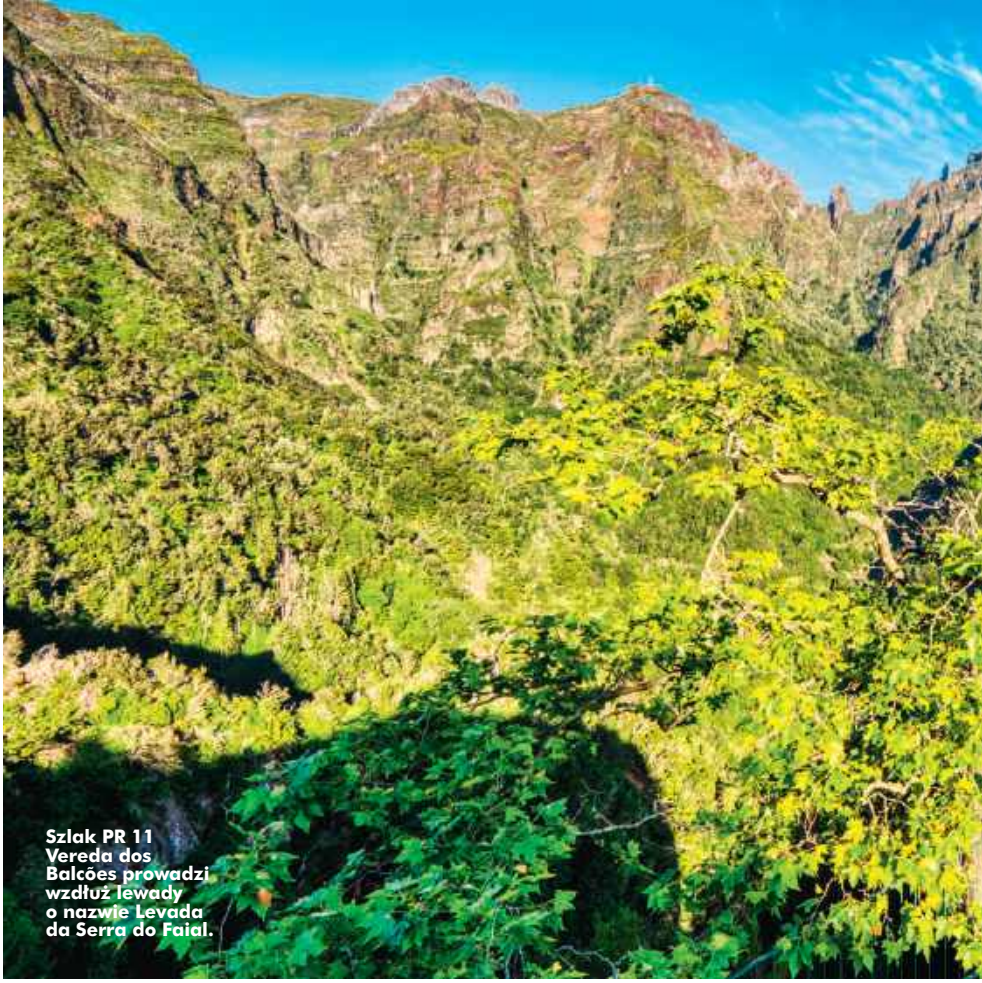
SHUTTERSTOCK (2)



Potężny wodospad Cascada do Risco ma ok. 100 m wysokości i jest jednym z najwyższych na wyspie. Spada z pionowej skalnej ściany do doliny Rabaçal.



Levada do Caldeirão Verde bierze początek w Parku Leśnym Queimadas i prowadzi do wodospadu Caldeirão Verde. Jest to jedna z najpopularniejszych tras na wyspie.



Szlak PR 11 Vereda dos Balcões prowadzi wzdłuż lewady o nazwie Levada da Serra do Faial.



Tradycyjne kryte strzechą domy w Parku Leśnym Queimadas w pobliżu Santany. Tu zaczyna się lewada Caldeirão Verde.

eprasa.pl a72af8dce1



GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK (2)

odbyć tu swoje camino. Zaczynam ten medytacyjny marsz, kiedy wyspa jeszcze śpi. Wkładam do plecaka zapas wody, kanapkę i jadę autem na start. Parkuję wcześnie, żeby mieć czas, by rozejrzeć się po okolicy i wyruszyć bez pośpiechu. Powietrze jest rześkie, słońce zaczyna ogrzewać doliny, wydobywając ten głęboki odcień zieleni wokół, którą można by było nazwać „maderską". Tego dnia pokonałam już 40 km, jadąc z Funchalu, i zatrzymałam się przy końcu drogi ER110 w regionie Calheta. Przede mną PR6 – Levada das 25 Fontes i Levada do Risco, a więc spacer o długości 4,6 km w jedną stronę. Ruszam asfaltową drogą najpierw w dół, by po niespełna kilometrze wspinać się już bardzo wąską ścieżką w górę. Dobrze znam tę trasę; to jedna z moich ulubionych. Nie jest trudna, wiem, że jej przejście zajmie mi ok. 3 godz. Ścieżka wiedzie przez gęste lasy laurowe pełne kwiatów, endemicznych roślin i ptaków. Przed wejściem na szlak mijam płot z białych hortensji. Potem pochylam się nad miniaturowymi orchideami i ciemnofioletowymi żmijowcami wspaniałymi, nad którymi unosi się rój pszczół. Kiedy przysiadam na kamieniu pod paprocią drzewiastą, żeby zjeść śniadanie, nagle przede mną wyrastają dwaj towarzysze. To maleńki zniczek maderski z pomarańczową główką i rzadko spotykana zięba maderska – endemiczne ptaki, które przeleciały nad moją głową w nadziei na okruszki chleba.

PODRÓŻ DO ŹRÓDEŁ

Spektakularne przewyższenia podczas spaceru nie tylko budzą zachwyt, ale też podwyższają poziom adrenaliny. Ten jeden z najpiękniejszych na wyspie szlaków jest zarazem jednym z najbardziej malowniczych i najpopularniejszych. Wybierając się na tę lewadę, trzeba wziąć pod uwagę, że najwyższy jej punkt leży na wysokości 1290 m n.p.m., a najniższy na 900 m. Nie polecam więc tej wędrówki osobom z lękiem wysokości. Levada das 25 Fontes w dużej mierze składa się ze schodków oraz przewężeń, na których trudno jest wyminąć innych wędrowców. Być może dlatego część trasy wyznaczono jako jednokierunkową. Cały czas idę wzdłuż kanału, w którym wartko płynie woda. Znajomy przewodnik powiedział mi kiedyś, że taka „żywa", płynąca woda z lewad nadaje się do picia. Nabieram ją więc w dłoń i smakuję. Pachnie lasem, laurowymi liśćmi, maderskim powietrzem. Wędruję blisko dwie godziny sama, po drodze nie spotykam nikogo. Cieszę się, że wyruszyłam wcześnie rano, bo to oznacza, że kiedy dotrę do celu, będę miała jedno z najpiękniejszych miejsc na wyspie tylko dla siebie. Nie czuję zmęczenia, kiedy dochodzę do wysokiej grani, z której wypływa 25 źródeł. Jestem w kanionie, gdzie wśród wysokich skał rozlewa się turkusowa laguna. Wpatruję się w jej rozświetloną słońcem toń i odpoczywam. To jest ta chwila, na którą czeka każdy wędrowiec. Jesteś u celu, możesz się zatrzymać, zastygnąć na moment, żeby poczuć się częścią natury, czerpać energię płynącą z tego miejsca, być tu i teraz.

POD WODOSPADEM

Pośród skał zawsze nabieram sił. Tym bardziej teraz, kiedy dosłownie znalazłam się w tętniącym sercu wyspy. Czuję, że starczy mi dziś mocy nie tylko na trzygodzinną drogę powrotną tą samą ścieżką. Pójdę dalej, szlakiem oznaczonym PR6.1 Levada do Risco. Wiedzie do niej dość szeroka, 1,5-kilometrowa wygodna ścieżka, która kończy się u stóp spektakularnego, największego na Maderze wodospadu. Składa się z dwóch dużych kaskad i kilku mniejszych. Przy mostku na dole strugi Risco znów zatrzymuję się na dłużej. Krople wody spływają mi po twarzy, słyszę śpiew ptaków, obserwuję parującą ziemię. Po lewej stronie mam widok na niemal całą dolinę Rabacal – miejsce, z którego wyruszyłam i do którego chcę wracać co rok. ■

eprasa.pl a72af8dce1



TEKST **MARZENA MRÓZ**

NA DACHU MADERY

TREKKING NA NAJWYŻSZY SZCZYT ARCHIPELAGU TO SPORY WYSIŁEK. ALE JEŚLI MAMY TROCHĘ SZCZĘŚCIA DO POGODY, NAGRODĄ JEST FANTASTYCZNY WIDOK NA WYSPĘ I OCEAN.



Szlak turystyczny Vereda do Areeiro prowadzi przez Masyw Centralny Madery, łącząc szczyty Pico do Areeiro i Pico Ruivo.



Jeżeli miałabym wybrać najpiękniejszy szlak górski w Europie, byłaby to ścieżka z Pico do Areeiro na Pico Ruivo na Maderze. Droga jest wymagająca, by nie powiedzieć trudna. Mój przewodnik Alberto uprzedził mnie już na samym początku:
– Ta trasa to kiler. Będziesz wchodziła pod górę i schodziła z niej niezliczoną liczbę razy.
– Mam niezłą kondycję – odparłam bez wahania.
– Ścieżka prowadzi przez ciemne tunele, półki skalne, miejsca z dużą ekspozycją... – kontynuował Alberto.
– Czy na końcu drogi zobaczę całą wyspę? – nie dawałam za wygraną.
– Tylko wtedy, gdy dopisze ci szczęście i chmury nie przysłonią widoków. Gwarancji nie daję.
– Wchodzę w to! – odpowiedziałam i następnego dnia nie zmieniłam zdania.

Najpiękniejsze wschody i zachody słońca można podziwiać z Pico do Areeiro, Pico Ruivo i Guindaste do Faial.



Pieczone kasztany są popularną jesienną przekąską na Maderze. Najlepiej smakują na gorąco, prosto z piekarnika lub ognia.

AUTEM NA SZCZYT

Wyruszyliśmy wcześnie rano. Pod drzwi hotelu podjechał po mnie land rover. Na wyspie można zamówić sobie taki rodzaj transportu, przede wszystkim po to, żeby zjechać z asfaltu, a nawet z szutru, i zapuścić się w miejsca niedostępne dla aut osobowych. Za kierownicą siedział uśmiechnięty Alberto. Zapewnił, że sprawdził warunki w pogodowej aplikacji i jest szansa na słońce – oczywiście nie przez cały dzień, ale może... po południu. Ponieważ pogoda na Maderze jest nieprzewidywalna, zabrał dla nas dodatkowe kurtki przeciwdeszczowe. Samochodem z Funchalu na szczyt Pico do Areeiro (1818 m n.p.m.), z którego ruszymy na trekking, jedzie się około godziny. Droga jest kręta, zamglona. Co ciekawe, auto wjeżdża na sam szczyt tej trzeciej pod względem wysokości góry Madery. Mamy szczęście, na parkingu wciąż są wolne miejsca. Przechodzimy obok Stacji Radarowej nr 4 Portugalskich Sił Powietrznych. Po chwili roztacza się przed nami wspaniały widok. Z jednej strony fale oceanu rozbijające się o skaliste wybrzeże, z drugiej – majestatycznie górujący nad całą wyspą najwyższy jej szczyt, Pico Ruivo (1862 m n.p.m.). Nasz cel.

W GÓRĘ I W DÓŁ

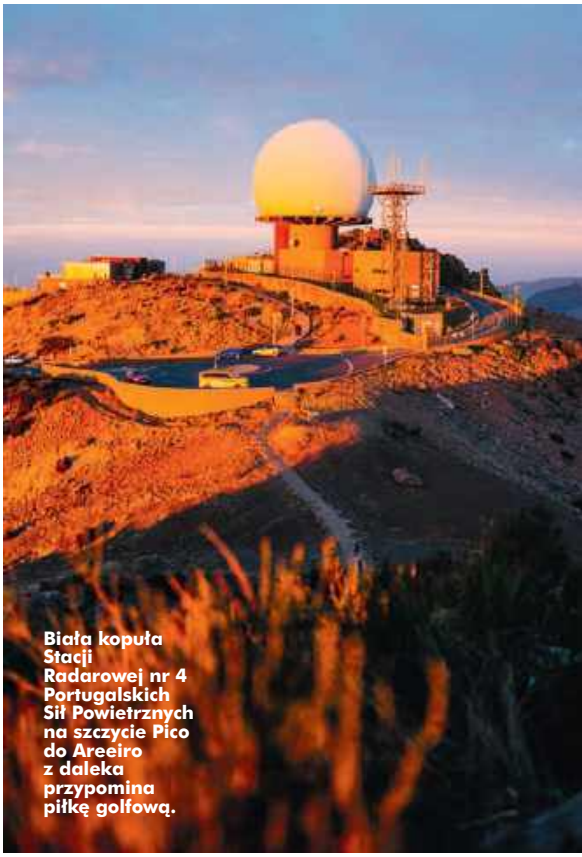
Trasa od początku zapewnia spektakularne panoramy. Otaczają nas wysokie góry, surowa szarość skał, ale też zjawiskowa zieleń. Szlak początkowo prowadzi w dół po wykutych w skałach schodach. Po kilometrze dochodzimy do punktu widokowego Ninho da Manta. Miejsce zapiera dech, więc dajemy sobie czas na zachwyt i robienie zdjęć. Wdrapujemy

GETTY IMAGES,SHUTTERSTOCK(2),ADOBESTOCK · POPRZEDNIE STRONY GETTYIMAGES

eprasa.pl a72af8dce1



Szlak Vereda do Areeiro jest uznawany za jeden z najpiękniejszych, ale i najbardziej wymagających na wyspie.



Biała kopuła Stacji Radarowej nr 4 Portugalskich Sił Powietrznych na szczycie Pico do Areeiro z daleka przypomina piłkę golfową.



Schody do Nieba – stromy odcinek szlaku blisko Pico do Areeiro – oferują spektakularne widoki ponad chmurami.

eprasa.pl a72af8dce1



Wschód słońca nad szczytami Pedra Rija i Pico Gato w pobliżu Pico do Areeiro.



ADOBE STOCK

się na grań Pedra Rija, balansując nad przepaścią i ekspozycjami z obu stron wąskiej ścieżki. Serce bije mi mocniej i znów muszę się zatrzymać. Odwracam się, żeby zobaczyć słynne na wyspie Schody do Nieba, czyli jeden ze wspinających się tu stromo szlaków. Zaraz ruszam dalej – Alberto twierdzi, że w drodze powrotnej będą one lepiej widoczne. Ścieżka, którą idziemy, jest wąska, ale zabezpieczona barierkami. Nie czuję strachu, jedynie zachwyt. Mam świadomość, że przewodnik idzie tuż za mną, asekurując każdy mój ruch. W okolicach Pico do Gato docieramy do rozwidlenia szlaku: na drogę wschodnią i zachodnią. Nie mamy wyboru, trasa wschodnia jest zamknięta, kontynuujemy więc naszą wędrówkę wąską półką skalną wykutą w zboczu. Prowadzi do pierwszego tunelu. Wcześniej jednak schodzimy w dół po niemal pionowej ścieżce, żeby zobaczyć, jak nisko płynące chmury przenikają się z tropikalną roślinnością.

CHMURY POD STOPAMI

Po wyjściu z jednego z trzech napotkanych na drodze tuneli przemokliśmy do nitki – zaliczyliśmy ulewny deszcz, a nawet gradobicie. Bardzo się wtedy przydały kurtki przeciwdeszczowe, które zapobiegliwy Alberto zabrał ze sobą.
– Pogoda na Maderze to ruletka, mówiłem ci – śmieje się mój przewodnik, kiedy jesteśmy już po drugiej stronie masywu.
Nie minęło kilkanaście minut, a wiatr przegonił chmury i widoczność poprawiła się na tyle, że nabrałam nadziei na słońce. Trasa na Pico Ruivo przypomina zapis pracy serca na monitorze. Nie wiadomo tylko, czyje to jest serce. Moje? A może wyspy? Mimo że odległości nie wydają się duże, droga jest uciążliwa. Schodzimy w dół, wspinamy się, znów schodzimy... I tak w kółko. Odcinki te są coraz krótsze i pewnie dlatego wydają się tak intensywne. Wreszcie docieramy do spalonego lasu. Przed nami krajobraz jak z mrocznej baśni braci Grimm – szare, powykręcane konary drzew, a raczej to, co z nich pozostało. Po chwili wszystko spowija mgła.
– To chmury, brodzimy w chmurach! – Alberto uśmiecha się nostalgicznie. Jak chyba każdy mieszkaniec Madery jest trochę sentymentalny. W oddali widać już schronisko. Przyspieszam, bo mam wielką ochotę napić się ciepłej herbaty. Odpoczywamy chwilę na drewnianych ławach i rozmawiamy z innymi wędrowcami. Ku mojemu zdumieniu nie wszyscy idą dalej, na szczyt, choć ze schroniska to już tylko 500 m pod górę. Zadowalają się tym, co już przeszli, zobaczyli i czego doświadczyli. Piją kawę i ruszają w drogę powrotną. My nie odpuszczamy, choć gęsta mgła i chmury trochę zniechęcają. Przed nami ostatnia prosta, ostre, dość trudne podejście. Wreszcie mamy to, jesteśmy u celu! Stojąc na, o dziwo, płaskim dachu Madery, przez chwilę nie widzimy nic. Kiedy chmury schodzą niżej i spowijają całą wyspę, patrzymy już tylko na błękitne niebo.
– Cierpliwości. Poczekajmy kilkanaście minut, dajmy szansę pogodzie – uspokaja mnie Alberto. Ma rację, bo po chwili wiatr zaczyna rozwiewać grubą białą warstwę na tyle skutecznie, że najpierw zobaczyć można schronisko, a potem – coraz więcej i więcej. Najwyższe szczyty, zielone doliny, zarys wyspy i bezkres otaczającego ją oceanu.
– Zobacz, odsłoniła się przed nami Dolina Zakonnic – Curral das Freiras, i dalej – płaskowyż Paul da Serra! – Alberto z dumą pokazuje mi palcem swoją Maderę, nie mniej niż ja nią zachwycony. Droga powrotna jest znacznie łatwiejsza, również dlatego, że towarzyszy nam słońce. Choć idziemy tym samym szlakiem, krajobrazy zdają się inne, jeszcze bardziej zachwycające. Widząc ją z tej perspektywy, nie mam żadnych wątpliwości: Madera jest całym światem w pigułce. ■

eprasa.pl a72af8dce1



TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

ROZKOSZ WĘDRÓWKI

RUSZYŁEM PIESZYM SZLAKIEM ROTA VICENTINA WZDŁUŻ NAJDZIKSZEGO WYBRZEŻA POŁUDNIOWEJ EUROPY.

eprasa



Wybrzeże w okolicach rybackiej wioski Porto Covo, gdzie swój początek bierze Szlak Rybaków.



Wędrowcy na Szlaku Rybaków (najsłynniejszej części sieci szlaków Rota Vicentina) w pobliżu Zambujeira do Mar.

Marta nuci tradycyjną portugalską pieśń. Idziemy stałym tempem, przystając co kilkanaście minut, by nasycić wzrok widokiem rozbujanego Atlantyku uderzającego o skalne klify. Nie rozmawiamy za wiele. Słucham jej śpiewu. Melodia, dźwięk fal rozbijających się o skały, hipnotyczny ruch naszych nóg. Przez moment nic innego nie istnieje. Marta Cabral jest szefową zarządu Stowarzyszenia Rota Vicentina i na jeden dzień dołączyła do mojej wędrówki. Jest pogodną dziewczyną z burzą czarnych włosów i głosem, którego możesz słuchać bez końca. To dzięki jej staraniom niemal czterystukilometrowa trasa biegnąca wzdłuż portugalskiego wybrzeża, z północy na południe, jest tak przyjazna dla piechurów i rowerzystów. Doskonale oznaczona, opisana, wytyczona z dbałością o każdy szczegół. Rota Vicentina – nić ścieżek i polnych dróg spięta charakterystycznymi drewnianymi słupkami – startuje w Porto Covo, na północnym zachodzie Portugalii, i spływa aż do Przylądka Świętego Wincentego na południu, by zakręcić na wschód i dotrzeć do Lagos. Ta trasa nazywana jest Ścieżką Rybaków, w ramach Rota Vicentina funkcjonuje jeszcze Droga Historyczna zaczynająca się bardziej na północ, w Santiago de Cacém, i odbijająca w głąb lądu (ją można przebyć także na rowerze). Twórcy szlaku wzięli też pod uwagę początkujących piechurów, wyznaczając Percursos Circulares – pięć krótkich ścieżek (od 3,5 do 13 km) zataczających pętle. To pomysł na jednodniowe wycieczki, w które można się wybrać, nawet jeżeli na co dzień większość czasu spędzamy za biurkiem lub kierownicą auta.

Nieśpieszne tempo i powtarzalność wędrówki sprawiają, że krajobraz powoli w nas wsiąka. Umysł, uwolniony od codziennej gonitwy, skupia się na otoczeniu.



Cataplana de marisco to aromatyczny gulasz z owoców morza duszony w miedzianym naczyniu o tej samej nazwie.

WBREW GRAWITACJI

Wąska piaszczysto-kamienista ścieżka oplatająca szczyty klifów wymaga uważnego stawiania kroków. Ta prosta czynność, jeżeli powtarza się ją przez cały dzień, staje się osią twojego świata. Wędrujemy, pokonując 4–5 km na godzinę. Podążamy skrajem klifów. Porastają je grube sukulenty, krzaki ziół, pojedyncze sosny karłowate. Otacza nas otwarta przestrzeń. Niczym niezatrzymywany wzrok sięga po horyzont. Wcinające się w ląd zatoczki zostawiają złote plamy drobnego piachu. Te plaże są bezludne, gdyż zejście do nich wymaga iście akrobatycznych umiejętności. Ci, którzy je posiadają, nie marnują czasu na wylegiwanie się na piachu, lecz balansują po pionowych ścianach klifów, zarzucając z wysoka długie wędki. Patrzę na ich sylwetki, czując równocześnie podziw i przerażenie. – To igranie ze śmiercią – Marta na chwilę przestaje nucić. – Co miesiąc z tych klifów spada średnio dwóch rybaków. Jesienią i zimą, gdy mocno wieje, ryzyko jest gigantyczne. Mężczyźni zdają się być z nim pogodzeni. Są skupieni, a w ich ruchach nie widać – tak charakterystycznej dla wędkarzy rekreacyjnych – swobody czy nawet

ADOBE STOCK (3), SHUTTERSTOCK. POPRZEDNIE STRONY SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a72af8dce1





Tradycyjny wiatrak w Santiago do Cacém.



Niewielka kaplica Nossa Senhora do Mar wznosi się na klifie górującym nad plażą w Zambujeira do Mar.

eprasa.pl a72af8dce1

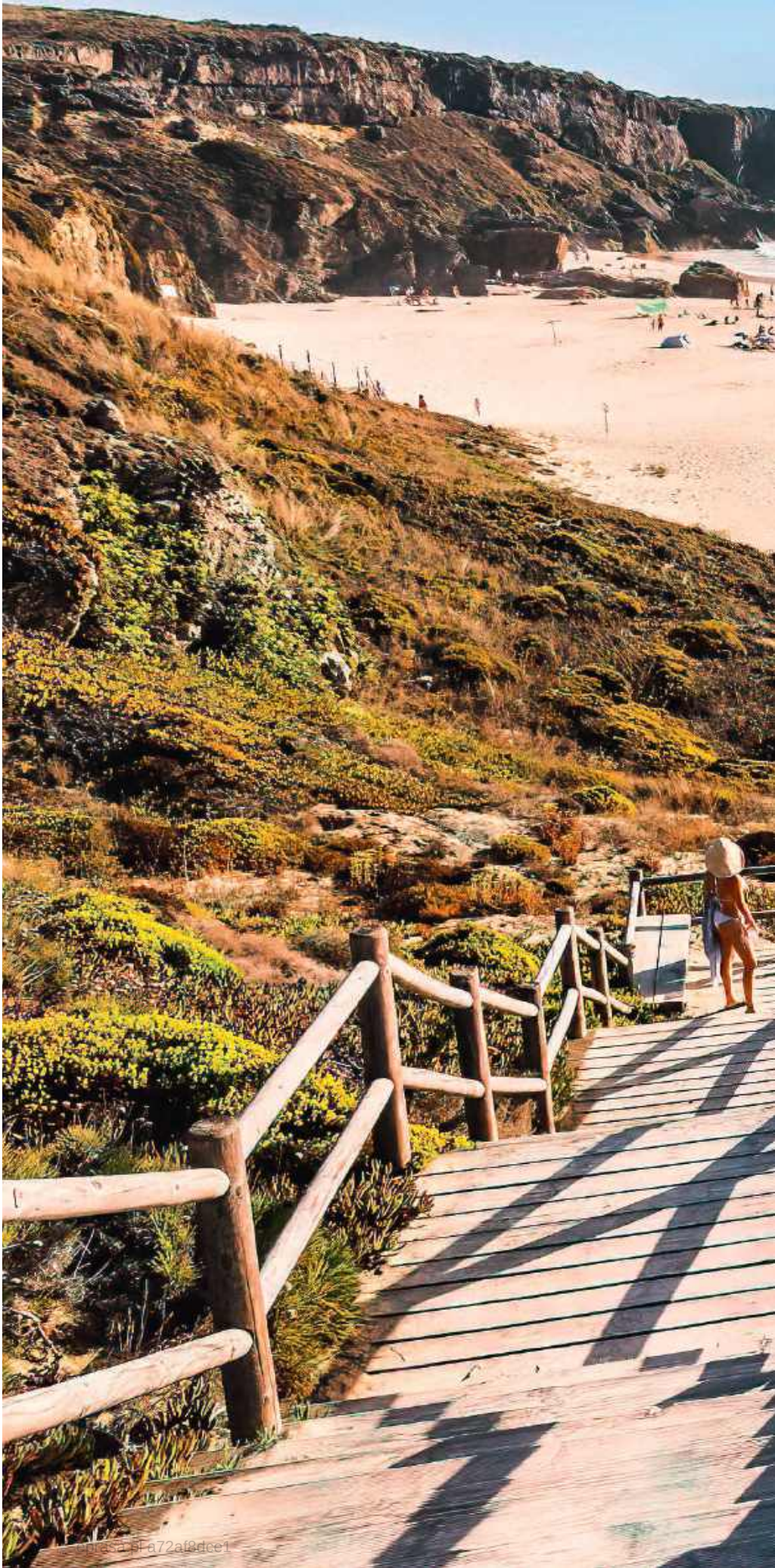
znudzenia. Zajmują się tym od pokoleń, czerpiąc niewielkie zyski z tego, co da im ocean. To walka o to, by pozostać częścią tutejszej natury.
– Te okolice miały trochę szczęścia – mówi Marta. – Klify i trudno dostępny teren uchroniły nabrzeże od gęstej zabudowy, wysokich hotelowców i tłumów na plażach. Rota Vicentina biegnie przez miejsca, które są zbyt mało atrakcyjne dla masowej turystyki. To propozycja dla osób, które chcą odpocząć od zgiełku, pobyć trochę sam na sam z własnymi myślami. Nieśpieszne tempo i powtarzalność wędrówki sprawiają, że krajobraz powoli w nas wsiąka. Umysł, uwolniony od codziennej gonitwy, skupia się na otoczeniu. Z każdą godziną odradza się wrodzona nam umiejętność odczytywania otaczających nas szczegółów, dostrzegania mało nachalnych znaków.

Wędruję w obłokach zapachu tymianku, mastyksu, lawendy, dzikich storczyków oraz morskiej słonej bryzy.



Wybrzeże Alentejo jest jedynym miejscem na świecie, gdzie bociany białe budują gniazda na nadmorskich skałach.

ADOBE STOCK (2).





Drewniane kładki w okolicach Vila Nova de Milfontes chronią delikatny nadmorski ekosystem.

eprasa.pl



Szlak zaczyna się w Porto Covo, na północnym zachodzie Portugalii, a kończy w Lagos na południu.

SUMA DETALI

Pod wieczór docieramy do Vila Nova de Milfontes. Jemy razem kolację, pijemy trochę wina. Jesteśmy zmęczeni, przeszliśmy 20 km, przebijając się piaszczystą wymagającą ścieżką. To jednak znużenie niosące satysfakcję. Ścieżka Rybaków została podzielona na 13 odcinków, z których najdłuższy ma 23 km. By przejść całe 226,5 km, wystarczą więc dwa tygodnie. Jeżeli komuś się śpieszy, może zaoszczędzić jeden dzień, łącząc dwa ostatnie odcinki, 10- i 11-kilometrowe. Pośpiech nie jest jednak istotą tej trasy. Podobnie jak sportowe zmagania, bicie rekordów i ustanawianie życiówek. Rota Vicentina została pomyślana jako podróż, przemieszczanie się, prosty ruch. Ta wędrówka ma cię oczarować, nie wykończyć. – Zwracaj uwagę na szczegóły – mówi na pożegnanie Marta. – To z nich zbudowana jest ta trasa. Przypominam sobie jej słowa trzy dni później. Na odcinku z Zambujeira do Mar do Odeceixe patrzę na wielobarwne skalne ściany będące kresem europejskiego kontynentu. Skały osadowe, układające się zwykle w poziome warstwy, tu są przemieszane, rozbiegają się w pionie, układają w fale. Trzysta milionów lat temu, gdy powstawał superkontynent – Pangea – kompresja i gigantyczne ruchy tektoniczne swobodnie igrały sobie z przestrzenią. Ten geologiczny zapis jest śladem czasów, gdy znana nam dziś mapa świata dopiero się kształtowała. Na dużo bardziej ulotne znaki trafiam rano na ścieżce. Odbite w piachu poduszeczki łap mangusty egipskiej – dalekiej krewnej surykatek – oraz dużo mniejszych kun. Nocni drapieżnicy, będący niczym duchy, niemal niezauważalni, zostawiający efemeryczne tropy znikające wraz z podmuchami wiatru. Wędruję w obłokach zapachu. Tymianku, mastyksu, lawendy. Dzikich storczyków.



Bielone domy z niebieskimi obwódkami w urokliwym Odeceixe. To miasteczko wyznacza naturalną granicę między regionami Alentejo i Algarve.

ADOBE STOCK (2)

Morskiej słonej bryzy. Każdy metr, przecięty własnymi krokami, okazuje się światem niekończącego się bogactwa. Minuty, zazwyczaj rozpływające się niczym dym, lepią mi się do palców i stóp. Zyskuję nagle nieskończone pokłady czasu.

NA PROGU NICZEGO

Dziesiątego dnia docieram do Przylądka Świętego Wincentego, Cabo de São Vicente. Trasa, która wcześniej na moment oddaliła się od oceanu, wraca na brzeg, klejąc się do poszarpanej linii skał. Surowy geologiczny jęzor wcina się w wodę, wyznaczając granicę, za którą przez tysiąclecia rozciągała się terra incognita, niepojęta kraina, w której mogło się wszystko przydarzyć. Dla płynących od strony Morza Śródziemnego Fenicjan, Greków, Kartagińczyków, Rzymian i Arabów to miejsce oznaczało kres świata. Dalej było Nic, do którego nikt nie śmiał się zapuszczać. Ponoć to tu zdryfowała w VIII w. łódź z relikwiami św. Wincentego. Strzegły jej dwie wrony. Dziś szczątki świętego znajdują się w Lizbonie, mieście, które po odbiciu z rąk Maurów powierzone zostało opiece właśnie św. Wincentego. Przysiadam na kamieniu, godząc się na podmuchy wiatru uderzające mi w twarz. Wieje z zachodu. Te masy powietrza zdołały się rozpędzić, sunąc od jednego skraju oceanu do drugiego. Z miejsca, w którym jestem, szlak Rota Vicentina wycofuje się, biegnąc dalej na wschód. Kolejne trzy dni wędrówki prowadzą do punktu końcowego – do Lagos. Suną wybrzeżem Algarve, pokazując, że to hołubione przez turystów miejsce ma dwa różne oblicza. Piaszczyste plaże, hotele i letni blichtr zaczynają się dopiero na wschód od Lagos. Odcinek na zachód od miasta to wciąż świat zapomniany – skalisty, smagany przez wichry, znaczony skamielinami prehistorycznych morskich ślimaków, które utkwiły na wieczność w piaskowcu. Za moment go poznam. Nie śpieszę się jednak. Chodzenie uczy cierpliwości. ■

eprasa.pl a72af8dce1



Szlak wokół kaldery na wyspie Faial nie jest trudny. Dodatkowo można zejść do jej wnętrza – ale to dozwolone jest jedynie z przewodnikiem.



TEKST **MICHAŁ CESSANIS**

RAJ DLA WĘDROWCÓW

WEJŚCIE NA SZCZYT PICO NA AZORACH BYŁO UKORONOWANIEM MOICH WĘDRÓWEK PO TYM PORTUGALSKIM ARCHIPELAGU.



Surowy, wulkaniczny krajobraz Pico należy do najbardziej spektakularnych formacji geologicznych archipelagu Azorów.

Chłonę błękit i zieleń w ogromnych proporcjach. Dotarłem do miejsca nazywanego przez mieszkańców wyspy Faial w centralnej części archipelagu azorskiego – Sanktuarium Dzikiej Przyrody, ale też, co podoba mi się jeszcze bardziej – Katedrą Ciszy, dla której także tu przyjechałem. Stoję w Miradouro do Caldeira, punkcie widokowym na krawędzi gigantycznej kaldery, skąd za chwilę ruszę na mój pierwszy szlak Caldeira PRC04FAI. Tymczasem próbuję ogarnąć wzrokiem ogromny zielony teren. Kaldera ma ponad 2 km średnicy, głęboka jest na 400 m, a ciągnąca się wokół niej trasa, określana jako łatwa, ma ok. 7 km długości. Położone na Oceanie Atlantyckim i należące do Portugalii Azory to archipelag dziewięciu wysp. Na Faial chciałem się przygotować kondycyjnie, robiąc krótsze i dłuższe trasy, niezbyt wymagające i niezbyt długie, do wejścia na najwyższy szczyt Portugalii – położoną na wyspie Pico górę Pico (2351 m n.p.m.). A przy okazji oswoić się z nią, poprzyglądać się jej z różnych miejsc i o różnej porze dnia – z wyspy Faial widać ją było w całej swej okazałości.

Faial, ze względu na ilość hortensji i ich odcienie – od niebieskiego po fioletowy, nazywana jest Wyspą Niebieską.



Niebieskie hortensje, gęsto porastające pobocza dróg i strome zbocza wulkanów, to nieformalny symbol Azorów.

RAJ DLA BOTANIKA

Pokonując kilkanaście drewnianych stopni, mijając małą murowaną kapliczkę, jestem na ścieżce poprowadzonej wśród rozległych łąk i pastwisk, których mieszkańcami są głównie krowy, skałek, kamieni i mnóstwa większych i mniejszych krzewów, drzewek i kwiatów. Żałuję, że nie jestem botanikiem, bo bym je wam wszystkie opisał ze szczegółami. Tym bardziej że na terenie rezerwatu przyrody Caldeira do Faial rosną różne azorskie endemity – jałowce, borówki, wilczomlecze. Próbuję je rozpoznawać, wyszukując na portugalskich stronach parków i rezerwatów, zabiera mi to jednak zbyt wiele czasu, a nie chcę gapić się w ekran telefonu podczas trekkingu. Wolę zajadać poziomki i podziwiać ogromne połacie hortensji, z których Azory słyną, a Faial, ze względu na ich ilość i odcienie – od delikatnego niebieskiego po granatowy i fioletowy – nazywana jest przez mieszkańców Wyspą Niebieską. Właśnie pojawiły się na mojej trasie i wprawiły mnie w osłupienie. Rozumiem, że kwiaty mogą być duże, ale pierwszy raz widzę takie wielkości piłek do koszykówki. I wierzcie, że nie ma w tym żadnej przesady. Hortensje pojawiły się na Azorach w XIX w., sprowadzono je z Japonii. W tutejszym klimacie przyjęły się natychmiast i to na tyle dobrze, że zaczęto je nawet traktować jak chwasty, bo zaczęły się bardzo szybko rozrastać i zabierać miejsce innym roślinom. Ale Caldeira to zdecydowanie ich miejsce. Podczas tej wędrówki trochę siebie nie poznaję. Nie przypuszczałem, że

SHUTTERSTOCK(2),GETTY IMAGES,ADOBE STOCK ; POPRZEDNIE STRONY SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a72af8dce1





Festas do Divino Espírito Santo (Święta Ducha Świętego) to najważniejszy cykl uroczystości religijnych i kulturowych na Azorach.



Położone na zielonym płaskowyżu jezioro Lagoa do Capitão oferuje jeden z najlepszych widoków na majestatyczny wulkan Pico.

eprasa.pl a72af8dce1



Obserwacja delfinów jest atrakcją rejsów wycieczkowych między azorskimi wyspami.

mogę tyle czasu spędzić na oglądaniu płatków, liści i wąchaniu kwiatków. No i oczywiście robieniu zdjęć, bo chciałem trochę tych kolorów zabrać dla siebie. Zielony według naukowców odpręża, a niebieski pomaga zasnąć, no ale nie na Azorach. Tutaj te dwa kolory dają mi energetycznego kopa. No dobrze, może trochę wspomożonego sardynkami z puszki, ostrym serem São Miguel i słodkim drożdżowym chlebem bolo, które zajadam po dotarciu do najwyższego punktu na szlaku Cabeco Gordo (1043 m n.p.m.), ale zawsze to kop. Od tego miejsca trasa staje się nieco bardziej wymagająca, znacznie więcej jest kamieni i błota, na których łatwo się poślizgnąć, dlatego po przerwie na posiłek skupiam się bardziej na patrzeniu pod nogi niż rozglądaniu się na boki. Tym bardziej że kaldera utonęła we mgle i właściwie zniknął widok na wszystko – w tym na tę najważniejszą, wkrótce moją, górę Pico.

WIELKI WYBUCH, WIELKA PUSTKA

Po 3,5 godz. wędrówki zatoczyłem koło i znalazłem się na miejscu startu. Na chwilę zatrzymałem się w tym samym punkcie widokowym, by ponownie spojrzeć na kalderę. I wyobrazić sobie, jak wyglądała kilkadziesiąt lat temu, kiedy wyspą Faial wstrząsnął wybuch wulkanu Capelinhos na zachodnim wybrzeżu. Miał miejsce kilometr od lądu, zaczął się w 1957 r., a erupcja trwała aż 13 miesięcy. Wyrzucił z siebie tyle lawy i pyłu, że powierzchnia wyspy powiększyła się wówczas o 2,5 km^2! Wielki wybuch dokonał takiego spustoszenia na wyspie, że wyemigrowało z niej do Ameryki w poszukiwaniu nowego życia kilkanaście tysięcy mieszkańców – do dziś nie udało się odbudować wcześniejszej populacji. Wpłynął też na tutejszą florę i faunę, chociażby na tę kalderę, w której był kiedyś staw zasilany deszczówką, ale w chwili eksplozji pękło jej dno i woda zniknęła. Po południu jadę więc zobaczyć przylądek Capelinhos, pochodzić po tutejszych lawowych wzgórzach i przekonać się, czy nie ma przesady w nazywaniu tego miejsca księżycowym. Będąc jednak coraz bliżej surowego, szarego, wyjałowionego terenu, wyobrażałem sobie, że tak musi wyglądać lądowanie na księżycu. Jakże to inne miejsce od tonącej w zieleni Caldeiry i reszty wyspy. Jakże przerażające, gdy patrzę na zniszczoną w trakcie erupcji latarnię morską, którą lawa i pył przykryły na kilka metrów wysokości, zabierając parter i część pierwszego piętra budynku. Jakże smutne, gdy w podziemnym centrum wiedzy o tym wulkanie oglądam m.in. archiwalne filmy i zdjęcia pokazujące ludzi w obliczu zagłady, porzucających swe domy, pakujących niewielki dobytek i czekających na ewakuację z wyspy. I jakże nieprzyjazne do wędrówek, gdy próbuję pokonać choć niewielki fragment przebiegającego tędy Wielkiego Szlaku Faial (GR1FAI) zaliczanego do trudnych, ciągnącego się przez 36 km od wschodniego do zachodniego wybrzeża. Ogromna ilość pyłu na tym pustkowiu unoszonego przez szalejący wiatr powoduje, że rezygnuję z dalszej drogi po wzgórzach i wracam do głównego miasta wyspy – Horty, z której następnego ranka mam prom na Pico. Hortę znają wszyscy żeglarze. Tutejszy port leży na trasie atlantyckich rejsów, co z miasta czyni międzykulturową mieszankę (w XVIII w. był to jeden z najważniejszych portów towarowych na trasie Europa – Ameryka). Zwłaszcza w kultowym Peters Café Sport, do którego od ponad stu lat zaglądają na szklaneczkę dżinu z marakują właściciele cumujących w marinie łodzi. Też tu zajrzałem, nie tylko by spróbować tego specjału, ale też popatrzeć na górę Pico podczas zachodu słońca. Uznałem, że właśnie ją oswoiłem i jestem gotowy na zdobycie dachu Portugalii.

WINNICE NAD OCEANEM

To nie była wielka przeprawa promowa. Przepłynięcie zajmuje niecałe pół godziny, a po dotarciu na wyspę, przemierzając ją autem, szybko przekonuję się, jakże Pico jest inna od Faial. To dopiero prawdziwe królestwo surowego krajobrazu, zastygłej lawy, czarnego wybrzeża, ale też niewielkich miasteczek z kamiennymi domkami z czerwonymi, żółtymi albo niebieskimi okiennicami i przepięknych winnic schodzących niemal wprost do oceanu,

GETTY IMAGES(2)

eprasa.pl a72af8dce1



Obszar krajobrazowy winnic na wyspie Pico wygląda jak kamienny labirynt.



Hodowla bydła na wolnym wybiegu to fundament azorskiej gospodarki słynącej z produkcji pysznych serów dojrzewających.



Na wyspie Pico warto zajrzeć do Cella Bar. Jego drewniana bryła jest inspirowana kształtem wieloryba i winiarskiej beczki.



Horta, urokliwa stolica wyspy Faial, słynie z mariny, która od dekad stanowi bezpieczny przystanek dla żeglarzy między Europą a Ameryką.

eprasa.pl a72af8dce1

otoczonych bazaltowymi murkami (curral), po których płożą się winorośle. Pomiędzy nimi poprowadzono szlak PR5PIC – Vinhas da Criação Velha, którego nie mogę sobie odpuścić. Pico jest jedyną wyspą archipelagu, na której na tak wielką skalę uprawia się winorośl – zajmuje powierzchnię blisko 1 tys. ha (znacznie mniejsze plantacje są na wyspach Terceira i Graciosa), poza tym krajobraz winnic znalazł się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Szlak ma zaledwie kilka kilometrów, czas na jego pokonanie wyliczono na 2 godz., zaczyna się w Porto do Calhau, a kończy w Areia Larga i przebiega w pobliżu oceanu, pomiędzy wulkanicznymi płotkami, które po całym dniu nagrzewania się w azorskim słońcu oddają swe ciepło winoroślom, chroniąc je przed wiatrem i wodą morską. Patrzę na intensywnie zielone winorośle, na niebieski kolor oceanu, choć i tak mój wzrok wciąż przyciąga ta jedna góra.

SAMOTNA GÓRA

Po krótkiej wędrówce pojechałem do miasteczka São Caetano, gdzie zamieszkałem w lawowym domku. Byłem dosłownie u podnóża Pico, trzeciego co do wielkości aktywnego wulkanu na Atlantyku, po wulkanie Teide na Wyspach Kanaryjskich i Fogo na Wyspach Zielonego Przylądka, którego formowanie według geologów zaczęło się jakieś 240 tys. lat temu. Wyruszyłem na niego wczesnym rankiem, najpierw jadąc po wschodzie słońca do Casa do Montanha, górskiego domu położonego na wysokości 1,2 tys. m n.p.m., skąd zaczyna się oficjalny szlak na szczyt i gdzie umówiłem się przewodniczką Raisą de Oliveirą. Rejestrujemy swoje wyjście, pobieramy nadajniki GPS, a przed wyruszeniem na trasę pocieramy rzeźbę Anjo da Montanha, anioła gór, który wszystkim piechurom ma dodać skrzydeł nie tylko w dotarciu na szczyt, ale też w drodze powrotnej. – Choć byłam na Pico ponad 500 razy, zawsze dotykam tego anioła, traktuję go jak dodatkową polisę ubezpieczeniową – uśmiecha się Raisa. Do pokonania mamy 4 km pod górę z przewyższeniem 1150 m. Początkowo trasa oznakowana 47 słupkami z żółtym i czerwonym kolorem szlaku nie jest trudna, biegnie pomiędzy niewielkimi skałkami wśród górskiej zieleni, do tego pogoda jest tak dobra, że w trakcie wędrówki doskonale widać inne wyspy archipelagu – Faial i San Jorge, oraz mniejsze i większe zielone kaldery na Pico. Jednak im wyżej, tym mniej zieleni, a oddech coraz cięższy. Bo na ten wulkan wchodzi się ciężko, po zastygłych warkoczach lawy przypominających pazury wielkiego smoka, lub czasem po drobnym wulkanicznym żużlu, z którego łatwo się osunąć.

SIŁA UWODZENIA

Po czterech godzinach marszu (z trzema przystankami na uzupełnienie energii), tuż przed samym szczytem – wystającym z głębokiego na 30 m krateru Pico Alto – Piquinho, zostawiamy plecaki i kijki, którymi podpieraliśmy się podczas wejścia. Ostatnie bardzo strome 70 m na szczyt pokonujemy niemal na czworakach. I co z tego, że wieje, co z tego, że nogi mi się trzęsą z wysiłku, skoro z Piquinho mam widok na najpiękniejsze chmury, jakie kiedykolwiek widziałem (do tego od góry, a nie od dołu). A dzięki Raisie zrozumiałem, dlaczego Azorczycy nazywają Pico górą w kapeluszu. – Ta góra jest dla nas jak barometr, który reguluje życie na wyspie – wyjaśnia mi Raisa. – Rybacy zwracają uwagę na kształt otaczających ją chmur. Według nich, jeśli szczyt jest widoczny, a poniżej są chmury jak rondo od kapelusza, to pogoda będzie bardzo dobra. Gorzej, gdy wierzchołek będzie niewidoczny, bo to zwiastuje silny wiatr. A jeśli chmura jest podłużna i ciągnie się od szczytu na północny wschód, to na pewno będzie burza. I to się niemal zawsze sprawdza – dodaje przewodniczka. Wolimy zatem nie czekać na zmianę układu chmur. Na Piquinho spędzamy kwadrans i ruszamy w drogę powrotną, znacznie trudniejszą, bo zaczyna padać, coraz silniej wiać, a wulkaniczne skały robią się bardzo śliskie. Po 4 godz. jesteśmy znów w bazie. Wieczorem, siedząc w domku z lawy, wznosząc toast za zdobycie Pico winem terras de lava, odnajduję w internecie wspomnienia z pobytu na wyspie portugalskiego pisarza Raula Brandão: *Ta zniekształcona czarna wyspa zawładnęła moimi zmysłami. Wszystko, co na początku mnie odpychało, ciemność, ogień, który ją pożera, jakaś tajemnica – teraz wszystko mnie uwodzi. Pico jest najpiękniejszą i najbardziej niezwykłą wyspą Azorów, o urodzie, która tylko do niej należy, o godnym podziwu kolorze i dziwnej sile uwodzenia.* I wiecie co? Siła uwodzenia tej wyspy podziałała też na mnie. ■

Zielony według naukowców odpręża, a niebieski pomaga zasnąć, ale na Azorach dają mi energetycznego kopa.



Azorski klasyk: duszona lub grillowana ośmiornica (polvo) serwowana najczęściej z ziemniakami, czosnkiem i hojną porcją doskonałej oliwy.

SHUTTERSTOCK(3), ADOBESTOCK

eprasa.pl a72af8dce1



TEKST **AGNIESZKA FRANUS**

NA ŚCIEŻCE KRÓLA

CAMINITO DEL REY W ANDALUZJI TO JEDNA Z NAJBARDZIEJ SPEKTAKULARNYCH TRAS TREKKINGOWYCH W HISZPANII.



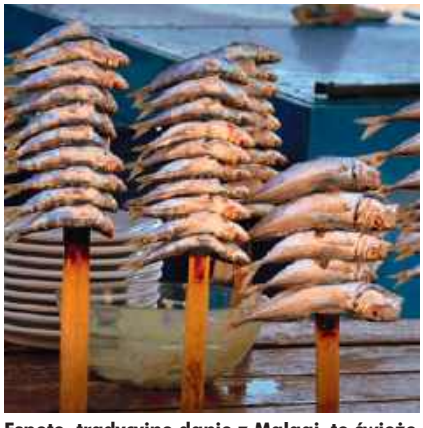
Spektakularna kładka jest zawieszona na pionowych ścianach skalnych, 105 m nad rzeką Guadalhorce.



Galeria schodkowa to najbardziej malowniczy fragment trasy.

Spaceruję nad przepaścią, mając pod stopami dziesiątki metrów pustej przestrzeni. Prostopadle do potężnej, niemal pionowej wapiennej ściany biegną drewniane kładki, tworząc spektakularny i budzący grozę szlak. Choć droga jest obecnie całkowicie bezpieczna, i tak czuję dreszcz emocji, gdy patrzę na majaczącą w dole cieniutką wstęgę rzeki wirującej wokół ogromnych głazów. Aż trudno uwierzyć, że ten strumyk wyrzeźbił tak monumentalny kanion. Swego czasu Caminito del Rey, czyli właśnie Ścieżkę Króla, okrzyknięto jednym z najniebezpieczniejszych szlaków świata z powodu niszczejących, niestabilnych pomostów. Nie zniechęcało to jednak śmiałków, którzy igrając z losem, sprawdzali tu swoje umiejętności mimo surowych zakazów. Niestety kilka takich prób zakończyło się tragicznie, dlatego władze postanowiły zamknąć i gruntownie wyremontować trasę. Moje marzenie o jej przejściu mogło się wreszcie ziścić.

Szlak Caminito del Rey stał się codziennym skrótem do szkoły, pracy czy sklepu, a młodym ułatwiał potajemne schadzki.



Espeto, tradycyjne danie z Malagi, to świeże sardynki nadziane na trzcinowe szpikulce i pieczone nad otwartym ogniem.

WZLOTY I UPADKI

Wyposażona w obowiązkowy kask czekam cierpliwie w kolejce, aż przewodnik zbierze grupę i da sygnał do wymarszu. Dojście do północnej bramy do Caminito del Rey wymagało pokonania pieszo ok. 2 km przez porośnięty lasem park natury Desfiladero de los Gaitanes. Był to bardzo przyjemny spacer w ciszy wzdłuż szmaragdowej tafli zalewu Conde de Guadalhorce, gdzie turyści chetnie urządzają sobie pikniki. Gdyby nie konieczność stawienia się o konkretnej godzinie, z radością bym do nich dołączyła, tak obłędny wydał mi się ten kolor. Jest upalnie, więc nasz opiekun Pedro upewnia się, czy mamy wodę, ponieważ na szlaku nie da się jej uzupełnić. Będziemy obcować wyłącznie z naturą, pozbawieni jakichkolwiek udogodnień cywilizacyjnych – ostrzega. Caminito del Rey swoją nazwę zawdzięcza królowi Alfonsowi XIII, choć jak twierdzi nasz przewodnik, monarcha w czasie inauguracji w 1921 r. z powodu załamania pogody pokonał zaledwie 700 m szlaku. Nie zbudowano go jednak po to, by podziwiać wąwóz Gaitanes, ten andaluzyjski cud natury położony 56 km na północ od Malagi. Miał on cel czysto praktyczny: łączyć zaporę El Gaitanejo na północy z elektrownią wodną El Chorro na południu, ułatwiając robotnikom sprawne przemieszczanie się oraz konserwację urządzeń. Projektantem tej śmiałej konstrukcji był Rafael Benjumea, który za zasługi dla elektryfikacji regionu otrzymał od króla tytuł hrabiego Guadalhorce. Z czasem zalety ścieżki

ADOBE STOCK (3), GETTY IMAGES. POPRZEDNIE STRONY: GETTY IMAGES

eprasa.pl a72af8dce1



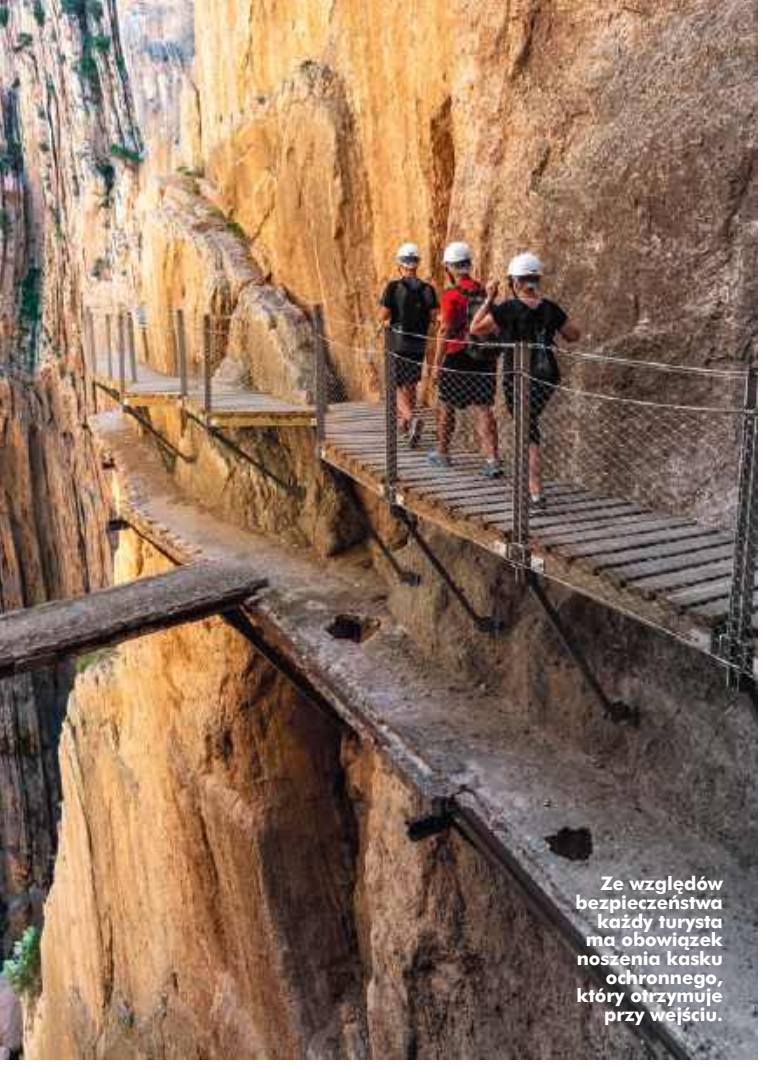


Na wapiennych ścianach można znaleźć skamieniałości z okresu jurajskiego. Cały ten masyw był kiedyś dnem oceanu.

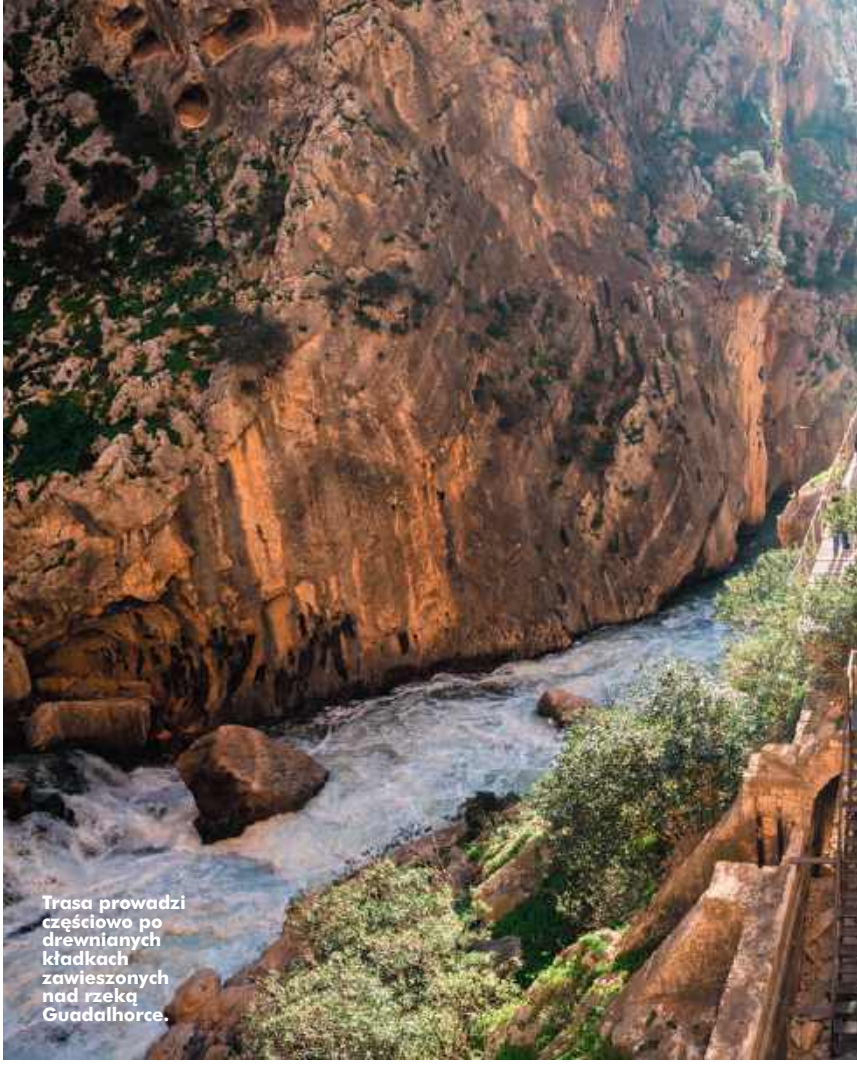


Most wiszący Puente Colgante znajduje się na wysokości 105 m i ma 35 m długości.

eprasa.pl a72af8dce1



Ze względów bezpieczeństwa każdy turysta ma obowiązek noszenia kasku ochronnego, który otrzymuje przy wejściu.



Trasa prowadzi częściowo po drewnianych kładkach zawieszonych nad rzeką Guadalhorce.

docenili także okoliczni mieszkańcy – trasa stała się codziennym skrótem do szkoły, pracy czy sklepu, a młodym ułatwiała potajemne schadzki. Choć dziś wydaje się to nieprawdopodobne, szlakiem tym poruszały się nawet konie. Niestety po wybudowaniu nowej elektrowni w 1978 r. droga przestała być potrzebna i pozbawiona opieki zaczęła popadać w ruinę. Dziś jej fragmenty biegną około metra pod nową konstrukcją.

IM WYŻEJ, TYM PIĘKNIEJ

Wchodzimy coraz wyżej, na charakterystyczne pionowe, pomarańczowe skały ozdobione kępami zielonej roślinności. Wyciosane przez rzekę i deszcze ściany niemal przesłaniają niebo. Z tej wysokości świat wygląda zupełnie inaczej – spacerujemy 100 m nad dnem wąwozu, który momentami staje się tak ciasny, że ściany zdają się nas dotykać. Całkowita długość historycznej drogi to 2,9 km, z czego 1,5 km stanowi podniebny spacer podzielony na dwa odcinki przedzielone biegnącym dnem doliny łącznikiem. Szlak nie jest trudny, jego przejście zajmuje od półtorej do dwóch godzin i nie wymaga specjalistycznych umiejętności, choć gwarantuje ogromną dawkę emocji. Płynąca w dole rzeka Guadalhorce – której spadek na tym krótkim odcinku wynosi aż 100 m – nieustannie zmienia swój charakter. Raz leniwa i spokojna, za moment zaczyna wirować, pienić się i gwałtownie przeskakiwać przez skalne progi. Wąwóz Gaitanes, będący sercem parku przyrodniczego o tej samej nazwie, to skarb Andaluzji. Jego wapienne ściany wznoszą się na wysokość ponad 300 m, a w najwęższych punktach dzieli je zaledwie 10 m. Dzięki budowie

Caminito del Rey przed renowacją uchodził za najniebezpieczniejszy szlak świata.

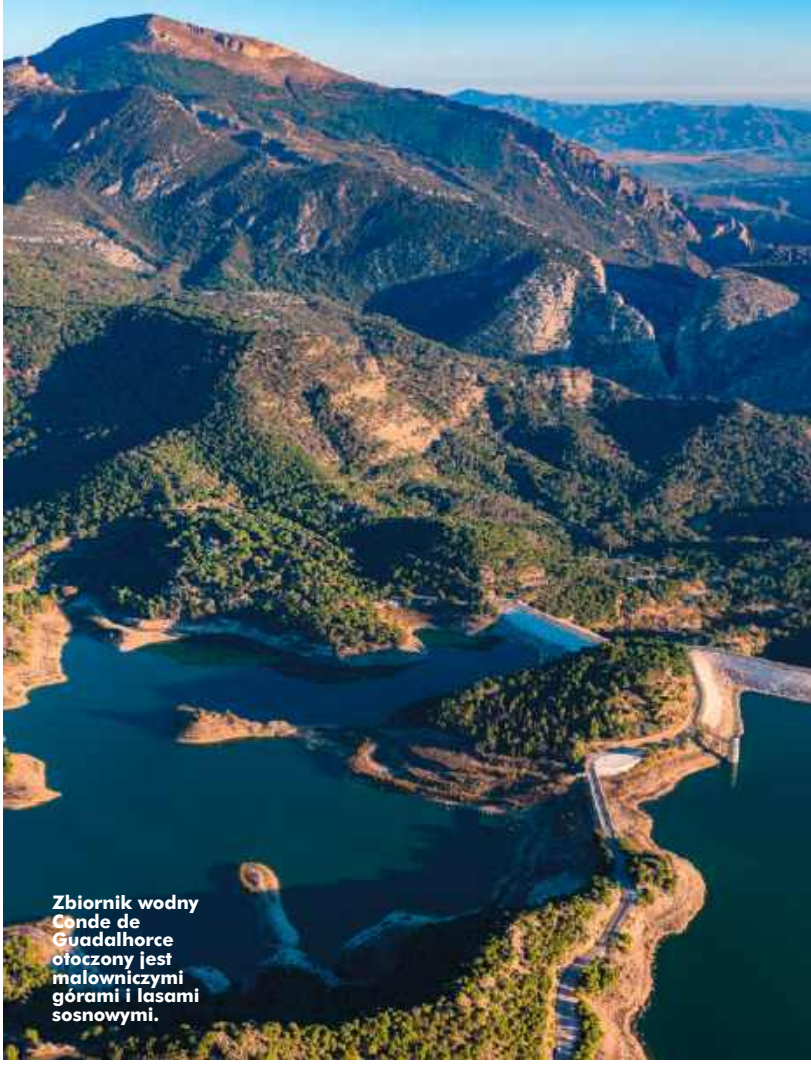


Na terenach wodnych w okolicy rzeki Guadalhorce w dolnym odcinku wąwozu El Chorro można spotkać zimorodki.

ADOBE STOCK (3), GETTY IMAGES

eprasa.pl a72af8dce1





Zbiornik wodny Conde de Guadalhorce otoczony jest malowniczymi górami i lasami sosnowymi.

geologicznej teren ten obfituje w jaskinie będące prawdziwą gratką dla speleologów. Aż trudno uwierzyć, że do XIX w. miejsce to znali jedynie lokalni pasterze i myśliwi. Dopiero budowa linii kolejowej z Malagi do Kordoby w 1865 r., której tory z żelaznymi wiaduktami wciąż biegną po przeciwnej stronie kanionu, zwróciła oczy świata na ten zakątek. Jednak to powstanie elektrowni uczyniło z niego prawdziwy magnes dla podróżników.

WŚRÓD GWIAZD

Na pytanie o bezpieczeństwo na szlaku Pedro żartuje, że średnio spadają z niego tylko cztery osoby dziennie. Zdradza też, że pomimo plotek do jego budowy wcale nie zatrudniono więźniów, tylko żeglarzy, ponieważ lepiej radzili sobie na wysokościach. Kiedy schodzimy na dno wąwozu, krajobraz się zmienia, a dolina i rzeka wyraźnie się rozszerzają. Brzegi porastają szuwary, tamaryszek oraz lubiące wilgoć wierzby i topole. Można tu spotkać sosny Aleppo i dęby ostrolistne, eukaliptusy, oleandry i drzewo karobowe, którego nasiona mają idealnie równą wagę 1 karata, dlatego były używane jako wzorzec masy w jubilerstwie. Żyją tu sępy egipskie i płowe, koziorożce iberyjskie, które wcale się nas nie boją i pasą się spokojnie, kiedy przechodzimy. Co jakiś czas po drugiej stronie doliny widzimy fragmenty linii kolejowej z tunelami i mostami. Pedro opowiada, że to ulubiona miejscówka filmowców. W 1965 r. nakręcono tu m.in. sceny do filmu *Ekspres von Ryana* z Frankiem Sinatrą, który właśnie w wąwozie spektakularnie wyskakiwał z pociągu ścigany przez nazistów. Wówczas miejsce to odgrywało plenery Szwajcarii. Gościli tu Brigitte Bardot, Omar Sharif (wówczas wąwóz był Afganistanem) i wiele innych gwiazd. Z pewnością to jedno z najbardziej fotogenicznych i zachwycających miejsc nie tylko w Hiszpanii. Znów pniemy się w górę, na ostatni odcinek szlaku, by zmierzyć się z największymi atrakcjami: szklaną kładką zawieszoną nad przepaścią oraz słynnym Puente Colgante – mostem wiszącym rozpiętym między krawędziami kanionu. Lekko się bujając i drżąc na wietrze, konstrukcja pozwala się nam przedostać na drugą stronę wąwozu, fundując solidną dawkę adrenaliny na pożegnanie. Stąd czeka nas już tylko spacer do przystanku, skąd autobus odwozi turystów na parking w Ardales. Tam zostawiliśmy auto, ponieważ szlak jest jednokierunkowy. To wielka szkoda, bo z chęcią zmierzylibyśmy się z nim jeszcze raz. ■

eprasa.pl a72af8dce1



Bezkresne pola i długie szutrowe ścieżki to wizytówka Mesety – rozległego płaskowyżu w centralnej Hiszpanii.



TEKST **BARTEK KAFTAN**

JAKUB I ŚWIĘTA KOMPANIA

PIELGRZYMI MASZERUJĄ DO SANTIAGO DE COMPOSTELA OD PRAWIE 1,2 TYS. LAT.

eprasa.pl a72af8dce1



Pomnik Pielgrzyma na przełęczy Alto de San Roque (1270 m n.p.m.) w pobliżu O Cebreiro.





Wędrowcom nierzadko towarzyszą wypasające się stada owiec.

eprasa.pl a72af8dce1



Pallozas to tradycyjne galisyjskie chaty wywodzące się prawdopodobnie jeszcze z czasów Celtów. Witają pielgrzymów w O Cebreiro, pierwszej galisyjskiej miejscowości na szlaku.

Aby uzyskać odpust, trzeba pokonać pieszo przynajmniej 100 km, kolekcjonując stemple w pątniczym paszporcie.



Granitowy kamień milowy z płaskorzeźbą muszli przegrzebka wyznacza kilometry pozostałe do celu.

Żwir chrzęści pod butami, droga kolejną godzinę pnie się w górę. Mięśnie ud pieką, ścięgna Achillesa dają o sobie znać. Nogi pielgrzymów zdążyły się już wprawić w wędrówce – kto wyruszył z Pirenejów, ma w nich prawie 450 km – ale odwykły od wspinaczki. Przez ostatnie półtora tygodnia przemierzały bezkres Mesety – łagodnie falującej pustki pomiędzy Burgos a León. Na odcinku między kastylijskimi miastami – to ponad 200 tys. kroków! – wzrok pielgrzyma rzadko ma się o co zaczepić. Miasteczek tu niewiele, zaczynają się i kończą jak nożem uciął. Domy tulą się do siebie – stłoczone a to pod ruinami zamku, jak w Castrojeriz, a to wokół romańskich kościołów: św. Marcina we Frómiście czy Matki Boskiej i św. Jakuba w Carrión de los Condes. Te i wiele innych miejscowości rozkwitły na Drodze Francuskiej, głównym szlaku do Santiago de Compostela. Od średniowiecza żyją one z drogi i ową drogę wyznaczają.

Przez kolejne godziny zarys domów na horyzoncie rośnie tak wolno, że można zwątpić, czy w ogóle się przybliża. Marsz przez Mesetę jest wyzwaniem tyleż dla stóp, co dla umysłu. Wspinaczka na przełęcz Foncebadón budzi z letargu. Na szczycie pielgrzymi przystają pod Cruz de Ferro, Żelaznym Krzyżem, i dokładają do usypanego pod nim stosu swój kamyk. Wraz z nim w najwyższym punkcie szlaku zostawiają troski, z którymi wyruszyli do Santiago. Teraz z każdym krokiem będzie lżej, choć to najbardziej górzysty fragment drogi. Wspiąwszy się na kolejną przełęcz, wkroczą do zupełnie innego świata. We wsi O Cebreiro powitają ich pallozas, okrągłe chaty ze strzechami wywodzące się ponoć jeszcze z czasów celtyckich. To znak, że dotarli do ostatniego regionu na trasie. Do zachwycającej zielenią wzgórz Galicii.

DROGA TO ŻYCIE

W chłonięciu atmosfery pielgrzymom mogą przeszkodzić... inni pielgrzymi. Im bliżej Santiago, tym tłok większy. Aby uzyskać odpust, trzeba pokonać pieszo przynajmniej 100 km, kolekcjonując stemple w pątniczym paszporcie. Zbiera je większość wędrowców, choć w odpust wierzy niewielu. Patricia, szefowa jednej z organizacji opiekujących się szlakami, mówi, że religijną motywację deklaruje tylko co dziesiąty. – Wielu poszukuje przeżyć duchowych, ale niekoniecznie katolickich – dodaje. Zapewnia im je raczej rytm drogi: pobudka skoro świt, marsz, przerwa w południe, znów wędrówka. Schronisko, prysznic, rozmasowanie stóp i rozmowy z poznanymi przypadkiem (a może nie?) towarzyszami drogi. Ale gdy towarzyszy jest tylu, że trzeba walczyć o pryczę, czar czasem pryska. Na popularności zyskują więc mniej

ADOBE STOCK(2),SHUTTERSTOCK,GETTY IMAGES ; POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a72af8dce1

znane szlaki. Najwięcej osób nadal wędruje Drogą Francuską. – Ale niektórzy narzekają, że zbytnio się skomercjalizowała, że za duży tam tłok – opowiada Patricia. Pielgrzymi poszukujący autentycznych przeżyć wybierają więc Drogą Portugalską z Lizbony i Porto, Drogę Północną wzdłuż brzegów Zatoki Biskajskiej, Camino Primitivo z Oviedo, wiodące śladami pierwszego pątnika, asturyjskiego króla Alfonsa II, czy Drogę Angielską z nadmorskiego Ferrol. – Ta ostatnia jeszcze kilkanaście lat temu była niemal martwa – Patricia używa mocnego słowa. Porównuje pielgrzymie szlaki do krwiobiegu. – Gdzie jest *camino* („droga"), tam jest życie – twierdzi. Hiszpańska prowincja się wyludnia, młodzi wynoszą się do miast, w Kastylii, Asturii, Galicii pustoszeją całe wsie. – Wraz z pielgrzymami pojawia się ożywczy impuls – opowiada. Jest tak również w galisyjskim Mondoñedo, gdzie rozmawiamy. Miasteczku na Drodze Północnej nie grozi zniknięcie, ale mieszkańców jest tu trzy razy mniej niż przed stu laty. Gołym okiem widać minioną chwałę: pałace, plac i katedrę. – Jedyną na Camino del Norte między Oviedo a Santiago! – podkreśla Patricia. Świątynia ma romański portal, gotycką rozetę i barokowe wieże – ewidentnie wznoszono ją długo, a Mondoñedo cieszyło się dostatkiem. Dziś znów pod katedrą kręcą się pielgrzymi. Już popołudnie, plecaki zostawili w schroniskach, ale i tak łatwo ich rozpoznać. Aby dać odetchnąć stopom, wielu spaceruje w japonkach – takiego obuwia nie założyłby żaden szanujący się mieszkaniec eleganckiego, choć może nieco podupadłego miasteczka na hiszpańskiej prowincji. Nagle dostrzegamy chłopaka w znoszonych butach i z plecakiem. Dotarł późno, maszeruje we własnym rytmie.

– Pochodzę z Korsyki, a do Santiago idę z Bretanii. Już piąty miesiąc – mówi. Do celu ma niedaleko, niecały tydzień. Jak się z tym czuje?

– Zostało mi drugie tyle. Bo do Bretanii wrócę na piechotę – uśmiecha się. Zupełnie jak w średniowieczu. Dziś większość pielgrzymów wsiada w samolot i teleportuje się do domu. Dawniej szlaki pełne były wędrowców zmierzających w obu kierunkach. I to ci wracający nieśli muszle św. Jakuba – na znak, że dotarli do celu.

> Przez harmider przebija się wibrujący dźwięk gaitas, czyli dud. Wygrywane na nich melodie witają pielgrzymów.



Tarta de Santiago to tradycyjne galisyjskie ciasto migdałowe wyróżniające się wilgotną konsystencją i intensywnym aromatem.

GRAJCIE PANU!

Ów cel widać po raz pierwszy z Monte do Gozo, Góry Radości. Nad miastem w dolinie górują bliźniacze wieże – w Santiago do dziś nie wolno wznosić budowli wyższych niż dzwonnice katedry. Od wieków głoszą pielgrzymom dobrą nowinę: od kresu wędrówki dzieli ich już tylko godzina. Średniowieczni pątnicy wiedzieli o tym pewnie trochę wcześniej. Nim zza wzgórza wyłoniła się świątynia, dostrzegali buchający w niebo słup dymu, smolistego i ciemnego. Zwiastował rychłe wytchnienie, ale był też złowieszczy. W ogniu, nad którym się unosił, płonęło ich pielgrzymie życie. – Pod Cruz dos Farrapos palono ubrania pątników – Fabiana wskazuje kamienną nieckę obok krucyfiksu wspartego na grzbiecie baranka. Miało to zapobiegać zarazom, pątnicy mogli przywlec najróżniejsze choroby. Gdyby jednak chodziło tylko o względy sanitarne, szaty płonęłyby na opłotkach. Tymczasem słup dymu buchał spod Krzyża Szmat na... dachu katedry.

– Spalenie łachmanów i odzianie się w świeże szaty symbolizowało oczyszczenie z grzechów – opowiada nasza przewodniczka. Rytuał miał wymierne konsekwencje: pielgrzymi potrzebowali nowych ubrań. – Santiago przez wieki było miastem krawców. To był świetny biznes – uśmiecha się Fabiana. – Krawcem był nawet katedralny dzwonnik, który do połowy XX w. mieszkał na Wieży Zegarowej. Nie on jeden miał tak oryginalny adres. W średniowieczu obwiedzionego blankami dachu katedry strzegli żołnierze, a budowla była tyleż świątynią, co twierdzą. Dziś sporo się zmieniło. Dzwony uruchamia automat, ubrań nikt nie pali, a na dachu, poza naszą grupką, nie ma żywego ducha. Nie zmieniła się za to atmosfera na placach wokół katedry – zwłaszcza Praza do Obradoiro, z którego pielgrzymi wchodzą do świątyni. W dole słyszymy uliczny gwar: radosne okrzyki, śmiech, stukanie kosturów i klaskanie w dłonie, którym wtóruje sobie grupka maszerująca ze śpiewem na ustach. Przez harmider przebija się wibrujący dźwięk gaitas, czyli dud. Wygrywane na nich melodie witają pielgrzymów w bramie, przez którą wchodzą na plac. Niemal zawsze występuje tu ktoś z gaiteros.

– Mamy rozpisany grafik, by nie robić sobie konkurencji – tłumaczy Julia, którą zastaję w bramie. – Dudy to instrument typowy dla Galicii

SHUTTERSTOCK(3), ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1



Po dotarciu do Santiago pielgrzymi odpoczywają na placu przed katedrą.



Botafumeiro to wielkie kadzidło, inaczej nazywane trybularzem, które jest największe na świecie i znajduje się w katedrze w Santiago de Compostela.



Charakterystyczna żółta strzałka (*flecha amarilla*) namalowana na kamieniu to uniwersalny drogowskaz na Camino de Santiago.

Teprasa.pl a72d



Gwarne uliczki wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO Starego Miasta Santiago de Compostela.





Wnętrze romańskiej katedry w Santiago de Compostela. W ołtarzu głównym znajduje się bogato zdobiona barokowa krypta kryjąca według wierzeń szczątki św. Jakuba

eprasa.pl a72af8dce1



Położone wśród malowniczych galicyjskich wzgórz miasteczko Mondoñedo. W jego centrum wyróżnia się "La Catedral Arrodillada", czyli klęcząca katedra.

i sąsiedniej Asturii. Bardzo stary, korzenie ma celtyckie – wyjaśnia. Celtycki i galisyjski jest też kolczyk w jej nosie oraz instrumenty, które wyrabia w swej pracowni, zwłaszcza panderetas, czyli tamburyny. Wszystko nawiązuje do czasów dawniejszych niż początek IX w., gdy w mieście odnaleziono relikwie św. Jakuba.

POTĘPIEŃCY I ROPUCHY

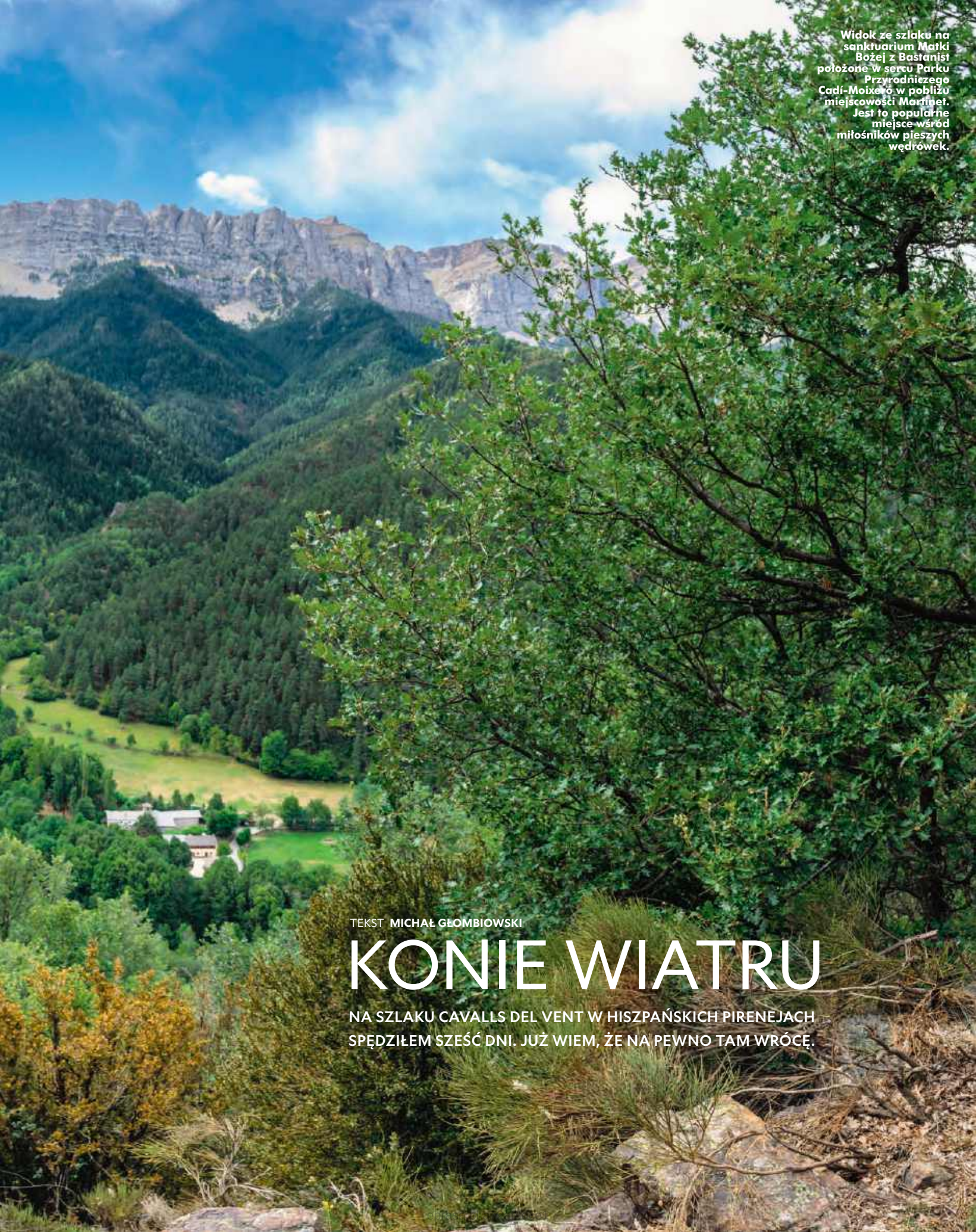
Tropem zamierzchłej przeszłości i wierzeń prowadzi mnie nazajutrz Merichel – rodowita Galisyjka, która do stołecznego Santiago przeniosła się z gospodarstwa na południu regionu. W ścianach jezuickiego kościoła Santo Agostiño dotykamy kamieni z symbolami ryb, gwiazdy Dawida czy hebrajskimi inskrypcjami – resztek budowli z juderíi (dzielnicy żydowskiej) rozebranych po tym, jak pod koniec XV w. Żydów wygnano z Hiszpanii. Przy wejściu do Capela das Ánimas oglądamy tradycyjną skarbonkę na ofiary za dusze czyśćcowe – a wyżej, na fasadzie: same dusze zanurzone w piekielnym ogniu. W kościele San Miguel przechodzi mnie dreszcz. – Obok znajdowała się pierwsza siedziba inkwizycji. Sądzono tu heretyków, a także kobiety oskarżane o czary. W Galicii mawiamy na nie meigas – opowiada Merichel, gdy stajemy przed figurą Maryi. – Przed egzekucją skazańców prowadzono do kaplicy Matki Boskiej Bolesnej. Modlili się o szybką śmierć. – Nasz region jest bardzo przesądny – ciągnie, gdy wychodzimy. Teraz śladów dawnych wierzeń będziemy szukać w innej scenerii. Kilkaset metrów od katedry wchodzimy w zielony gąszcz nad rzeczką Sarelą. – Choćby takie cruceiros – Merichel wskazuje kamienny krucyfiks przy ścieżce. – U nas zobaczysz je wszędzie. Niby zwyczajne krzyże, ale nie do końca. To też amulety. Słyszałeś o Santa Compaña? Grupki zbłąkanych dusz włóczą się po lasach i polach ze świecami w dłoniach, skute łańcuchami. Gdy usłyszysz ich brzęk, pędź do cruceiro. Jeśli zdążyć stanąć na cokole, nim ujrzysz potępieńców, ocalejesz. Jeśli nie, dołączysz do nich. Galisyjczycy nadal w to wierzą? – I tak, i nie – Merichel uśmiecha się zagadkowo. I opowiada o sapos, tradycyjnych wisiorkach, których nazwa – „żaby" – wywodzi się od woreczków z zasuszonymi ropuchami noszonych przez galisyjskie chłopki dla ochrony przed złym okiem. O zaklęciach wypowiadanych nad queimadą, podpalanym napojem z wysokoprocentowego orujo. O swojej babci, która zbierała i suszyła lecznicze zioła – Merichel zna jeszcze niektóre z nich. O figas, amuletach w kształcie zaciśniętej pięści, które u jubilerów wiszą obok krzyży i medalików. I o morriñi, najbardziej galisyjskim z uczuć – tęsknotą za dalekim albo utraconym domem: podmokłą łąką, na której pasało się krowy, i ogniem trzaskającym w palenisku, gdy za oknem świat tonie w atlantyckiej mgle. Mijamy kościółek Virgen del Carmen, przy nim średniowieczny most i faladoiro, kamienną ławę do pogaduszek. Mijamy lavadeiro nad strumieniem – granitowe płyty wyślizgane przez tysiące pranych tu od wieków ubrań. Przy zapomnianym młynie rzeczka przyspiesza, pieniąc się wśród kamieni. Odbijamy w lewo, na zielone wzgórze. Gdy wchodzimy do Carballeira de San Lourenzo – wierzcie lub nie – słychać, jak ktoś gra na dudach. Carballeira to po galisyjsku dąbrowa – ta pełna jest drzew tak starych i rozłożystych, że nie zdziwiłbym się, gdybym w ich koronach zobaczył druidów zbierających jemiołę. Zamiast nich pojawia się coraz więcej przechodniów – z magicznej doliny Sareli wchodzimy do eleganckiego parku Alameda. I gdy czar już zaczyna pryskać, zza drzew wyłaniają się wieże katedry skąpane w popołudniowym słońcu. Czuję się, jakbym widział je po raz pierwszy – po bardzo długiej podróży. ■

SHUTTERSTOCK(3)

eprasa.pl a72af8dce1

32 TRASY TREKKINGOWE
HISZPANIA/PIRENEJE





Widok ze szlaku na sanktuarium Matki Bożej z Bastanist położone w sercu Parku Przyrodniczego Cadí-Moixeró w pobliżu miejscowości Martinet. Jest to popularne miejsce wśród miłośników pieszych wędrówek.

TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

KONIE WIATRU

NA SZLAKU CAVALLS DEL VENT W HISZPAŃSKICH PIRENEJACH SPĘDZIŁEM SZEŚĆ DNI. JUŻ WIEM, ŻE NA PEWNO TAM WRÓCĘ.



Szlak Cavalls del Vent przebiega u podnóża słynnej góry Pedraforca o dwóch szczytach połączonych przełęczą.

To najlepszy sposób na rozpoczęcie przygody z Pirenejami – przyznał Jordi, gdy dotarliśmy do Prat d'Aguiló, schroniska, którym się opiekuje. – Trasa jest dość łatwa, nie musisz mieć sprzętu ani umiejętności wspinaczkowych – zapewniał. A tych rzeczywiście nie mamy. Ponad 80-kilometrowy szlak Cavalls del Vent jest jednak osiągalny dla każdego, kto potrafi pokonać w ciągu dnia kilkanaście kilometrów. Pireneje dawno chodziły nam po głowie, a trekking po tych stosunkowo mało uczęszczanych górach wydawał się idealnym preludium do poznania hiszpańskiej Katalonii. Gdy przeglądaliśmy potencjalne trasy, większość z nich prowadziła po wysokich szczytach i wyglądała dość wymagająco. A my szukaliśmy czegoś, czemu podoła nasza grupa osób w średnim wieku. Aż trafiliśmy na Cavalls del Vent, pieszą pętlę niestraszącą setkami kilometrów, które trzeba przebyć, i niezahaczającą, poza jednym wyjątkiem, o wyższe partie gór. Ścieżka okrąża Park Przyrody Cadí-Moixeró. Od połowy maja do połowy października działają na tym terenie schroniska, w których można liczyć na nocleg i dobry posiłek. Przejście szlaku zajmuje zwykle pięć dni. Nieco zachowawczo uznaliśmy, że potrzeba nam sześciu, i zarezerwowaliśmy noclegi.

Szlak Cavalls del Vent nie jest trudny do pokonania dla początkujących piechurów, którzy nie mają umiejętności wspinaczkowych.



Zbierając grzyby w Pirenejach, sprawdźmy lokalne przepisy. W niektórych gminach obowiązują opłaty lub limity ilościowe.

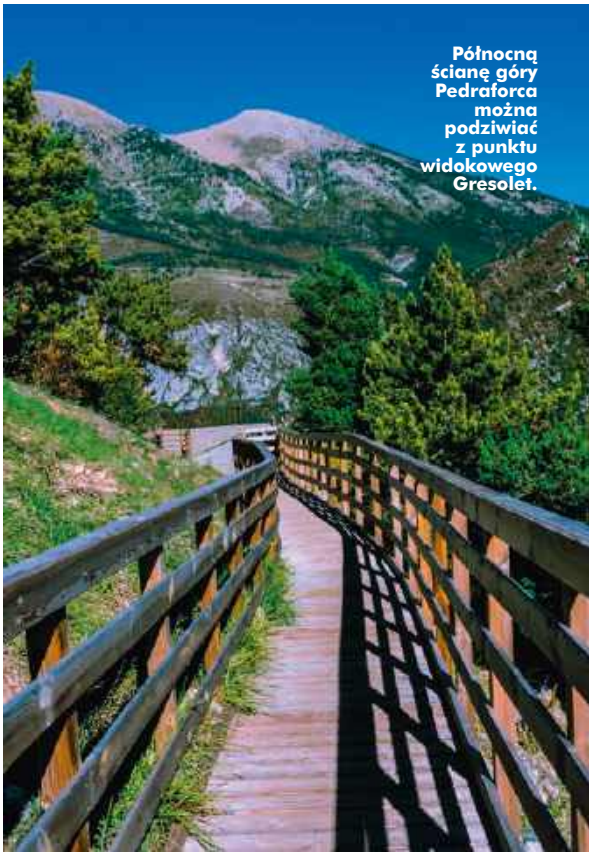
ZAPOMNIANE ŚCIEŻKI

Z pogrążonej w wilgotnym morskim upale Barcelony autobus zabrał nas do niewielkiej miejscowości Bagà leżącej w pobliżu naszej trasy. Pogoda zrobiła się bardziej górska – było wciąż ciepło, ale o dobre kilka stopni mniej niż na wybrzeżu, a płynące nad jasnymi szczytami szare chmury sugerowały, że lepiej przygotować się na nagłe zmiany aury. Cavalls del Vent, co po katalońsku znaczy „konie wiatru" i jest nie do końca jasnym nawiązaniem do buddyjskich flag modlitewnych łopoczących na wietrze w Himalajach, nie została wytyczona od zera. Przez ponad rok grupka miejscowych pasjonatów – miłośników gór lub strażników parku i schronisk – przemierzała zapomniane pirenejskie ścieżki, niegdyś używane przez pasterzy i mieszkańców wiosek, którzy chadzali nimi do sąsiadów. By trasa stała się możliwa do pokonania, twórcy Cavalls del Vent musieli usunąć sporo kamieni i wyciąć pnie zwalonych drzew. Zimą szlak nadal może być niedostępny (przy większych opadach śniegu ścieżki dosłownie pod nim znikają), w lecie poza ewentualnymi deszczami na piechurów nie czekają jednak żadne niespodzianki. Miłośnicy krajobrazów skąpanych w jesiennych barwach przyjeżdżają tu we wrześniu, kiedy jest jeszcze dość ciepło, a drzewa mienią się kolorami.

SHUTTERSTOCK (4), POPRZEDNIE STRONY: ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1





Północną ścianę góry Pedraforca można podziwiać z punktu widokowego Gresolet.



Malownicza równina Prat de Cadí to jedno z najbardziej spektakularnych miejsc w paśmie Serra del Cadí.

eprasa.pl a72af8dce1



Przez wioskę Josa del Cadí położoną w Parku Przyrodniczym Cadí-Moixeró przebiega wariant rowerowy trasy Cavalls del Vent.

eprasa.pl/a72af8dce1



SHUTTERSTOCK

Szlak Cavalls del Vent wytyczono po zapomnianych pirenejskich ścieżkach, niegdyś używanych przez pasterzy i mieszkańców wiosek.

POZA ŚWIATEM

Wyruszyliśmy, kierując się namalowanymi w równych odstępach na skałach i pniach drzew pomarańczowymi okręgami. To subtelne oznaczenie szlaku stało się nicią rozciągniętą przez dziesiątki kilometrów. Należało się jej trzymać, by nie utknąć w jakiejś dolinie lub ślepym skalnym zaułku. Twórcy Cavalls del Vent wykonali dobrą robotę – przezornie zaopatrzyliśmy się w drukowane mapy, sięgaliśmy po nie jednak jedynie dla czystej przyjemności oznaczania swojego położenia w szerszej przestrzeni. Ani razu nie musieliśmy poszukiwać na nich zgubionej ścieżki, ani razu też nie wygrzebywaliśmy z plecaka urządzenia GPS, które upchnęliśmy tam po cichu, by ratowało nas w beznadziejnych sytuacjach. Szlak wciął się ostro w zbocza, nadrabiając wysokość, by poprowadzić nas do pierwszego noclegu: schroniska Refugi Niu de l'Àliga. Ta jedyna na trasie stacja narciarska, położona na ponad 2500 m, była też najwyższym punktem naszej wędrówki. Cavalls del Vent na większości dystansu zadowala się niższymi górami, choć nigdy nie schodzi poniżej 840 m. To idealny pułap dla początkujących. Mogliśmy się cieszyć krystalicznym, rześkim górskim powietrzem, unikając



Na szlaku Cavalls del Vent można podziwiać rozległe widoki na pasmo górskie Serra del Cadí.

letniego skwaru. Równocześnie nasza wędrówka w żadnym punkcie nie przybrała charakteru czysto wspinaczkowego. Wystarczyło po prostu iść po wznoszących się i opadających stokach, bez konieczności pokonywania pionowych ścian i czując się, jakby płynęło się przez łagodnie zmieniający się krajobraz. Ta trasa wciąż nie jest szerzej znana, szybko okazało się więc, że na szlaku jesteśmy niemal sami. Mijaliśmy pojedyncze osoby – nigdy więcej niż kilkadziesiąt dziennie – kiwając sobie życzliwie głowami, jakbyśmy należeli do tego samego niewielkiego plemienia. Dostaliśmy ten zakątek Pirenejów na kilka dni w prezencie, ciesząc się nim i dzieląc ze skaczącymi po skałach stadkami kozic.

CHMURY MOTYLI

– Wypatrujcie motyli – poradził nam Jordi, gdy któregoś dnia dotarliśmy do schroniska będącego pod jego opieką. – O tej porze roku jest ich tu mnóstwo, w tym sporo rzadkich gatunków. – Jordi się nie mylił. Po obfitym śniadaniu, pełnym serów i warzyw pochodzących z okolicznych upraw, ruszyliśmy w drogę. Minęliśmy wspaniały sosnowy las, by wyjść na rozległe łąki. Ścieżka poprowadziła nas pomiędzy wysokimi trawami i kwiatami o drobnych płatkach i gdy tylko wkroczyliśmy na ten dywan zieleni, wzbiły się ponad niego dziesiątki motyli. Trzepotały skrzydłami, kreśląc w powietrzu skomplikowane linie, tańcząc tuż obok nas i przysiadając na plecakach. Uzbrojeni w aplikacje do rozpoznawania gatunków wyłapywaliśmy kolejne rarytasy – argus szkocki, mieniące się kolorowymi szachownicami na skrzydłach fritillaries, paź żeglarz. Niektóre z nich widziałem po raz pierwszy w życiu. To jednak nie unikatowość ich gatunków robiła największe wrażenie, lecz liczba. Motyle formowały się w nisko zawieszone przelewające się chmury, jakbyśmy przenieśli się w inne czasy, gdy świat nie był jeszcze bombardowany kolejnymi, wywołanymi przez człowieka katastrofami. Ta rozwibrowana witalność natury jest dla Pirenejów typowa. Okolice parku Cadí-Moixeró uniknęły gęstego zaludnienia. Zwierzęta i rośliny mają się tu więc dobrze. Idąc przez lasy, nasłuchiwaliśmy bębnienia dzięciołów, na łąkach widzieliśmy sylwetki lisów i łani, spod nóg uciekały nam jaszczurki, a nad głowami przesuwały się sępy płowe. Te ciężkie drapieżniki, lubujące się w poszukiwaniu padliny, wyłapywały kominy ciepłego unoszącego powietrza, by szybować pod chmury. Jednak często też

SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl a72af8dce1



Font de l'Adou, źródło rzeki Bastareny, znajduje się w okolicy miejscowości Bagà. Woda wypływa tu bezpośrednio ze skał, tworząc urokliwe wodospady.

pojawiały się niespodziewanie, przelatując kilka metrów od nas. Ich nagie głowy i szyje sprawiały posępne wrażenie, a drapieżniki łypały na nas okiem, jakby rozważały, czy warto wykazać zainteresowanie naszą grupą. Przemierzając szlak, będąc niemal cały dzień w plenerze i robiąc sobie przystanki na krótkie kąpiele w potokach i pod chłodnymi wodospadami, zdałem sobie nagle sprawę, że od dawna już nie czułem się tak zespolony ze światem i krajobrazem wokół.

OCET Z JODŁY

Na trasie stoi osiem schronisk. W tych, w których nie spaliśmy, robiliśmy przystanki, by zjeść pożywny posiłek. Na trasie Cavalls del Vent nie ma sklepów ani restauracji – lekki prowiant mieliśmy więc ze sobą. Każdego wieczora, docierając do schronisk, czuliśmy się niczym wędrowcy wracający do domu. Gospodarze witali nas wylewnie, momentalnie skracając wszelki dystans, jakbyśmy znali się od dawna. Niemal w drzwiach serwowali nam sycące zupy, pieczywo z domowego wypieku, sałaty z górskimi ziołami czy potrawki z królików, których w Pirenejach jest zatrzęsienie. Podsuwali regionalne specjały, czasem zaskakujące w smaku, jak ocet jodłowy. – Używamy go tu od pokoleń, ale to produkt, którego nie dostaniesz w sklepie – wyjaśnił Jordi. – Tradycyjnie ocet robiło się w domu. Trzeba do tego cierpliwości, sok z jodły musi naturalnie sfermentować i zmienić się w alkohol, a później jeszcze długo dojrzewać. Świetnie podkreśla smak sałatek, ale można też przyprawić nim dziczyznę – dodał. Wziąłem kilka kropli na język, czując delikatne nuty jodły, żywicy i leśnych owoców. Pomyślałem, że nie ma chyba lepszego sposobu na zamknięcie świata gór w butelce. I wiedziałem już, że mimo konieczności noszenia bagażu na własnych plecach, nie powstrzymam się przed kupnem od naszego gospodarza kilku butelek tego specjału. Siedliśmy później na tarasie, podjadając plasterki suszonej wędliny i racząc się kieliszkiem wina. Jordi, gdy miał chwilę przerwy w obowiązkach, dołączał do nas, by opowiadać historie ze swojego dzieciństwa. O niespodziewanych spotkaniach z niedźwiedziami, samotnych wyprawach w Pireneje, w czym kryła się chęć odtworzenia podobnych wędrówek odbywanych w młodości z ojcem. Patrzyliśmy w zapalające się nad naszymi głowami punkty gwiazd i słuchaliśmy tych opowieści, a ja pomyślałem, że właśnie dla takich chwil wyrusza się na szlak. By przez moment poczuć się częścią czyjegoś życia. ■

eprasa.pl a72af8dce1



TEKST **PIOTR TRYBALSKI**

TĘCZOWE GÓRY

ISLANDIĘ ŁATWO ZWIEDZIĆ, PODRÓŻUJĄC DROGĄ NR 1 DOOKOŁA WYSPY. DRUGA TRASA WYMAGA NIECO ODWAGI, ODPORNOŚCI NA KAPRYSY POGODY I AUTA Z NAPĘDEM NA CZTERY KOŁA.



Pasmo górskie Kerlingarfjöll to aktywny obszar geotermalny z kolorowymi górami riolitowymi, gorącymi źródłami i lodowcami.

eprasa.pl/a72af8dce1



Znak szlaku turystycznego prowadzącego na wulkan Bláhnúkur w rezerwacie przyrody Fjallabak.





Relaks w gorących geotermalnych źródłach w Hveravellirze, w centralnej części wyspy, między lodowcami Langjökull i Hofsjökull.

eprasa.pl a72af8dce1



Obóz bazowy w Landmannalaugar w rezerwacie przyrody Friðland að Fjallabaki jest początkiem szlaku trekkingowego. Znajduje się tu schronisko i pole namiotowe dla turystów

Zanim pierwsi mieszkańcy wyspy dowiedzieli się, że tęczowe barwy wielu miejsc mają związek z działalnością wulkanów, uważali to za dzieło elfów.



Kuchnia islandzka jest rybacka i pasterska, wykorzystuje lokalne zasoby, m.in. świeże ryby. Tosty z sardynkami w pomidorowym sosie to pyszna przekąska na szlaku.

Facet z wypożyczalni samochodów świetnie mówił po polsku. Przyznał się, że jest Czechem, ale z pogranicza. Zadawał mi drobiazgowe pytania: gdzie jadę, którą trasą. Kiwał głową ze zrozumieniem. Gdy z moich ust padło: „Drogą F208 na południe, do Vík", spojrzał na mnie zaskoczony i stwierdził, że nie powinienem być aż taki pewien realizacji tego planu. – Przeprawy przez rzeki, wiele przepraw – ostrzegał. – Masz doświadczenie? Zdajesz sobie sprawę, że ubezpieczenie nie obejmuje przekraczania rzek? – straszył mnie. Ale ja dobrze wiedziałem, o czym mówię. Kolejny raz jechałem w islandzki interior. Wypożyczyłem auto z napędem na cztery koła, nieco wyższe od zwykłych, miejskich SUV-ów, ale bez snorkela – wlotu powietrza zamontowanego nad maską. Wiedziałem, że na drogach oznaczonych literką F zwykłymi autami jeździć nie można. Zaś pogodę i bieżące stany rzek lodowcowych sprawdzałem w internecie. Właściwie to głowę zaprzątało mi ciągłe myślenie o pogodzie. Bo jeśli część islandzkiego interioru nazywa się – nie bez przyczyny – Tęczowymi Górami, to ów efekt najlepiej oglądać i fotografować z błękitnym niebem nad głową.

KRAINA ELFÓW

Nim pierwsi, rdzenni mieszkańcy wyspy dowiedzieli się, że tęczowy wygląd wielu miejsc związany jest z działalnością wulkaniczną, a to, co ich zachwycało, nazywamy dziś górami riolitowymi, byli przekonani, że mają do czynienia z dziełem elfów. Uważali, że mieszkają one w ukrytej osadzie z dala od ludzkich oczu; niegroźne pomagały zagubionym wędrowcom – ale pod warunkiem, że ci cechowali się dobrym sercem. To jakoby za sprawą elfów głębokie, strome doliny lodowcowych rzek pocięte są kolorowymi pasami. Ich sprawką są też dymy, które od czasu do czasu snują się w różnych miejscach, zasłaniając widok. Gdy planowałem swój pierwszy raz w Krainie Elfów, wybrałem miejsce dość popularne – Landmannalaugar. Wybór nie był przypadkowy – po prostu najłatwiej się tam dostać. Droga szutrowa to jedynie kilkadziesiąt kilometrów, nie ma wielkich przepraw przez rzeki. Nagrodą jest chyba najpiękniejszy kemping, na którym kiedykolwiek spałem, i nie mniej piękne góry – wręcz na wyciągnięcie dłoni. Krajobraz zmienia się zaraz po tym, gdy zjedziemy z asfaltowej drogi 26 na drogę 208. Wprawdzie pod kołami wciąż pojawia się asfalt, ale kawałek

ADOBE STOCK (2), SHUTTERSTOCK, GETTY IMAGES. POPRZEDNIE STRONY: ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1

Serce Islandii to poplamione płatami śniegu zbocza, siatka głębokich dolin i zielone, wręcz fluorescencyjne pola mchów.



Dzięki dostosowaniu się do trudnych warunków klimatycznych owce islandzkie mają gęstą wełnę i smaczne mięso.

dalej ta ostatnia dostaje literkę F, co oznacza tylko jedno: szuter, droga terenowa. Płaski teren przypomina Księżyc – szary, przysypany popiołem, z niewielkimi wzgórzami na horyzoncie. Dopiero później, bliżej celu zyskuje nową rzeźbę – pofalowanie, jeziora w kalderach wulkanów i kolory momentalnie przyciągające wzrok. Bo czy krwista czerwień może się pojawić w naturze? Na Islandii palety kolorów są dowodem na to, że procesy chemiczne zachodzące tak we wnętrzu Ziemi, jak i na jej powierzchni, potrafią wyczarować najbardziej zdumiewające zestawienia. Gdy staję na krawędzi jeziora Ljótipollur („Brzydkiego Stawu"), jestem oszołomiony grą barw. A to dopiero początek zachwytów. Na pierwszy ogień w Landmannalaugarze wybieram

GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK



Stútur to malowniczy, pokryty mchem stary krater wulkaniczny w południowej Islandii, w pobliżu Landmannalaugaru.



Drewniany most na szlaku turystycznym w pobliżu obszaru geotermalnego Hveradalir w sercu gór Kerlingarfjöll.

szlak prowadzący na szaro-niebieski wulkan Bláhnúkur. Trasa wymaga niezłej kondycji – stroma ścieżka a to ucieka spod nóg sypkim popiołem, a to ślizga się gliną. Zatrzymuję się co chwilę, patrzę wstecz. Pode mną kolorowe plamy namiotów, dziesiątki ramion roztokowej rzeki z lodowca i poszarpana powierzchnia wielkiego pola lawowego. Docieram do wyniosłej skały, w którą miał zostać zamieniony troll chcący ukraść księżyc. Dotykam kamienia, bo inna legenda mówi, że wypowiedziane tu życzenie się spełni – oczywiście pod warunkiem, że ma się czyste serce oraz dobre intencje. Dziś wiem, że to prawda. Za pierwszym razem życzyłem sobie powrócić do Landmannalaugaru. Wracałem, i to nie raz.

ZIELEŃ I BIEL

Serce Islandii to poplamione płatami śniegu zbocza, siatka głębokich dolin i nieliczne zielone pola mchów – niekiedy tworzące rozczapierzone niczym palce ogromnej dłoni, wręcz fluorescencyjne linie. Do tego cielska raczej płaskich pól lodowych kryjących kaldery wulkanów. Podziwiam to wszystko z wysokiego na blisko tysiąc metrów wierzchołka Bláhnjúkur. Wieje mocny wiatr i mimo słonecznej pogody, środka lata, temperatura odczuwalna oscyluje wokół kilku stopni na plusie. Pode mną, na zboczach góry Brennisteinsaldy, dymią pola geotermalne. Obok nich rozciąga się pole lawowe Laugahraun – gdy parę godzin później wracam na kemping, czeka mnie kilka dobrych kwadransów przeprawy przez lawę. To istny labirynt wież, kolumn, niewielkich grot i głazów. Bez wytyczonej ścieżki trudno byłoby się tu odnaleźć. Docieram do namiotu, zostawiam plecak, wkładam kąpielówki i po chwili ląduję w gorącej wodzie naturalnego basenu geotermalnego. Obok mnie całkiem spory tłumek piechurów. Siedzimy na ciepłym żwirze zanurzeni po pierś. Czasami przez płynącą wodę niczym elektryczna iskra przechodzi fala gorąca. Słychać wówczas gromki okrzyk zgromadzonych – widać rumieńce i zadowolenie na twarzach. Zawsze gdy tu jestem, przypomina mi się legenda o ukrytym w pobliskich górach źródle wiecznej młodości. Szukało go wielu, a ci, którzy znaleźli, nigdy nie wrócili, by zdradzić, w którym miejscu tryska.

W STYLU OFF-ROAD

Były lata, gdy z Landmannalaugaru wybierałem się drogą F208 dalej na południe, w okolice Vík, do krajowej Jedynki otaczającej asfaltową nitką całą Islandię. Przede mną rysowała się prawdziwa przygoda w stylu off-road. Piszę „w stylu", bo jazda poza wyznaczonymi drogami jest tu

SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl a72af8dce1



Widok z lotu ptaka na turkusową wodę i zielone, porośnięte mchem wyspy w rejonie Landmannalaugar.

surowo zakazana i karana wysokimi mandatami. Ale ponad 20 przepraw przez rzeki, które stały przede mną otworem, nazywam takim właśnie wyzwaniem. Tym razem postanawiam połączyć w czasie jednej podróży dwa najbardziej spektakularne miejsca w sercu wyspy. Jadę więc z Landmannalaugaru dalej na północ, do Kerlingarfjöll. Punkty te dzieli 150 km, w warunkach islandzkiego interioru to jakieś 5–6 godz. jazdy. Do wyprawy namówił mnie Piotr, mój przyjaciel i towarzysz kilku islandzkich wypraw, który wyspę wybrał sobie na miejsce życia. – Kerlingarfjöll to takie Landmannalaugar, tylko nieco mniejsze, ale ładniejsze. I mniej oblegane przez turystów – twierdził. Cóż, spodziewałem się niewielkiej doliny z kilkoma ziejącymi gazami o zapachu popsutych jajek fumarolami, a zobaczyłem prawdziwy cud natury. Nazwa łańcucha górskiego Kerlingarfjöll oznacza „Górę Starej Damy". Jeśli zapytacie mnie, z którą islandzką legendą jest związana, przytoczę tę najbardziej kontrowersyjną – o starej, brzydkiej trollicy zamienionej w skałę. Ta sterczy, a jakże, w dolinie, wysoka na 25 m, i jest namacalnym dowodem na prawdziwość opowiadanych legend. Już pierwszego dnia, tuż po rozbiciu namiotów na maleńkim kempingu, ruszam samochodem do oddalonej o 5 km doliny Hveravellir. To esencja całego regionu. Przed geologiczną chwilą, a więc 10 tys. lat temu, działalność wulkaniczna i wycofujący się lodowiec sprawiły, że powstało to miejsce – jako jeden z elementów całego systemu rowów i grzbietów. Był to efekt oddalania się od siebie kontynentalnych tarcz tektonicznych. Wiedziałem wprawdzie, że Hveradalir słynie z licznych i efektownych fumaroli, ale to, co zobaczyłem, znacznie przerosło moje oczekiwania – było jak w bajce albo w filmie. Z niewielkiego parkingu położonego na sporym wyniesieniu ruszam w kierunku doliny. Panorama z pierwszego punktu widokowego odbiera mi mowę: kolory są jeszcze bardziej nasycone i zróżnicowane niż w Landmannalaugarze, nad dolinami zwisają niewielkie lodowczyki, a wszystko otulone jest zwiewanymi co chwilę dymami i parą. W chwilach bezwietrznych unosi się ona w postaci spektakularnych białych słupów. Jeden dzień spędzam na z pozoru nudnej czynności: schodzę na dno dolinek, a potem wychodzę na grzbiety, spacerując po nich aż do kolejnego zejścia w dół. Z każdego miejsca widoki są wyborne, ale marzy mi się dłuższa trasa.

POMIĘDZY LODOWCAMI

W Kerlingarfjöllu jest znacznie zimniej niż w Landmannalaugarze, w nocy

eprasa.pl a72af8dce1



Obszar geotermalny Hveravellir słynie z malowniczych gorących źródeł, dymiących fumaroli i kolorowych osadów mineralnych.



ADOBE STOCK

temperatura spada poniżej zera. Znajduje się on bliżej środka wyspy, no i zdecydowanie wyżej. Na dodatek pomiędzy dwoma lodowcami. Kiedyś był tu teren narciarski, ale zmiany klimatu unieruchomiły rozwój tego sportu, i to raczej na dobre. Tutejsze szczyty sięgają 1488 m n.p.m. – tyle liczy sobie najwyższy, Snækollur. Na ten, jak i o 60 m niższy Fannborg prowadzą szlaki trekkingowe, a przewodniki zachwalają oglądanie krajobrazu z wierzchołków. Tym razem jednak ścieżka jest zasypana śniegiem, w konsekwencji wybieram więc całodzienną wycieczkę na grzbiet górski, z którego roztacza się widok na dolinę Hveravellir, jak i wspomniane szczyty. Trasa prowadzi stromo do góry, na początku po drewnianych belkach zamontowanych dla ochrony przed śliskim wulkanicznym błotem. Później już łagodniej, wznosząc się i otwierając coraz szerszą panoramę. U moich stóp leży wielka, prawie płaska dolina. Na jej zboczach, w resztkach płatów śniegu, widać sporych rozmiarów śnieżno-lodowe jaskinie. Wystarczy jednak podnieść głowę, by zobaczyć, że to miejsce znajduje się pomiędzy dwoma wielkimi lodowcami: Hofsjökull i Langjökull, trzecim i drugim co do wielkości na Islandii. Mają płaskie, nieco przyprószone popiołem z erupcji wulkanów czapy i szerokie jęzory spływające do dolin. Z najwyższego, sięgającego 1200 m n.p.m., punktu rozglądam się dookoła. Zaczyna mocniej wiać. Wkładam na siebie wszystko, co tylko ze sobą zabrałem: czapkę, ciepłe rękawiczki, puchową kurtkę. Ukrywam się za skałą. Popijając z termosu wciąż ciepłą herbatę, podziwiam panoramę. Wydaje mi się, że ta biało-rdzawa szachownica śnieżnych pól i riolitowych wzgórz nie ma końca. Gdzieś tam, hen, na północnym wschodzie, musi leżeć jeden z największych w Europie lodowców, Vatnajökull. Jeśli chciałbym nazwać to, co widzę, jednym słowem, powiedziałbym: dzikość. ■



Kamienna kaplica na szczycie Sveti Jure (1762 m n.p.m.), najwyższym wzniesieniu masywu Biokovo.

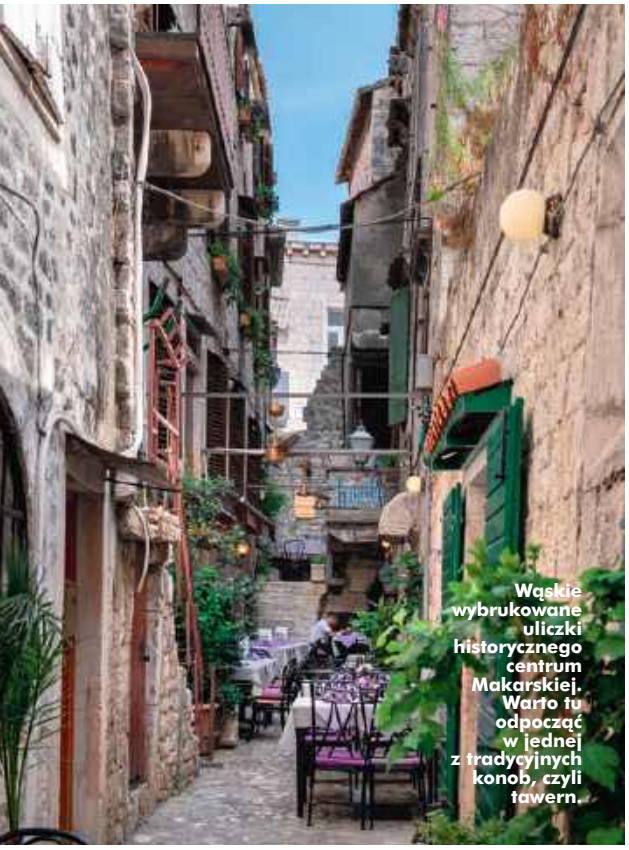


TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

CAŁY DZIEŃ NA SZLAKU

TRASA PRZEZ GÓRY BIOKOVO NIE WYDAWAŁA SIĘ TRUDNA, ALE JEDNODNIOWA WĘDRÓWKA BYŁA WYMAGAJĄCA.

eprasa.pl/a72afbdce1



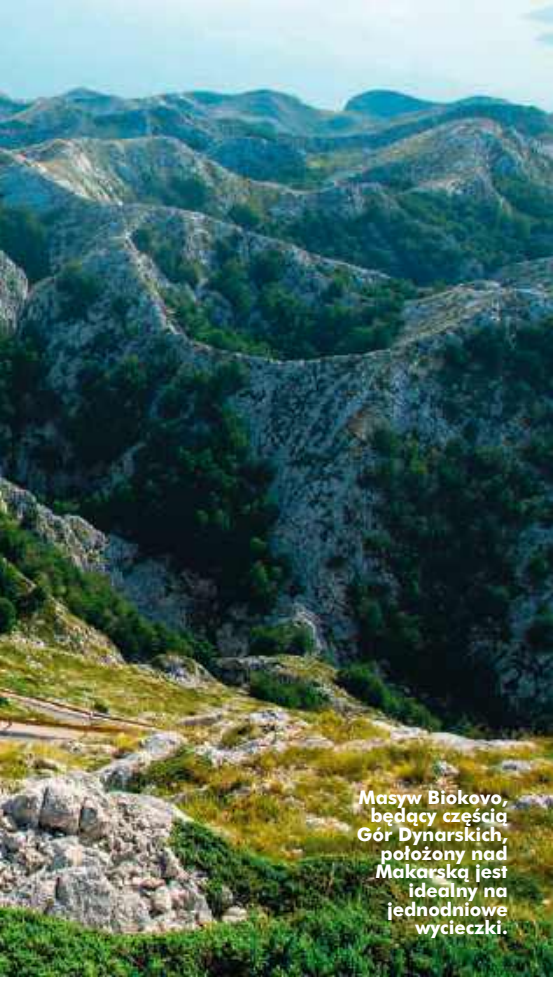
Wąskie wybrukowane uliczki historycznego centrum Makarskiej. Warto tu odpocząć w jednej z tradycyjnych konob, czyli tawern.





Nadmorski szlak pomiędzy wsią Krvavica a miejscowością Makarska.

eprasa.pl a72af8dce1



Masyw Biokovo, będący częścią Gór Dynarskich, położony nad Makarską jest idealny na jednodniowe wycieczki.

ADOBE STOCK.SHUTTERSTOCK.GETTY IMAGES; POPRZEDNIE STRONY:ADOBE STOCK

Szukamy wzrokiem znaków. Wymalowanych na kamieniach lub skalnych ścianach białych kropek otoczonych czerwoną linią. Wyznaczają nam kierunek. Prowadzą na najwyższe szczyty chorwackiego masywu Biokovo. Ta wędrówka zajmie nam cały dzień i nieźle da nam w kość. Trasa, zaczynająca się tuż przy plaży, nie jest szczególnie długa, ale pokonuje przewyższenia, których skalę zaczynamy pojmować dopiero wtedy, gdy jest już za późno na wycofanie się. Na sam pomysł wyruszenia w trekking wpadliśmy zresztą kilka dni wcześniej, wylegując się na plaży Riwiery Makarskiej. Trochę znudzeni kolejnymi dniami bezruchu – podczytywaniem książek, rozmowami o niczym i moczeniem się w Adriatyku. Odwróciliśmy na chwilę wzrok i zobaczyliśmy zwieszający się nad nami masyw pionowych skał rzucających cień na domy Makarskiej. Patrzyliśmy na najwyższe szczyty Biokova będące częścią Gór Dynarskich ciągnących się niemal wzdłuż całego wybrzeża Chorwacji. Sięgający niemal dwóch tysięcy metrów Sveti Jure, drugi pod względem wysokości szczyt w kraju, kusił bliskością i wysokim telewizyjnym masztem, który wyznaczał cel potencjalnej wyprawy. Nasz wzrok przyciągnął też znajdujący się trochę bliżej, nieznacznie niższy Vošac (1422 m n.p.m.). Ktoś z naszej wakacyjnej grupy rzucił luźną propozycję: a może by tak tam wejść? Szybko sprawdziliśmy, czy jest to w ogóle możliwe, i okazało się, że na oba szczyty prowadzą asfaltowe drogi, ale jest też idący z Makarskiej, wytyczony zygzakiem pomiędzy skałami szlak pieszy. Nie wyglądał na specjalnie trudny i nie zniechęciły nas nawet adnotacje o przewyższeniach przekraczających 1300 m. Uznaliśmy, że damy radę.

SAMOTNOŚĆ NA SZLAKU

Ruszyliśmy o świcie, idąc przez pierwsze pół godziny w milczeniu typowym dla osób tkwiących jeszcze częściowo w sennych marzeniach. Szlak też okazał się sennym majakiem – na początkowym odcinku, zaczynającym się w krzewach zaraz obok parkingu, oznaczenia okazały się ledwie szkicem, a obecność innych wędrowców jedynie hipotetyczna. Trasa nie jest oblegana – możliwość dotarcia na szczyt autem lub autobusem skutecznie rozprawia się z ambicjami wspinaczkowymi większości turystów. Wysiłek marszu podejmują nieliczni, którzy są w stanie sami siebie przekonać, że wylewanie litrów potu podczas wielogodzinnego górskiego marszu jest częścią szerzej pojętej przyjemności. Szliśmy więc w miękkim świetle budzącego się dnia w osamotnieniu, nie napotykając – poza wymalowanymi na skałach znakami szlaku – żadnych śladów obecności człowieka. Pomyślałem, jak niewiele potrzeba, by przeskoczyć do zupełnie innego świata. Zaledwie kilometr czy dwa od nas rozciągała się przestrzeń pełna turystów, wakacyjnego harmidru i letnich uciech. Jeszcze wczoraj byliśmy jej częścią, a teraz przekroczyliśmy jakąś niewidzialną granicę i zanurzyliśmy się w pustkę, żwirowe ścieżki i ciszę. Po opuszczeniu Makary, dzielnicy Makarskiej, ścieżka prowadzi przez szerokie piarżysko. Szare kamienie wielkości dłoni wyglądają, jakby rozsypał je w zabawie jakiś olbrzym. Skupiam się na stawianiu kroków na piętrzących się niestabilnych okruchach skał. Mijamy sosnowy las, wypełniony mocnym aromatem żywicy, i chwilę później trasa odbija nagle ostro do góry, wijąc się zakosami. Ciągłe zmiany kierunku pozwalają choć trochę zniwelować stromiznę, równocześnie jednak wydłużają dystans.

VOŠAC NA PRZYSTAWKĘ

W końcu szlak się zwęża i lawiruje pomiędzy blokami skał. Jesteśmy coraz wyżej, a nasze płuca łapczywie chwytają hausty adriatyckiego powietrza. Niebieska plama morza rozciąga się niemal tuż za nami i odwracam się ku niej, z przyjemnością wyłapując drobne jasne punkty na wodzie – jachty, kutry lub większe statki handlowe. Przedłużam te postoje, próbując niepostrzeżenie odzyskać siły – forma budowana spacerami i jeżdżeniem na rowerze, owszem, sprawdza się, ale na nizinach. Góry szybko uświadamiają mi, że tu gra toczy się wedle innych zasad. Moje serce łomocze, a mięśnie nóg drżą. Przystanki, na które zatrzymujemy się solidarnie całą grupą – poziom naszego wytrenowania okazuje się zbliżony – dają okazję, by przyjrzeć się też szczegółom skalnego świata. Masyw Biokovo sprawia wrażenie terenu na wpół martwego. To jednak złudzenie. Biolodzy dopatrzyli się pomiędzy tymi rozgrzanymi słońcem wapieniami setek gatunków zwierząt (tylko tych żyjących w dynarskich jaskiniach jest grubo powyżej 120) i 1,5 tys. rodzajów roślin, z których spora część jest endemiczna lub

eprasa.pl a72af8dce1



reliktowa. Te góry są prastarą przestrzenią, mają dobre 65 mln lat i widziały już wszystko. Wspinamy się uparcie, popijając wodę, której zapas butelek przezornie wzięliśmy ze sobą. Szlak z Makarskiej na Sveti Jure jest ledwo widoczną kamienistą ścieżką – nie ma tu infrastruktury, barów, sklepów, a nieliczne naturalne źródełka nie budzą zaufania. Wszystko, co potrzebne, a więc wodę, prowiant i trochę ubrań, musimy zabrać ze sobą.

W końcu przed godz. 11 docieramy do przełęczy Štrbina, skąd kierujemy się w stronę Sveti Jure. Po drodze czeka nas jeszcze wejście na stożkowy, pozbawiony niemal roślinności szczyt Vošac. Ulokowano na nim niewielką kamienną chatę, która latem pełni rolę schroniska górskiego. Po wcześniejszej rezerwacji można tu przenocować, co przy dłuższych wędrówkach jest o tyle istotne, że na terenie parku Biokovo nie można, poza wyznaczonymi miejscami, przebywać po zmroku. Z przełęczy Štrbina na Vošac jest już blisko. Szlak zatacza pętlę, prowadząc najpierw nieznacznym wypłaszczeniem, by później zaatakować zbocze góry. Po porannej wspinaczce na niemal pionowy klif opadający wprost do wody ten odcinek wydaje się nam jednak dość łatwy. Vošac wita nas szeroką platformą widokową oraz zamkniętymi na cztery spusty drzwiami schroniska.

ADOBE STOCK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a72af8dce1



Platforma widokowa Skywalk Biokovo, zawieszona na wysokości 1228 m n.p.m., to idealne miejsce do podziwiania błękitnych wód Adriatyku i wysp Dalmacji Środkowej.

Na szczęście nie zamierzamy tu zostać na dłużej. Przysiadamy na drewnianych ławkach pod budynkiem, by się posilić i popatrzeć na panoramę rozciągającą się wokół. Z tej wysokości nic nie przesłania widoku zarówno na Riwierę Makarską, jak i punkty dalmatyńskiego krajobrazu w oddali – wyspy Brač i Hvar, Peljesać, a na północy Mosor i Omišką Dinarę. Do celu, szczytu Sveti Jure, dzielą nas jeszcze 2–3 godz. marszu. Porzucamy więc gościnne okolice Vošacu, by znów zatoczyć wokół niego pętlę i wrócić na szlak prowadzący ku majaczącemu w oddali masztowi telewizyjnemu. Na tym fragmencie trasa nas oszczędza – najbardziej stromy odcinek, zaczynający się na poziomie morza, jest już za nami, idziemy teraz szerokim trawiastym terenem o łagodniejszym nachyleniu. Posuwamy się miarowo, ale niezbyt szybko, ciesząc się wszystkimi cudami tej przestrzeni – kępami gęstej trawy, górskimi kwiatami, pofalowaną linią wzgórz, sylwetkami półdzikich kóz za skalnymi załomami. Zwierzęta przypatrują się nam z zainteresowaniem, ale znikają, gdy tylko się do nich zbliżamy. Gdzieś w oddali słyszę jęk samochodowego silnika – autobus lub ciężarówka próbuje wjechać na szczyt góry, pokonując przewyższenia na niskim biegu. Ten hałas rozgrywa się jednak w tle, jest przytłumiony i nie burzy tutejszej harmonii.

DACH CHORWACJI

Ostatni odcinek jest niemal gołą skałą, prawie pozbawioną roślinności. Szlak dobija do asfaltu i stawia nas przed koniecznością podjęcia decyzji. Można iść jezdnią, korzystając z łagodniejszego nachylenia drogi, ale płacąc za to wydłużeniem dystansu wraz z każdym zakosem serpentyn. Druga opcja to ścinająca te nawroty jezdni ścieżka idąca niemal w prostej linii na sam szczyt. Postawione wzdłuż niej tyczki z rozpiętą pomiędzy nimi liną do podtrzymania się sugerują jednak, że na tym odcinku żartów nie będzie. Robimy krótką naradę. Czujemy przebyte kilometry w nogach, pokonywanie mocnego nachylenia niespecjalnie się nam więc uśmiecha, ale wizja kręcenia się niemal w kółko asfaltem wygląda jeszcze mniej atrakcyjnie. Ruszamy więc ścieżką. Ku zaskoczeniu okazuje się, że to najbardziej ekscytujący fragment trasy. Musimy mocno pracować nogami, ale świadomość bliskości celu

Szczyty pasma Biokovo są częścią Gór Dynarskich ciągnących się niemal wzdłuż całego wybrzeża Chorwacji.



Muflon europejski, choć sprowadzony w góry Biokovo stosunkowo niedawno, bo w ubiegłym wieku, doskonale zaadaptował się do trudnego krasowego terenu.

ułatwia marsz. Staje się on niemal automatyczny, a ciało załapuje rytm. Siadamy na otoczonym murkiem tarasie widokowym. Z tej wysokości sięgające po horyzont morze zamieniło się w skrzącą się plamami słońca niebieską płachtę. Gdzieś tam, w dole, leżą nadbrzeżne miejscowości, skryte są jednak za skalnymi załomami lub zamieniły się w malutkie punkty, których kształty nie za wiele nam mówią. Wrócimy tam autobusem, nie starczy nam już ani dnia, ani sił, by przejść z powrotem całą drogę. Na razie jednak patrzę na wszystko z przyjemnego dystansu, tkwiąc na szczycie chorwackiego dachu. Wejście tu na piechotę pozwoliło nam poczuć się częścią tego krajobrazu i chociażby tylko dla tego uczucia warto było podjąć ten wysiłek. ■

eprasa.pl a72af8dce1



TEKST **AGNIESZKA BIELECKA**

OD MORZA DO MORZA

300 KILOMETRÓW MARSZU SZLAKIEM WAINWRIGHTA TO ANGLIA W PIGUŁCE. WZGÓRZA, JEZIORA, WRZOSOWISKA I SETKI FILIŻANEK HERBATY.



Z małego schroniska Warnscale Bothy na zboczu nad jeziorem Buttermere roztacza się spektakularny widok na dolinę w Parku Narodowym Lake District.



Górzyste rejony Lake District słyną z hodowli owiec. Obok wzgórz i jezior są one nieodłącznym elementem krajobrazu.

Wykończona siadam obok kopczyka kamieni tradycyjnie usypywanych na szczytach brytyjskich wzgórz. Patrzę na białe zygzaki ścieżki, która ciągnie się przez kolejne garby pagórków, i z satysfakcją odhaczam kolejny zdobyty szczyt. Znów zapominam o bolących mięśniach, kiedy przyglądam się panoramie pojezierza Lake District. Zielonoszare zbocza otaczają mnie z każdej strony. W dolinach błyszczy błękit nieba odbity w taflach jezior. Czas ruszać dalej. Biorę głęboki wdech i wracam na szlak.

Lake District ma wśród miłośników natury kultowy status. To największy i najpopularniejszy park przyrodniczy w Wielkiej Brytanii.



Popołudniowa herbata to tradycja na stałe wpisana w brytyjską kulturę. Najczęściej serwuje się ją z mlekiem i porcją ciasta.

KRAINA JEZIOR

Wszystko zaczęło się od Alfreda Wainwrighta. Ten wychowany w biedzie w przemysłowym miasteczku na północy Anglii urzędnik 90 lat temu przyjechał do Lake District. Spodobało mu się do tego stopnia, że w ciągu kolejnych lat tak przemeblował swoje życie, aby nigdy więcej nie być zmuszonym oddalać się stamtąd na dłużej. Po pracy w urzędzie miasta Kendal Wainwright spacerował po niezliczonych wzgórzach, dokumentując trasy, wierzchołki i strumienie w serii ilustrowanych przewodników, które szybko zdobyły popularność. W latach 70. zeszłego wieku Wainwright wybrał się nieco dalej na wschód, aby wytyczyć trasę łączącą dwa angielskie wybrzeża. Owocem poszukiwań był Coast to Coast Walk, w skrócie C2C: 293-kilometrowy szlak od wybrzeża Morza Irlandzkiego do wschodnich krańców Anglii nad Morzem Północnym. Trasa biegnie przez trzy parki narodowe, tradycyjne wioski i zabytkowe miasteczka. Zaczyna się na plaży w St Bees, a kończy – zgodnie z tradycją – wrzuceniem kamyka w fale w Zatoce Robin Hooda. Piechurzy w Wielkiej Brytanii, gdzie tradycja wielodniowych wędrówek obejmuje wszystkie grupy społeczne i demograficzne, szybko docenili jej walory. Z roku na rok pojawiało się tu coraz więcej wędrowców i wkrótce Coast to Coast stał się najpopularniejszym długodystansowym szlakiem w kraju. Na przejście całej trasy warto zarezerwować przynajmniej dwa tygodnie, ale nawet wtedy trzeba liczyć się z długimi odcinkami i cowieczornym wyczerpaniem. Dobrym pomysłem – szczególnie dla tych, którzy tak jak ja chodzą wolno i mają niewiele wolnych dni – jest podzielenie całości na krótsze kilkudniowe wędrówki. Zgodnie z obyczajem rozpoczynam C2C na zachodnim wybrzeżu, w miasteczku St Bees. Stamtąd jeden dzień marszu dzieli mnie od doliny Ennerdale z pierwszym jeziorem Parku Narodowego Lake District. Angielskie pojezierze ma wśród miłośników natury iście kultowy status. To największy i najpopularniejszy park przyrodniczy w Wielkiej Brytanii. I chociaż na mapie wzgórza wydają się niepozorne, szybko się przekonuję, że odcinek w Krainie Jezior będzie raczej ciężką przeprawą. To tutaj znajduje się Scafell Pike (978 m n.p.m.), najwyższy szczyt Anglii. I chociaż C2C omija tę górę bokiem, ścieżka wiedzie przez kolejne wzniesienia, a ja coraz bardziej nie mogę się doczekać odpoczynku. Szlak prowadzi wzdłuż brzegów Ennerdale Water, jednego z szesnastu „oficjalnych" jezior parku

SHUTTERSTOCK (3), ADOBE STOCK. POPRZEDNIE STRONY GETTY IMAGES

eprasa.pl a72af8dce1





Wąskie, strome i kręte uliczki Robin Hood's Bay służyły dawniej przemytnikom, którzy wykorzystywali ukryte przejścia między domami.



Thwaite w dolinie Swaledale, u stóp wzgórza Kisdon Hill w Parku Narodowym Yorkshire Dales, to doskonała baza wypadowa na trasie Coast to Coast.

eprasa.pl a72af8dce1



narodowego. Do tego dochodzą mniejsze jeziorka w każdym kształcie i rozmiarze, wszystkie zachwycająco malownicze. Jako że C2C nie został nigdy formalnie uznany za oficjalny szlak turystyczny, trasa ma przeróżne warianty, w zależności od pogody, pory roku i chęci piechurów. Wybieram trudniejszą opcję. Maszeruję pod górę, żeby korzystać ze słońca i świetnej widoczności. Kiedy wdrapuję się na szczyt High Stile i rozglądam się wokół, wiem, że warto było tak się trudzić. Widoki są bajeczne. Otaczają mnie szmaragdowe zbocza poprzecinane nitkami ścieżek. W oddali błyszczy lustro wielkiego jeziora Buttermere otoczone masywnymi skalnymi garbami. Dzień kończę w Black Sail uznawanym za najbardziej odosobnione schronisko w całej Anglii. Do doliny nie prowadzi żadna droga, można tu dotrzeć tylko na piechotę. W czteropokojowej chatce jest do dyspozycji 16 łóżek. We wspólnej jadalni wybieram strategiczne miejsce przy kominku

ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1



Krajobraz o zachodzie słońca nad jeziorem Windermere w Parku Narodowym Lake District. Drewniana drabinka (stile) ułatwia przekraczanie kamiennego muru.

i czekam, aż Jenna, która zarządza schroniskiem, poda gościom kolację. Mój telefon nie odbiera tu sygnału, nie ma też wi-fi. Prawdziwy spektakl odbywa się na dworze. Po deserze siadam na ławce z kubkiem parującej herbaty i obserwuję, jak niebo różowieje, a wzgórza zmieniają kolor w zachodzącym słońcu.

KWINTESENCJA PROWINCJI

Nie tylko Wainwright był pod wrażeniem uroków Lake District. Zamieszkali tu Beatrix Potter, autorka ilustrowanych książek o Piotrusiu Króliku, i poeta William Wordsworth. Jego wieloletnia siedziba, Dove Cottage, to bielony dom w moim ulubionym Grasmere, które znajduje się na trasie. Krótki spacer po zaułkach miasteczka i już nie dziwię się wyborowi poety. Z uliczkami wijącymi się między domami z szarego kamienia Grasmere jest pełne ukrytych skarbów. Kawiarenki, księgarnia, puby z ogniem buzującym w kominku – to wszystko kwintesencja angielskiej prowincji. Zostawiam plecak

eprasa.pl a72af8dce1

Ścieżka prowadząca przez kwitnące wrzosowiska Goathland Moor w Parku Narodowym North York Moors.

Malownicza wioska Robin Hood's Bay to punkt końcowy szlaku Coast to Coast stworzonego przez Alfreda Wainwrighta.



Lake District to najczęściej odwiedzany park narodowy w Wielkiej Brytanii.

w namiocie i ruszam na obiad. Ścieżka do XVIII-wiecznego pubu Badger Bar w sąsiednim Rydal wiedzie wzdłuż jeziorka o tej samej nazwie, przez porośnięte lasem wzgórza i wielkie połacie rudobrązowych paproci. Przed wejściem zdejmuję ubłocone buty i stawiam obok kilkunastu innych par. Maleńkie starodawne wnętrze jest pełne bosych wędrowców, którzy grzeją się przy kominku. Badger Bar ma jeszcze jedną atrakcję: borsuki, które mieszkają w ogrodzie. Po zmierzchu można je spotkać tuż za progiem, kiedy wychodzą z nor, żeby się posilić. Kilka mil na wschód od Kirkby Stephen zaczyna się kolejny wyczekiwany etap wędrówki: trafiam do serca Parku Narodowego Yorkshire Dales, który okazuje się żywą pocztówką Anglii prosto z bajki. Trudno mi wyobrazić sobie bardziej idylliczny obrazek. Zostawiłam za sobą kilometrowe jeziora. Już nie ślizgam się na skałach dramatycznych wzniesień Krainy Jezior, idę sobie przez zielone pastwiska. I nawet kiedy dźwigam plecak na kolejne wzgórze, na duchu podtrzymuje mnie myśl, że w niemal każdej wiosce na szlaku znajdę tradycyjną herbaciarnię, a w niej wypieki – w sam raz na przekąskę. Łagodne soczyście zielone wzgórza Yorkshire ciągną się po horyzont podzielone na nieregularne prostokąty kamiennymi murkami. Porozrzucane gdzieniegdzie zagrody z szarego kamienia otaczają chmary kudłatych owiec. Ścieżka wznosi się coraz wyżej, przecina zagajniki i pastwiska. Co jakiś czas przeciskam się przez furtki w ogrodzeniach i wchodzę w stada owiec, które obrzucają mnie szybkimi spojrzeniami spod zwiniętych rogów. Park Yorkshire Dales to kilka dolin i wzgórza ciągnące się wzdłuż rzek. I choć każda z nich jest urocza, Wainwright wybrał Swaledale. Raz po raz słyszę, że wiedział, co robi, bo dolina rzeki Swale, jednej z większych w parku, to prawdziwa perełka. Na noc zatrzymuję się w wiosce Keld. Rozkładam namiot tuż nad wodą i idę się wykąpać. Swale płynie przez zarośla na dnie doliny i rośnie w siłę zasilana potokami spadających kaskadami z okolicznych wzgórz. Na polanie mijam rodziców obserwujących grupkę dzieciaków, które bawią się w jeziorku wyżłobionym przez spływającą setkami lat wodę. Zanurzam się w przyjemnie chłodnej rzece i daję się nieść spokojnemu nurtowi wzdłuż ścieżki, którą następnego dnia ruszę dalej.

U ROBIN HOODA

Wielkie przestrzenie, wrzosowiska i pustka to znak, że Coast to Coast wkrótce się skończy. Ostatnim parkiem narodowym na trasie jest prawie niezamieszkany North York Moors. Jedną trzecią jego terenu stanowią wzgórza porośnięte wrzosem. Wczesną jesienią, kiedy kończę C2C, purpurowe połacie ciągną się po horyzont. W Lord Stones, obiecuje Wainwright, zaczyna się „najlepszy odcinek naszego maratonu", po czym dodaje: „poza Krainą Jezior". Straciłam już rachubę, ile razy wdrapałam się na kolejne wzgórza. Pogoda zmienia się błyskawicznie, zaczyna wiać mocny wiatr; wiem, że jeśli spadnie deszcz, czekają mnie kilometry marszu, zanim uda mi się znaleźć schronienie. Z drugiej strony, wietrzna, dramatyczna pogoda w sam raz pasuje do wrzosowisk. Poza mną na szlaku nie ma nikogo, raz po raz mijam pamiętające średniowiecze krzyże i kamienne kręgi z epoki brązu. Na koniec długiego dnia czeka mnie nagroda. Lion Inn, pub, którego historia sięga XVI w., to uosobienie przytulności. Ogień z kominka przyjemnie grzeje, wzdłuż kamiennych ścian przy drewnianych stołach siedzą grupki gości. Oddycham z ulgą, kiedy widzę, że wielu jest tak samo ubłoconych jak ja. Zamawiam zasłużony cydr. Kiedy wiatr rozwiewa chmury, daleko na horyzoncie zaczyna błyszczeć błękit wody. Nie mogę uwierzyć, że to Morze Północne. Prędzej czy później tam dotrę, powtarzam sobie w duchu. I – jak zwykle – kiedy zbliżam się do końca trasy, robi mi się żal, że to już finał. Po dniach spędzanych w pojedynkę grupki turystów na ulicach Robin Hood's Bay wydają mi się prawdziwym tłumem. Ta rybacka wioska położona wśród klifów to labirynt stromych uliczek, które kończą się na plaży. Staję na piasku i w kieszeni plecaka szukam kamyka z plaży w St Bees, który znalazłam, wyruszając na szlak. Z satysfakcją rzucam go w fale i oficjalnie dołączam do tysięcy obolałych piechurów, którzy śladem Wainwrighta przeszli wszerz cały kraj. ■

ADOBE STOCK (2), GETTY IMAGES

eprasa.pl a72af8dce1



TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

SERCE KAUKAZU

LEŻĄCA WE WSCHODNIEJ GRUZJI TUSZETIA TO JEDEN Z NAJBARDZIEJ DZIKICH ZAKĄTKÓW KRAJU.



Surowe zielone góry ze średniowiecznymi wieżami obronnymi to krajobraz typowy na szlaku z Omalo do Szatili w regionie Chewsuretia.

eprasa.pl a72af8dce1

Uchylam płachtę wejścia do namiotu i... widzę przed sobą owczarka kaukaskiego. Stoi dwa metry ode mnie, a z jego gardła wydobywa się chrapliwy warkot. Pasterskie psy przemierzające góry Tuszetii – położonego tuż przy rosyjskiej granicy, zapomnianego przez świat regionu Gruzji – to poważni zawodnicy. Jeżeli im podpadniesz, jesteś w kłopotach. Ich kły przecinają skórę w sekundę. Zastygam w bezruchu, próbując oszacować, czy zdążę choćby zasunąć zamek namiotu. Melodyjny gwizd sprawia, że napięte niczym struna ciało psa rozluźnia się – z prawej strony pojawia się pasterz. Jestem uratowany! Przysiadamy na pieńku; na kuchence przygotowuję kawę. – Moje dzieci wyjechały do Tbilisi, ale ja się nigdzie nie wybieram. Nie znam innego życia, moim światem są góry, owce i psy– mówi mężczyzna. Jednak pasterska tradycja nawet i tu, w tak odizolowanym od reszty świata miejscu, powoli zanika. – W latach 50., gdy Gruzja należała jeszcze do Związku Radzieckiego, mieszkańcy wiosek w Tuszetii zostali przymusowo przesiedleni na niziny – opowiada. – Zabroniono im powrotu i zajmowania się tym, co robili od pokoleń. Po uzyskaniu niepodległości zakaz został zniesiony, ale wiele osób nie chciało się już znowu przenosić. Życie na nizinach jest wygodniejsze. Górskie wioski pozostały wyludnione – dodaje. Tradycja, która sięga przynajmniej XVI w., każąca wędrować pasterzom ze stadami, zaczęła się chwiać. Przez stulecia dwa razy w roku pokonywali pieszo ponad 200 km, jesienią schodząc z gór i wiosną odbywając tę samą wędrówkę, tyle że w przeciwnym kierunku. Dziś życie miejscowych w niewielkim stopniu skupione jest wokół owiec. Mimo to wydeptane przez pasterzy ścieżki to wciąż często jedyne szlaki, którymi można podążać. Są pewniejsze niż mapy i drogowskazy. Kierują piechurów ku drewnianym szałasom, w których można spędzić noc, biegną pomiędzy źródłami wody, idą najdostępniejszymi wzniesieniami. Ostatnie kilka dni spędziłem, błąkając się po zboczach i dolinach, często nie do końca wiedząc, dokąd zmierzam, ale ślady owczych racic odbite w miękkiej ziemi zawsze wskazywały mi w końcu odpowiedni kierunek.

Hordy najeźdźców, które przez setki lat przetaczały się przez te ziemie, utykały pod murami obronnymi klasztoru Alawerdi.



Kubdari, placek drożdżowy z mięsem, został wpisany na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego Gruzji.



Abano to najwyższa przejezdna przełęcz w Wielkim Kaukazie, rozciągająca się od Omalo do Pszaweli.

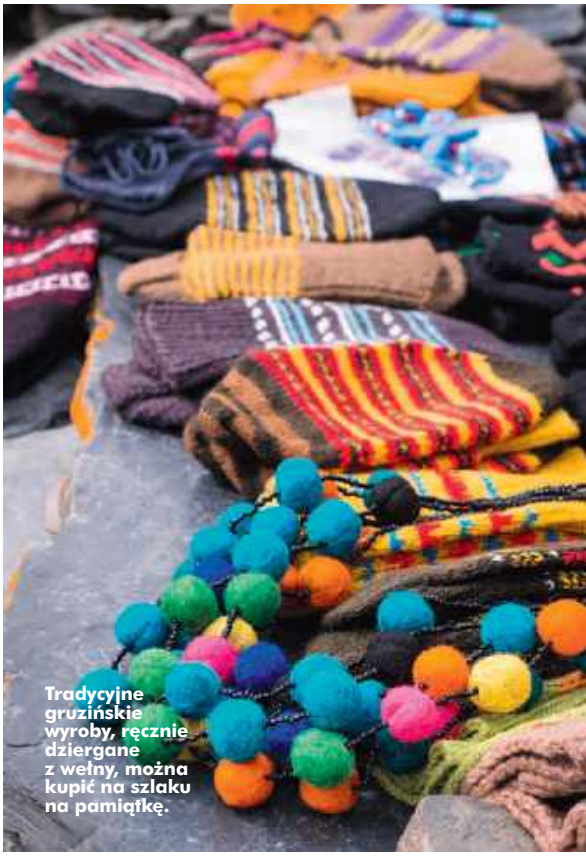
MNISIA TWIERDZA

Zanim tu trafiłem, zajechałem do monastyru Alawerdi stojącego u bram Tuszetii. Monumentalny budynek o funkcjach obronnych z oddali przyciąga wzrok, będąc jedynym mocno zaznaczonym punktem na płaskiej nizinie oddanej pod rzędy winorośli. Mający za tło góry Kaukazu klasztor nazywany jest katedrą, a jego gigantyczna, wysoka na 55 m kopuła zdaje się dotykać nieba. Alawerdi powstał w XI w., a na jego lokalizację wybrano dość nietypowe miejsce – zupełnie odsłonięte, otwarte, niekryte żadną doliną lub stokami. Tak jakby chciano, by ściągał najeźdźców, którzy przez setki lat przetaczali się przez te ziemie. I rzeczywiście, aż do 1615 r., gdy kompleks zdobył perski szach Abbas I, wszystkie zbrojne plemiona podbijające te tereny utykały w tym punkcie, nie mogąc sforsować wysokich kamiennych murów klasztoru twierdzy. Gdy nadchodziły ciężkie czasy, mieszkańcy okolicznych wiosek

ADOBE STOCK, SHUTTERSTOCK (3), POZOSTAŁE ZDJĘCIA: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a72af8dce1





Tradycyjne gruzińskie wyroby, ręcznie dziergane z wełny, można kupić na szlaku na pamiątkę.



Monastyr Alawerdi słynie również z produkcji win tradycyjną metodą w kwewri – glinianych naczyniach zakopywanych w ziemi.

eprasa.pl a72af8dce1

Wydeptane przez pasterzy ścieżki to wciąż często jedyne szlaki, którymi można podążać. Są pewniejsze niż mapy i drogowskazy.



Tradycyjny ser guda powstaje z mleka owczego i dojrzewa w owczych skórach, co nadaje mu unikalny smak i aromat.

kryli się w siedzibie mnichów, licząc na to, że nie tylko uchronią w ten sposób życie, ale też chrześcijańską wiarę. Dziś panuje tu zaskakująca cisza – w klasztorze zabronione są rozmowy i robienie zdjęć, a wstęp mają wyłącznie osoby stosownie odziane. W przypadku kobiet oznacza chustkę na głowie i długą suknię, a mężczyzn – strój bez krótkich rękawów i nogawek. Cały hałas dzisiejszego świata został tu zniwelowany. Pozostają nabożna cisza przerywana jedynie furkotem skrzydeł ptaków wirujących nad kompleksem, surowe kamienne mury i ciche modlitwy mnichów, które mają utrzymać świat w jednym kawałku.

DROGA DLA ODWAŻNYCH

Moim głównym celem było jednak Omalo nazywane stolicą Tuszetii. Trzeba od razu dodać, że ten zaszczytny tytuł przypadł wsi głównie dlatego,

SHUTTERSTOCK, ADOBE STOCK



Nad wioską Omalo góruje twierdza Keselo. Zbudowana w I połowie XIII w. służyła mieszkańcom za schronienie przed najeźdźcami.



Wioska Dartlo znana jest z tradycyjnych kamiennych domów i typowych dla tego regionu wież obronnych.

że to jedno z nielicznych miejsc w regionie, do którego da się dojechać samochodem. Tak czy inaczej, to nie jest prosta podróż. Żwirowa, pełna dziur droga z Telawi ciągnie się przez blisko 70 km, a jej pokonanie zajmuje 5–6 godz. Z mozołem wspinam się po zboczach, pokonując serpentyny, które skłoniły niegdyś goszczącą tu ekipę telewizji BBC do mianowania tej drogi najniebezpieczniejszą przeprawą samochodową na świecie. O tym, że nie wszyscy kierowcy docierają do celu, świadczą czarne nagrobki na poboczach. Ucieszyłem się więc, że mój kierowca okazał się spokojnym 60-letnim mężczyzną, który większość życia spędził za kółkiem. Prowadził auto powoli i pewnie. Pozwalał kołom wpadać w szerokie rozpadliny, z których jednak zawsze się wydobywał, i beznamiętnie wjeżdżał w zalewające drogę wodospady lejące się z gór. Przez 5 godz. naszej podróży odezwał się może trzema zdaniami. Przy tym ani na moment nie rozstawał się z papierosem. Uznałem jednak, że jeżeli ceną za bezpieczne dotarcie do celu jest gęsty dym wypełniający wnętrze auta, jestem w stanie ten koszt zaakceptować. Górne Omalo zamieszkuje niecałe 50 osób (jest jeszcze Dolne Omalo, nieco bardziej zaludnione). Z nadejściem jesieni większość z nich przenosi się na niziny sąsiedniej Kachetii. W wiosce zostaje dosłownie kilku mieszkańców, którym niestraszna jest perspektywa pozostania przez kilka miesięcy poza światem. Zdani są wówczas na własne siły oraz zapasy żywności i pakunki zrzucane co miesiąc przez helikopter. Przylatują nim na służbę pogranicznicy (bliskość rosyjskiego Dagestanu i Czeczenii każe władzom zachować czujność). Spacerując pomiędzy niskimi kamiennymi domami, w których prąd płynie, jeżeli starczy paliwa do generatora lub słońca grzejącego panele fotowoltaiczne, próbowałem sobie bezskutecznie wyobrazić, jak wygląda życie w gruzińskiej wsi tonącej w śniegu i samotności.

POEZJA I WINO POZWALAJĄ PRZETRWAĆ

By żyć tu cały rok, trzeba być ekscentrykiem. Takim jak Kako, mężczyzna o haczykowatym nosie i łagodnym spojrzeniu. W Omalo mieszka od niemal pół wieku. Zajmuje się gospodarstwem i pisaniem wierszy. Pozostaje na stanowisku nawet w najbardziej mroźne zimy, gdy temperatura spada do –30 st. C. Dzień zaczyna od kubka kawy, później dogląda kur, pieli grządki w ogródku. Wieczorem wychodzi spędzić krowy z pastwiska. W wolnych chwilach kreśli kilka linijek poezji lub duma nad prawidłami tego świata. Niemal w tej samej chwili potrafi być rolnikiem

eprasa.pl a72af8dce1



Owce to fundament lokalnej kultury i gospodarki. Są nieodłącznym elementem krajobrazu Tuszetii.

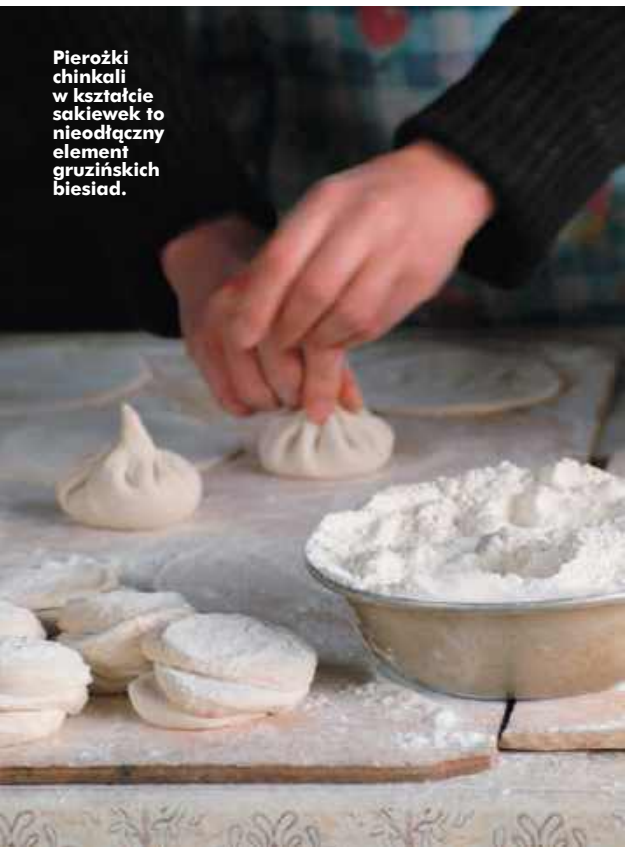
SHUTTERSTOCK, ADOBE STOCK

i hodowcą oraz artystą i filozofem. Gdy go odwiedziłem, nalał wina do szklanek z grubego szkła i nakroił plastrów sera (wszystko własnej roboty). Poprosiłem, by przeczytał kilka swoich wierszy. Przyniósł z domu zeszyty ze stronami wypełnionymi równymi liniami. Czytał nieśpiesznie niskim spokojnym głosem. Nie przeszkadzało mi, że nie rozumiałem ani słowa, wystarczyła melodia języka. Ciągoty Kako do poezji nie są w tym kraju czymś wyjątkowym. Gruzja kocha bardów i poetów. Jedną z częściej uwiecznianych postaci jest tu Waża Pszawela, twórca epickich wersetów opiewających życie pasterzy, myśliwych, kobiet. Urodził się w kamiennej chatce w górskiej Chargali, a potem – już jako dorosły człowiek – pokonał 2 tys. km wozem konnym w drodze do Petersburga, w którym zapragnął studiować prawo. Pszawela nie był zwolennikiem cywilizacji, szybko więc wrócił do Gruzji. Tu napisał ponad 400 wierszy wielbiących naturę i opowiadających o szukaniu życiowej wolności. Przypomniałem sobie słowa wydawcy, Nodara Dugladze: „Poezja pozwalała nam przetrwać. Gdy wróg nas napadał, siadaliśmy z nim do stołu, piliśmy dużo wina i recytowaliśmy niekończące się wiersze. To był nasz sposób na uwiedzenie tych, którzy byli nam przeciwni". Słuchając recytacji Kako, miałem jednak wrażenie, że miejscowi potrafią uwodzić wszystkich, nie tylko wrogów. Gdy skończył czytać, wysunął rękę i nakreślił palcem kierunek mojej wędrówki w następnych dniach. Dartlo, Girevi, Shenako, Baso, Kvavlo, Chesho, Tsotava – wymienił wioski Tuszetii, do których mógłbym dojść pieszo.

POMIĘDZY WIEŻAMI

Zacząłem od Dartlo. Ruszyłem wąską ścieżką z Omalo, wspinając się na trawiaste pagórki, by zejść w końcu trawersem do wąskiej doliny i podążyć wzdłuż prowadzącej mnie do celu rzeki Pirikita Alazani. Wciśnięte w strome zbocza Dartlo ulepione jest z domów z płaskich kamiennych płyt przykrytych łupkowymi dachami. Ale na listę światowego dziedzictwa UNESCO trafiło przede wszystkim ze względu na średniowieczne wieże, podobne do tych, które dziś przyciągają turystów w gruzińskiej Swanetii. Ich masywne kształty górują nad lichymi chałupkami. Czekają w pogotowiu – gdy nadejdą złe czasy, można w nich ukryć dobytek, zwierzęta, rodzinę i trwać odgrodzonym od niebezpieczeństw. A tych nigdy tu nie brakowało. Pojawiali się agresorzy z rosyjskiego dziś Dagestanu czy feudałowie z Kachetii. Czasem trzeba było też szukać kryjówki przed ludźmi z sąsiednich wiosek. Zemsta rodowa, której tradycja przechodzi tu z pokolenia na pokolenie, żywi się

eprasa.pl a72af8dce1



Pierożki chinkali w kształcie sakiewek to nieodłączny element gruzińskich biesiad.





Tradycyjne, zbudowane z kamienia domy w wiosce Dartlo często mają charakterystyczne drewniane balkony.

eprasa.pl a72af8dce1



Z Dartlo prowadzą malownicze szlaki piesze i szutrowe do sąsiednich wiosek. Okolica słynie z pięknego położenia nad rzeką w wąwozie.

SHUTTERSTOCK (4)

sprawami trywialnymi. Powodem wojny może być krzywe spojrzenie, nieuregulowany dług, sprzeczka... Plamę na honorze zmywa przelana krew, choć czasem wystarczy wykupić się odpowiednią sumą pieniędzy lub podarkami. Dalej ruszyłem do Girevi, trzymając się wartkiego nurtu rzeki Alazani i idąc po żwirowanej drodze w głębokiej kotlinie zamkniętej po obu stronach wysokimi, pełnymi zieleni stokami. Szlak był łatwy, wyjeżdżony przez terenowe auta, a podłoże ubite. I gdy po kilku godzinach marszu pomyślałem, że wędrówka po tych górach jest jednak prosta, droga gdzieś nagle odbiła.

LEKCJA ŻYCIA

Do dyspozycji miałem wąską ścieżkę wijącą się po skalnych blokach zalewanych przez rzekę. Pokonanie ostatniego odcinka okazało się wyzwaniem dla kolan, które musiały znieść ciągłe wspinanie się i zeskakiwanie z kamieni. Aż dotarłem do Girevi – wioski złożonej z dziesięciu domów. Brak zasięgu telefonów, prąd z agregatów, ale przy tym życzliwy gest starszej gospodyni, która podsunęła mi od razu pękaty kubek pełen piwa Aludi. Ten zadziwiający napój jest lokalną specjalnością przyrządzaną z chmielu i jęczmienia górskiego. Zaskakuje słodkawym smakiem przełamanym kwasowością ze zboża. Nie ma dwóch takich samych aludi. Robione w domowych warunkach kształtowane jest przez niedający się do końca okiełznać proces fermentacji. To ona nadaje piwu charakter. Popijałem je na zamknięcie dnia otoczony serdecznością mojej gospodyni, która wyszykowała wygodne łóżko, a stół zastawiła przekąskami. W takich miejscach jak Girevi ludzie wciąż się cieszą z obecności gości; w jednej chwili stajesz się centrum ich świata. W kolejnych dniach krążyłem pomiędzy zapomnianymi przez świat miejscami, patrzyłem z respektem na kamienne wieże, popijałem wino podsuwane przez życzliwych Gruzinów, zatapiałem się w widoku gwiazd nad głową. Kiedy nad ranem zwinąłem namiot, w przelocie biorąc kilka łyków kawy, przede mną pojawił się pasterz. – Życie tutaj uczy, by zajmować się tylko bieżącymi sprawami. Tym, czy owce są zdrowe, czy masz ze sobą odpowiednią ilość jedzenia i czy wiesz, gdzie jest najbliższe źródło wody. Góry uczą pokory. Tego, że masz ograniczony wpływ na to, co się dzieje – stwierdził. Pokiwał dłonią na pożegnanie i ruszył dalej, w swoją powolną pasterską wędrówkę. Dopiłem kawę, patrząc na zbocza gór wokoło. Gruzja jest właśnie taka. Możesz tu wyruszyć w najdzikse góry, a i tak załapiesz się w nich na lekcję życia. ■

W takich miejscach jak Girevi ludzie wciąż cieszą się z obecności gości. W jednej chwili stajesz się centrum ich świata.



Akordeonista uprzyjemnia posiłek turystom w Omalo. Są tu głównie małe pensjonaty rodzinne, które zapewniają wyżywienie.

eprasa.pl a72af8dce1

TEKST **PAWEŁ KEMPA**

W KRAINIE SWANÓW

KAMIENNE WIEŻE OBRONNE PAMIĘTAJĄCE ŚREDNIOWIECZE STOJĄ SOBIE W SWANETII NA PODWÓRKACH OBOK WOZÓW Z SIANEM I GDACZĄCYCH KUR.



W Swanetii znajduje się najwyżej położona wieś Europy – Uszguli (na pierwszym planie), a także najwyższy szczyt Gruzji i trzeci co do wysokości szczyt Kaukazu – Szchara (5193 m n.p.m.).





Trekking w Swanetii to wędrówka przez alpejskie łąki, które każdej wiosny zmieniają się w soczyście zielone dywany.

Witamy w Gruzji! – uśmiecha się do mnie pani w okienku kontroli granicznej na lotnisku w Tbilisi, oddaje mi paszport i wręcza małą butelkę wina. No cóż, nie będę ukrywał, zdecydowanie wolę powitanie winem i uśmiechem niż chlebem i solą. Jestem ciekaw, czy faktycznie w Gruzji można się dać ponieść przygodzie, poznać ten kraj bez rezerwacji i drobiazgowego planowania. A plan mam prosty: zobaczyć Swanetię, górski region na północy kraju.

Khoski służyły mieszkańcom jako schronienie w czasie najazdów wrogich ludów lub podczas częstych tu waśni rodowych.



Mczadi to tradycyjne proste gruzińskie placki z mąki kukurydzianej, chrupiące z zewnątrz i miękkie w środku.

WINO MUSI BYĆ DOBRE!

– *Nu, dawaj!* – pokrzykuje kierowca. Prosi, by szybciej rzucać plecaki i torby na dach wysłużonego busa zwanego tu marszrutką. Zagaduję go po rosyjsku. W Gruzji starsze pokolenie mówi po rosyjsku biegle, młodzi raczej po angielsku, ale dodając do tego gestykulację, mam wrażenie, że z Gruzinami można się dogadać w każdym języku. Są otwarci i chętni do pomocy. – Skąd jesteś? – pyta mnie już po kilku sekundach pasażer siedzący obok mnie w marszrutce z Tbilisi do Kutaisi. – Z Polski – odpowiadam. – Aaaa, to jesteśmy *druzja*, no wiesz, *friends* – ciągnie dalej rozmowę mój nowy znajomy. Ma na imię Levan i codziennie dojeżdża do Tbilisi do pracy. Spracowanymi rękami częstuje mnie twardym serem, ja w ramach rewanżu wyciągam wino, które dostałem na lotnisku. – Bleee...! Jak nasi mogą rozdawać tak niedobre wino! – Levan krzywi usta w grymasie sprzeciwu po pociągnięciu sążnistego łyka z butelki. – Zatrzymaj się – nakazuje kierowcy busa. Hamujemy z piskiem opon. Mój kompan wyskakuje na chwilę. Gdy wraca, pijemy już dobre wino saperavi z Kachetii. Półwytrawne, ale z owczym serem smakuje naprawdę całkiem nieźle. Po dokończeniu butelki Levan wykonuje jeden telefon i załatwia mi kolejny nocleg. Już na miejscu schodzę do restauracji. Zamawiam chinkali, czyli pierogi w kształcie sakiewki wypełnione bulionem i farszem z trzech rodzajów mięsa: wołowego, baraniego i wieprzowego, doprawione kolendrą. Wyborny eklektyzm na stole wynikający z przecięcia kultur i wpływów perskich, bizantyjskich i łacińskich. Następnego dnia łapię kolejną marszrutkę – już bezpośrednio do Swanetii.

W WIEŻY

Po gorącym Tbilisi powietrze w Swanetii wydaje się rześkie jak owoc granatu, który kupuję na

GETTY IMAGES,ADOBE STOCK,SHUTTERSTOCK(2). POPRZEDNIE STRONY: ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1





Średniowieczne wieże obronne w Adiszi są integralną częścią współczesnych gospodarstw.



Kamienny most nad rzeką Enguri stanowi symboliczną bramę do wsi Uszguli.

eprasa.pl a72af8dce1



Lustrzana tafla jezior Koruldi oferuje jeden z najbardziej spektakularnych widoków w Gruzji, gdzie przy dobrej pogodzie w wodzie odbijają się ośnieżone iglice szczytu Uszba.

przydrożnym targu przy krętej drodze przyklejonej do stromych zboczy doliny. Jest początek października. Swanetia, położona u stup Elbrusu i Uszby kraina, zawsze była miejscem tajemniczym i trudno dostępnym. Mieszkający tu Swanowie to dumny górski lud, który od wieków żyje w zgodzie z tradycją i żelaznymi zasadami. Docieram do miasteczka Mestia. Nocleg? Znalezienie pokoju w pensjonacie blisko głównej ulicy zajmuje mi klika minut. Otaczają mnie wysokie góry i stojące przy domach kamienne wieże. Niektóre mają nawet 25 m wysokości. Zwą je khoski. Kiedyś służyły mieszkańcom jako schronienie w czasie najazdów wrogich ludów lub podczas częstych tu waśni rodowych. Przechodzę obok jednego z gospodarstw i już po chwili wdaję się w rozmowę z właścicielem. Powiada, że ich wieża została wybudowana ok. XIII w. i jest stosunkowo młoda, bo sąsiad ma taką z XI w. O jej historii prawi tak, jakby to była altana dziadka, a nie zabytek klasy zerowej. – Mogę

ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1



wejść do środka? – pytam, bo intryguje mnie, jak wieża wygląda wewnątrz.
– Poczekaj chwilę, to przyniosę drabinę – mówi pan średniowiecznego zabytku mieszaniną rosyjskiego i angielskiego, odganiając nogą chodzące wokół niego kury. Obok świnie taplają się błocie, a obejście ewidentnie potrzebuje generalnych porządków.

Już po chwili niesie wielgachne drabinisko. – Musisz wspiąć się do tego, o tam, otworu – pokazuje mi małe drzwiczki wysoko w ścianie. Wchodzę i przeciskam się przez otwór. Wewnątrz pustawo, trochę siana i zapasów na zimę. Wdrapuję się po drabinach na kolejne piętra. Z otworów u szczytu zrzucano kiedyś kamienie na wrogów lub strzelano z różnych samopałów. Dziś strzelają stąd jedynie snopy światła. Z dachu roztacza się widok na Mestię, rzekę i dolinę. Wieczorem idę do jednej z nielicznych otwartych w październiku knajpek. Trafiam do podrzędnego lokalu, gdzie jadają robotnicy drogowi naprawiający jezdnię, bo Mestia w remoncie.

eprasa.pl a72af8dce1



Drewniane balkony swańskich domów w Mestii służyły dawniej jako bezpieczne przejścia do wież obronnych, a dziś są doskonałym punktem obserwacyjnym.



Swańska uczta nie byłaby kompletna bez chaczapuri doprawionego tutejszą solą z dodatkiem górskich ziół.

Pięknieje. Z krótkiego menu została jedna pozycja: gulasz. Zamawiam. Za to pełna jest witrynka na wina i czaczę, czyli mocny alkohol wytwarzany w Swanetii z ziemniaków, a w innych częściach kraju z wytłoczyn winogron. Po chwili robotnicy wołają mnie na migi z kąta sali – chcą, żebym się do nich przysiadł. Pijemy czaczę. – *Gaumardżos!* – wznoszą toast za toastem, choć suprą, czyli ucztą z wieloma daniami i przemowami, nie można tego nazwać. Jedno danie, jeden trunek, ale opowieści dziesiątki – od chwytających za serce historii miłosnych do narzekania na niskie płace i ciężki los. Mówią, że Misza (tak nazywają tu byłego prezydenta Micheila Saakaszwilego) w 2004 r. wprowadził tu specjalne oddziały do walki z lokalną mafią i wymienił skorumpowaną policję. No i kiedyś dał trochę kasy na renowację zabytkowych tarasów. Wszystkim, nawet tym, którzy nie mieli tarasu. Lubią tu Miszę. Od tego czasu jest tu bezpiecznie. Wrócili turyści, nawet jeśli podczas imprez nie bierze się tu jeńców. Żegnam się – choć nie jest to łatwe – bo następnego dnia idę w góry.

MATTERHORN KAUKAZU

Górska droga wije się niczym wirująca wstążka gruzińskiej gimnastyczki. Mestię dosłownie oplatają szlaki trekkingowe i stała się ona chętnie odwiedzanym punktem wypadowym na Kaukaz. Wybieram trasę do jezior Koruldi (2750 m n.p.m.) i podejście pod majestatyczną Uszbę – górę o dwóch wierzchołkach zwaną przez Gruzinów wiedźmą lub Matterhornem Kaukazu; to przez swój charakterystyczny kształt piramidy. Przyznaję, że po biesiadzie z robotnikami trudno jest mi podejść wysoko nawet po wypiciu mineralnej wody Borjomi. A ta według Gruzinów leczy wszelkie dolegliwości, w tym te po suprze. Wędruję po rozległym płaskowyżu. Podziwiam zieleń wzgórz. Kilkakrotnie mijam stada pasących się koni. Po trzech godzinach docieram do jezior Koruldi. Kilka polodowcowych oczek wodnych rozmieszczonych wśród traw wygląda, jakby ktoś przed chwilą wylał wino na brązowe sukno. Widok na ośnieżone szyty i groźną Uszbę zapiera dech. W drodze powrotnej na przedmieściach Mestii, przy górskim gospodarstwie zagaja mnie starsza pani: – Aaa, nikt do nas nie przychodzi, mieszkamy tak daleko od centrum. Może przygotuję coś dobrego na kolację i wpadniesz, wezmę co łaska? Przechodzi od razu do konkretów, błyskając przy

SHUTTERSTOCK(2), ADOBE STOCK(2)

eprasa.pl a72af8dce1



Dolina rzeki Enguri prowadząca w stronę Szchary, najwyższego szczytu Gruzji, przez wieki stanowiła jedyny szlak komunikacyjny łączący osady Górnej Swanetii ze światem.



Tradycyjny strój swański z charakterystycznymi gazyrami na piersiach oraz ozdobnym sztyletem.

tym złotymi zębami w szerokim uśmiechu. – Wspaniale, będę o 20.00 – odpowiadam. Domowa supra jest wyborna! Kubdari z baraniną, bakłażany z orzechami, lobio, czyli duszona fasola z kolendrą. I znów, jak to w Gruzji, wszystko jakby dzieje się samo. Relacje z ludźmi zazębiają się z przygodą i przyrodą.

NA DACHU EUROPY?

Następnego dnia wcześnie rano pakuję się do terenowego auta z wynajętym kierowcą i dwójką poznanych Słowaków. Ruszamy do Uszguli – najwyżej położonej wsi w Europie. Jest ona zlokalizowana na wysokości prawie 2200 m n.p.m. – Tak, Gruzja leży w Europie, a gdzie? Może w Azji?! – każdy Swan i każdy Gruzin jest o tym przekonany i nie uznaje sprzeciwu podczas dyskusji na temat geopolityki. – I wino narodziło się w Gruzji! To przecież jasne. Grecy uczyli się od nas jego uprawy – ciągnie dalej kierowca z dumą. Jedzie przy tym tak blisko nad przepaścią, że przyznałbym mu rację, nawet gdyby twierdził, że Prometeusz to postać historyczna, a winorośl rośnie na szczycie góry Kazbek. Byle tylko jechał ostrożniej! Uszguli wyłania się na tle śniegów Szchary, najwyższej góry Gruzji. Kamienne domy i wieże wciśnięte są malowniczo w dolinę rzeki Enguri. Wioskę zwiedzam na piechotę, choć są tacy, którzy zapuścili się tu konno. Wiele budynków wymaga pilnego remontu i połatano je tym, co udało się akurat zdobyć. Widzę, jak rolnicy zwożą ostatnie już siano z górskich łąk. Śpieszą się. Sezon jest krótki, a śnieg leży tu ponad pół roku. 30 min zajmuje mi dojście z centrum wsi do świątyni Lamaria z XII w. Kamienny budynek ze swańską wieżą jest surowy jak tutejszy krajobraz i twardy jak tutejsi ludzie. W Uszguli jest nawet polski ślad, bo jeden z barów działa przy wsparciu polskich instytucji pomocowych. Żyje się tu skromnie, a dopływ turystów nieznacznie tylko poprawia trudną sytuację mieszkańców. Kiedy chodzę po wsi, myślę o tym, czy jest tu szansa na zmianę. Czy osada odrodzi się jak wątroba Prometeusza przykutego do skał Kaukazu, wyjadana codziennie przez orła? W końcu to Prometeusz ulepił człowieka z gliny pomieszanej ze łzami, a więc według legendy to dzięki niemu istniejemy. Przekonam się, gdy kiedyś tu wrócę. Bo wrócę na pewno. A wino (od gruzińskiego: *gvino*) wynaleziono w Gruzji – nie mam co do tego wątpliwości. ■

eprasa.pl a72af8dce1

32 TRASY TREKKINGOWE
POLSKA, SŁOWACJA/TATRY





Stado owiec pasie się na hali u podnóża Tatr w okolicach Zakopanego. W tle widać Giewont.

TEKST **PIOTR TRYBALSKI**

TATRY INACZEJ

NIBY WSZYSCY JE ZNAJĄ, ALE WYSTARCZY SPOJRZEĆ NA TE GÓRY Z NIECO INNEJ STRONY, BY DOZNAĆ OLŚNIENIA.



Zapewne nie będę oryginalny, gdy napiszę, że na Giewont gapiłem się – parafrazując tytuł książki Barbary Caillot – z zakrętów Salamandry, drogi prowadzącej z Kościeliska w kierunku Gubałówki. Łatwo tam dotrzeć, a pocztówkowy obrazek najpopularniejszej bodaj polskiej góry kojarzą chyba wszyscy. Nie zmienia to faktu, że ów wijący się i wznoszący nad drewnianymi domami kawałek asfaltu to jeden z najlepszych punktów widokowych na Tatry. Pierwszy raz dotarłem tam pieszo, w drodze pod wyciąg na Butorowy Wierch – z gromadą takich jak ja niedzielnych turystów. I całkowicie się zauroczyłem. Gdy byłem tam ostatni raz, Szczerba – przełęcz pomiędzy Wielkim a Długim Giewontem – i cały masyw zasnute były chmurami i nic nie wskazywało, że mój wysiłek zostanie w jakikolwiek sposób nagrodzony. Ale nagle zdarzył się cud. Bo jak nazwać wielką dziurę w chmurach, przez którą, niczym w jakimś filmie science fiction, przelało się światło? Dzięki temu powstał kosmiczny wręcz krąg na jednej z polan Kościeliska.

WIDOK Z SALAMANDRY

Na Tatry gapiłem się z każdej możliwej strony i muszę przyznać, że z tej wielce przyjemnej czynności zrobiłem swoisty pomysł na aktywne kręcenie się dookoła najwyższych polskich i słowackich gór. No właśnie – niech w tej opowieści Słowacja stanowić będzie równorzędnego partnera górskich wycieczek, bo od południa „nasze" Tatry zyskują wyjątkowy wymiar. Nim jednak opowiem o widokach u naszych południowych sąsiadów, skupię się na trasie, którą pokonałem pieszo z Chochołowa na Gubałówkę. Prowadzi ona czerwonym szlakiem i przecina pasmo Pogórza Gubałowskiego. To moim zdaniem jeden z najlepszych pieszo-rowerowych szlaków na północ od Tatr. Jest długi na ponad 16 km – nieśpiesznie, podziwiając widoki, można go pokonać w ciągu kilkugodzinnej wędrówki. Prowadzi pomiędzy polami uprawnymi i łąkami, wspina się na niewielkie wzniesienia – z okolic Ostrzysza roztacza się fantastyczna panorama. A jeśli ktoś miałby siłę i ochotę, może połączyć trasę ze wspomnianym wcześniej widokiem z Salamandry i kolejnym z Zębu – jednej z najwyżej położonych miejscowości w Polsce (z najwyższego punktu widać i Tatry, i Babią Górę). To miejsce jest znane również dzięki słynnej sportowej parze. Jessica Michalczewska i Stanisław Rzadkosz-Pulka rok w rok wygrywają organizowane na Podhalu, zimową porą, zawody – Kumoterki. W tej szaleńczej końskiej gonitwie po śniegu ona jedzie wierzchem lub w saniach, Stanisław zaś za koniem na nartach lub powożąc saniami.

JADĄC NA WSCHÓD

Z tym podziwianiem widoków w paśmie Gubałówki warto się śpieszyć. Miejsce jest tak malownicze, że co rusz zabudowywane pensjonatami i prywatnymi domami. Ale wciąż da się tu znaleźć nieco dzikości. Szczególnie tam, gdzie z architektonicznego Witkiewiczowskiego cudu przeniesiemy się nieco dalej na wschód – na Słowację. Trzeba minąć Pogórze Bukowińskie z Gilczarowem i Bukowiną Tatrzańską, przeciąć dolinę Białki i wspiąć się na Pogórze Spiskie. Poniżej znanej i zatłoczonej przełęczy Łapszanka znajduje się przygraniczna wieś Osturnia. Uznawana jest za jedną z najdłuższych w kraju. Pełno tu zabytkowych drewnianych chałup i pozostałości kultury wołoskiej. Ale przejazd wąską wstążką drogi prowadzącej przez wieś nie da nam tyle wrażeń, co wędrówka górskim szlakiem. Osturnię dzielę zwykle na dwie części, numerując je dla porządku. Na pierwszą, tę niedaleko wielkiego masztu telekomunikacyjnego, wchodziłem wiele razy – a to z przełęczy Łapszanka, a to parkując

Tatry Bielskie i Wysokie najlepiej podziwiać rano, gdy słońce w oddali zaczyna je malować ciepłym światłem.



Chochołów to żywy skansen architektury drewnianej na Podhalu. Wiele zbudowanych z bali chałup ma ponad sto lat.

GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK, ADOBE STOCK (2). POPRZEDNIE STRONY ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1



Dolina Kościeliska słynie z licznych wapiennych form skalnych, wąwozów i sieci jaskiń, z których pięć jest udostępnionych dla turystów.



Skórzany pas z parzenicą i jej zdobniczy motyw na przodzie sukiennych spodni to tradycyjny element stroju podhalańskiego.



Giewont, ze względu na charakterystyczną sylwetkę nazywany Śpiącym Rycerzem, wznosi się nad Zakopanem na wysokość 1894 m n.p.m.

eprasa.pl a72af8dce1



Gotycka kaplica św. Elżbiety to część Zamku Spiskiego. Wraz z całym tym kompleksem uległa zniszczeniu po pożarze w 1780 r.

auto nad wioską. Tatry Bielskie i Wysokie najlepiej podziwiać rano, gdy słońce daleko po lewej zaczyna je malować ciepłym światłem. Na początek czubki górskich szczytów, chwilę później – pofalowane wzgórza Zamagurza Spiskiego, by w końcu zalać całą dolinę, podświetlić dymy z kominów i zapalić kontur lokalnego kościoła. Osturnia druga wymaga odrobiny wysiłku. Trzeba podejść polnymi drogami, niespełna pół godziny, na północ od kościoła, na końcówce stromo pod górę – aż do niewielkiej brzozy. I wówczas warto się odwrócić i spojrzeć na panoramę. Widać pojedyncze świerki, faliste pasma Zamagurza i w końcu Tatry.

POCZOCHRAJ OWCĘ, ZAGADNIJ JUHASA!

Pozostając w Słowacji, nie sposób pominąć jednego z najbardziej kultowych widoków Tatr roztaczającego się z pasma Małych Pienin. Trzeba tu podjechać samochodem, pozostawić go na przełęczy Lesnické Sedlo. Droga na Wysoki Wierch będzie wymagać odrobiny wysiłku. Ale zapewniam – każda minuta wspinaczki jest tego warta. Po kolei: na przełęczy jest maleńki sklepik, który zawsze odwiedzam, kupując w nim coś, co stanie się częścią rytuału na szczycie:

ADOBE STOCK (2)



Średniowieczny kompleks zamkowy Spišský Hrad (Zamek Spiski) to popularny cel jednodniowych wycieczek z regionu tatrzańskiego.



Malownicze okolice jeziora Łomnicki Staw (Skalnaté Pleso) w Tatrach Wysokich na Słowacji.

wybór uzależniam od tego, czy akurat jestem kierowcą, czy pasażerem pojazdu. Jedynie czekolada Studentská o smaku rumu jest stałym składnikiem mojego koszyka. A potem, ruszając na żółty szlak, zastanawiam się, czy za niewielkim obłym wzgórzem czekać mnie będzie niespodzianka – stado owiec zagrodzone na sporych rozmiarów wycinku łąki. Zazwyczaj zamknięte jest elektrycznym ogrodzeniem w kształcie regularnego prostokąta. Trzeba tam kawałek zejść, do niewielkiej niecki, spojrzeć na kudłate grzbiety, poczochrać po czołach. Nie ma co się bać wielkiego pasterskiego psa! Powinno się też koniecznie zagadnąć pilnującego stada juhasa. Ten z pewnością zapyta o papierosa, a to – niezależnie, czy się pali, czy nie – całkiem dobry powód do zrobienia sobie przerwy na odpoczynek i rozmowę. Minąwszy owce, należy wspiąć się stromą ścieżką. Droga na graniczny Wysoki Wierch (898 m n.p.m.) zajmuje – według przewodnika – 60 min, ale nigdy nie udało mi się na niego wejść w takim czasie. Szkoda się śpieszyć, bo kolejne wyjątkowe krajobrazy pojawiają się błyskawicznie, wymuszając postój, fotografowanie lub chociaż podziwianie. Ze szczytowych partii otwiera się jeszcze piękniejsza perspektywa. A jakiś czas temu postawiono tam drewniane ławki, co daje duży komfort podczas odpoczynku i obserwacji krajobrazu. No i można teraz zjeść to, co się akurat w plecaku niesie, kupione wcześniej w sklepiku na przełęczy. Z Wysokiego Wierchu widać nie tylko Tatry, ale i Pieniny. A zachód słońca polecam szczególnie tym dźwigającym po górach aparaty fotograficzne i statywy. To bez wątpienia najpiękniejsza panorama Tatr, jaką znam: od Sławkowskiego Szczytu, przez Łomnicę, Rysy, Hawrań, Granaty, Kasprowy Wierch i Giewont – jeśli wymienić tylko te najważniejsze.

BIEL, ZIELEŃ, BRĄZ

Zdziwi się ten, kto uzna, że podziwianie tatrzańskich krajobrazów zawsze jest związane z wysiłkiem fizycznym. Nic bardziej mylnego. Wystarczy pozostać w Słowacji, podjechać chociażby w Góry Lewockie – pasmo położone tuż nad wpisaną na listę światowego dziedzictwa UNESCO Lewoczą – i postawić auto tuż obok budki informującej o początku szlaku do biegów narciarskich. Potem spojrzeć na zachód. Pomiędzy smukłymi pniami i koronami modrzewi pojawia się zadziwiająca panorama. Z tej perspektywy Tatry wyglądają niczym wyspa, masyw, który pojawia się jakby trochę znikąd. Tego wrażenia trudno się pozbyć, jadąc dalej, na południe Słowacji, w stronę Kieżmarku. Okolica jest dość popularna, bo prócz wspomnianej Lewoczy, Słowackiego Raju czy spiskich atrakcji w postaci chyba największej w Europie ruiny średniowiecznego zamku – Spišskiego

ADOBE STOCK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a72af8dce1



Widok na sztuczny zbiornik Liptovská Mara (Jezioro Liptowskie) i otaczające je Tatry w pobliżu miasta Liptowski Mikułasz (Liptovský Mikuláš) na Słowacji.

Hradu – jest tu Poprad ze swoim popularnym parkiem wodnym i uroczą dzielnicą – Spišską Sobotą. I pewnie dlatego nikt w Kieżmarku się nie zatrzymuje, a już na pewno nikt nie wybiera się na spacer na wzgórze nad miastem. Zwłaszcza że droga prowadzi przez osiedle domków jednorodzinnych i rozgrzebaną budowę kolejnych. Kierunek na punkt widokowy dość łatwo wyznaczyć – wystarczy znaleźć wielki maszt telekomunikacyjny na wzgórzu i budynek u jego podstawy. Stojąc tyłem do wymienionych, zyskuje się wspaniały obraz Kotliny Podtatrzańskiej i wznoszących się nad nią pionowych ścian. W słońcu lśni góra stacji kolejki na Łomnicę, jasną barwą wyróżniają się piarżyska, nartostrady, panoramę wieńczą zaś poszarpane grzbiety grani Tatr Wysokich. Całość bardziej przypomina jakieś azjatyckie pasmo niż nasze kochane góry. Szczególnie atrakcyjnie wyglądają o tych porach roku, w których skały otrzymują śnieżną czapkę, zaś doliny i kotliny zielenią się – to wiosną – bądź brązowią – jesienią. Pójdę o zakład, że to najbardziej oryginalny widok Tatr.

PANORAMA IDEALNA

Naturalny podział Tatr na te Wysokie na wschodzie i Zachodnie na zachodzie powoduje kilka wizualnych konsekwencji. Jedną z nich poznałem, gdy pierwszy raz wspiąłem się na wierzchołek Wielkiego Chocza – 1611 m n.p.m. Ten najwyższy szczyt pasma Gór Choczańskich, mocno wyniesiony, górujący nad słowackim Liptovem, ma piramidalny kształt i cieszy się dużą popularnością wśród turystów. Podejście jest dość uciążliwe, bo tysiąc metrów różnicy wzniesień pokonuje się na odcinku niespełna 6 km, co zajmuje dobre 2,5 godz. Nagrodą jest idealna panorama z pasmami Małej, jak i Wielkiej Fatry, Niżnych Tatr i lśniącego odbitym światłem Liptowskiego Jeziora, a w końcu Tatr Zachodnich. Te ostatnie z tej perspektywy wrażenia nie robią, ale gdy doda się je do całej wizualnej układanki oferowanej przez wierzchołek Chocza, wszystko się zmienia. Ani przez chwilę nie żałuję, że się tam wdrapałem. Nie jestem sam, na skałkach, pośród kosówki siedzi sporo osób. Wszyscy zajadają przekąski i z niedowierzaniem kręcą głowami. Wędrówkę dookoła Tatr zamykam na trasie łączącej Witanową z Chochołowem. Zazwyczaj wszyscy mkną drogą, przejeżdżając dawne przejście graniczne i niewiele się rozglądając. Ja zawsze co chwilę się tutaj zatrzymuję. Tuż przed granicznym wypiętrzeniem z prawie płaskiego horyzontu ponownie wyrastają nasze góry w całej swej okazałości. Nie mogę przecież tego przegapić! ■

eprasa.pl a72af8dce1



TEKST **KATARZYNA KACHEL**

KRÓLOWA BIESZCZAD

POŁONINA CARYŃSKA TO OBOWIĄZKOWY KLASYK.



Szczaw alpejski to wysoka bylina rosnąca w zwartych skupiskach. Kwitnie od czerwca do sierpnia.

reprasa.pl/a72af8dce1



Jest wyjątkowa choćby przez to, że jest połoniną. A połonin nie znajdziesz nigdzie indziej poza Bieszczadami. Ale dla mnie to niejedyny atut. O Caryńskiej, zwanej też Berehowską, mogłabym pisać filozoficznie i używać słowa „wolność", ale też matematycznie. Wybierając tę drugą opcję, nie sposób pominąć faktów, że mój ulubiony czerwony szlak, wiodący od Brzegów Górnych, ma 535 m przewyższenia i zajmuje mi prawie 3 godz. nieśpiesznej wędrówki. Nieśpiesznej, bo Bieszczady to jedyne góry, w których zwalniam i rozciągam czas w nieskończoność. Tylko wtedy mam szansę dostrzec wśród krzewów zarazę macierzankową czy bardzo rzadki tojad bukowiński z jego fioletowymi kwiatkami, które mimo swej delikatności są odporne na wiatry i karpackie rzęsiste deszcze.

Nazwa połoniny jest pozostałością po nieistniejącej już wsi Caryńskie, zaś samo słowo „caryna" oznaczało pastwisko.



Smażony na głębokim tłuszczu naleśnik gigant z jagodami i kwaśną śmietaną z restauracji Schronisko Aniołów w Wetlinie.

Z GÓRY WIDAĆ SZERZEJ

Caryńska jest położona wyżej od swoich sąsiadek i sąsiadów, a to sprawia, że widać z niej znaczenie więcej. Na dodatek ma swoje własne cztery wzniesienia, z których najwyższe, Kruhly Wierch z charakterystycznymi skalnymi grzebieniami, wyrosło 1297 m n.p.m. To właśnie ten wierzchołek jest celem wszystkich wypraw. Tu spotykają się wędrowne szlaki z Bereżek, Ustrzyk Górnych, Przełęczy Wyżniańskiej i z Brzegów Górnych. Można tu usiąść na drewnianych ławkach i podziwiać niemal całe Bieszczady. Widać je jak na dłoni, a kto choć trochę poruszał się po tych okolicach, rozpozna bezbłędnie Bukowe Berdo, Szeroki Wierch, Tarnicę, Połoninę Wetlińską czy Otryt. Kiedy spojrzy się dalej, dostrzec można ukraińskie Pikuj i Ostrą Horę, a w dobry dzień, kiedy widoczność jest jak brzytwa – nawet Gorgany. Natura nie zna granic wyznaczanych przez człowieka.

DUCH CARYŃSKIEJ

Kiedy wychodzę na szlak, widoki są ważne, ale też nie najważniejsze. Caryńska jest bowiem dla mnie niczym papierek lakmusowy Bieszczad. Najszybszą miarą czy testem sympatii do tych szorstkich i dzikich gór, które szumem dzikich traw i surowym wiatrem przypominają mi morze, a innym wielbłądzie grzbiety wynurzające się jeden za drugim niemalże w nieskończoność. Lubię te wielkie otwarte przestrzenie, w których mieszają się zielenie i żółcie, a na których kiedyś wypasało się bydło. I właśnie z nim związana jest nazwa połoniny, choć niektórzy chcą nadal wierzyć, że pochodzi od słowa „caryca". Nie dziwię się, to miejsce o randze królewskiej, pełne

ADOBE STOCK(3), SHUTTERSTOCK. POPRZEDNIE STRONY ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1



Wędrówka Połoniną Caryńską wymaga dobrej kondycji, ale widoki są spektakularne.



Na Połoninie Caryńskiej można spotkać rysia, który w Polsce jest gatunkiem rzadkim i objętym ścisłą ochroną.

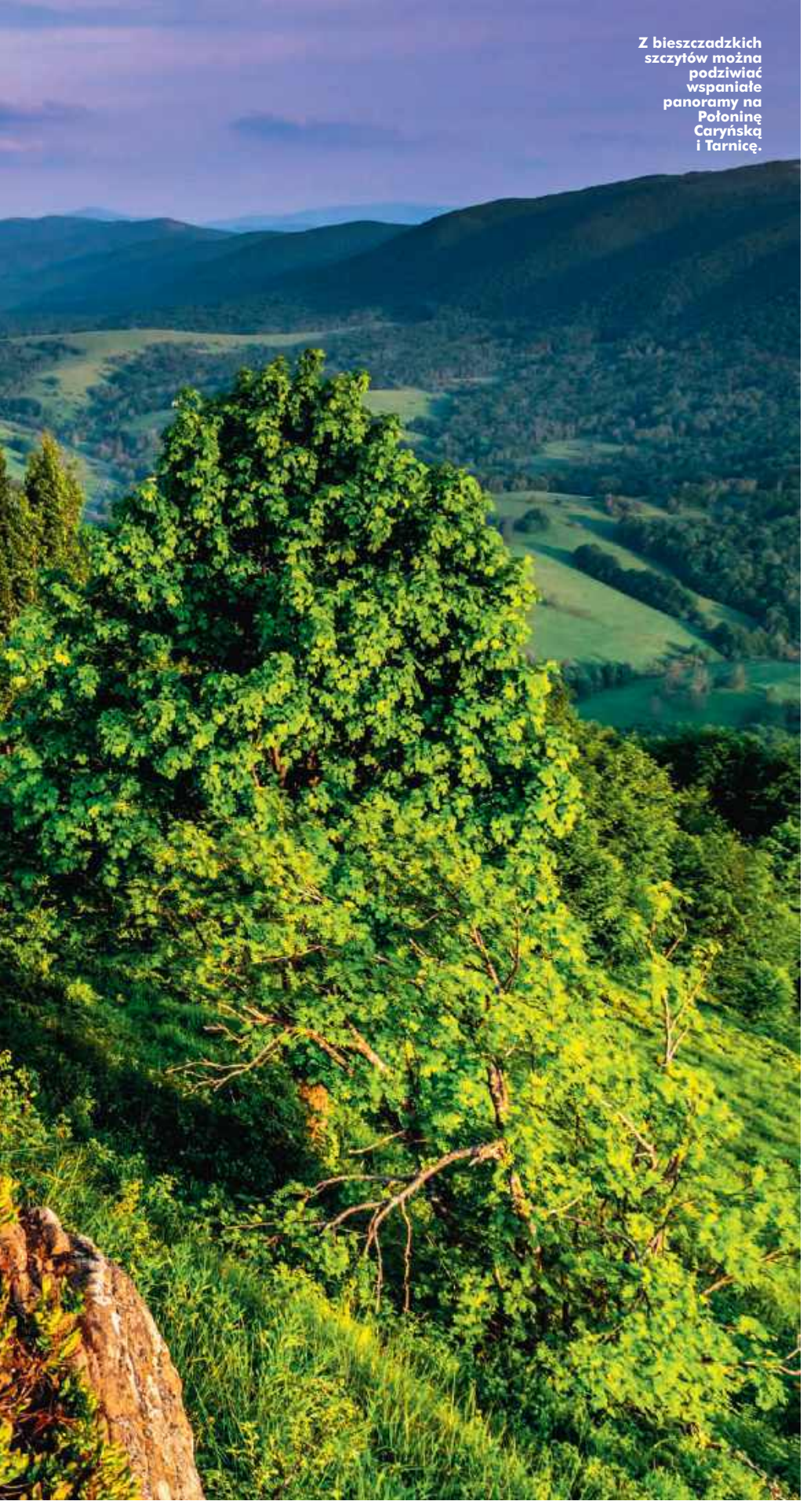


Redyk Karpacki w Ustrzykach Górnych to kulturowe wydarzenie przywracające dawne tradycje pasterskie.

eprasa.pl a72af8dce1



eprasa.pl a72af8dce1



Z bieszczadzkich szczytów można podziwiać wspaniałe panoramy na Połoninę Caryńską i Tarnicę.

ADOBE STOCK(2)

Połonina Caryńska jest położona wyżej od sąsiednich wzniesień, dlatego widać z niej więcej – niemal całe Bieszczady.



Rusałka pokrzywnik to motyl często spotykany na połoninach.

majestatu i potęgi, nazwa jednak jest pozostałością po nieistniejącej już wsi Caryńskie. Rozciągała się poniżej wschodnich zboczy połoniny, zaś samo słowo „caryna" w miejscowej gwarze określało pastwisko. Sto lat temu pasało się tutaj 3 tys. sztuk bydła, dziś spotkać można żmije, rysie, żbiki, dostojne stada jeleni karpackich, a także watahy wilków. Może właśnie dlatego w popularnym serialu *Wataha* placówka oddziału Straży Granicznej w Ustrzykach Górnych często pokazywana jest właśnie na tle masywu Połoniny Caryńskiej? Jeśli będąc w Bieszczadach, nie postawiłeś stopy na Połoninie Berehowskiej, to tak, jakbyś nie był w Bieszczadach w ogóle. Tak mówią stare zakapiorskie gawędy, a ja ich słucham, bo wiem, że nigdzie indziej, jak na jej zboczach i wzniesieniach, nie znajdziesz prawdziwego ducha Bieszczad. ■

eprasa.pl a72af8dce1



Pokamedulski klasztor na jeziorze Wigry jest historycznym sercem Wigierskiego Parku Narodowego.

TEKST **MAGDALENA RUDZKA**

5 SZLAKÓW PIESZYCH W POLSCE

WOKÓŁ WIGIER

PODLASKIE

Szlak wokół Wigier można pokonać zarówno piechotą, jak i rowerem. Ma 46 kilometrów, więc na przejście najlepiej zarezerwować co najmniej dwa dni. Tym bardziej że po drodze nie brakuje pięknych zakątków, punktów widokowych i miejsc, w których możemy poznać lokalną kulturę i regionalną kuchnię. Największy walor szlaku to przyroda, wszak trasa prowadzi przez Wigierski Park Narodowy. Obejrzymy więc ze wszystkich stron największy akwen Podlasia – jezioro Wigry z malowniczymi zatokami, cichymi i pustymi kąpieliskami, kameralnymi przystaniami, a przede wszystkim barokowym kościołem i klasztorem kamedułów. Część drogi, przez najdziksze, bagienne tereny, wiedzie po drewnianych kładkach. W Starym Folwarku można zwiedzić Muzeum Wigier. Ci, którzy jednak zdecydują się na pokonanie trasy na dwóch kółkach, powinni zdecydowanie zabrać rower górski, bo po drodze są podjazdy i miejsca z trudniejszym terenem. Szlak jest dobrze oznakowaną pętlą, która zaczyna się i kończy w miejscowości Krzywe.



Widokowe szlaki bieszczadzkich połonin oferują piechurom bezkresne panoramy.

BIESZCZADZKA KORONKA

PODKARPACKIE

Nie samymi szlakami długodystansowymi człowiek żyje. Zdecydowanie częściej chcielibyśmy się wybrać na coś krótszego, ale ambitnego. I tu idealnym celem będzie Bieszczadzka Koronka, 28-kilometrowa pętla po nieco mniej popularnych, ale oferujących jedne z najlepszych widoków okolicach Bieszczad. Pętla zaczyna się i kończy w Wetlinie, a po drodze wchodzimy na: Jawornik, Paprotnią, Rabią Skałę, Czerteż, Kamienną, Krzemieniec i Wielką Rawkę. Na jej pokonanie trzeba przeznaczyć ok. 12 godz. Suma podejść to ok. 600 m, ale to długość jest największym wyzwaniem. Koronki nie należy lekceważyć – jest szlakiem trudnym, wymagającym solidnej kondycji.

ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1



Zamek Książ góruje nad lasami Książańskiego Parku Krajobrazowego.

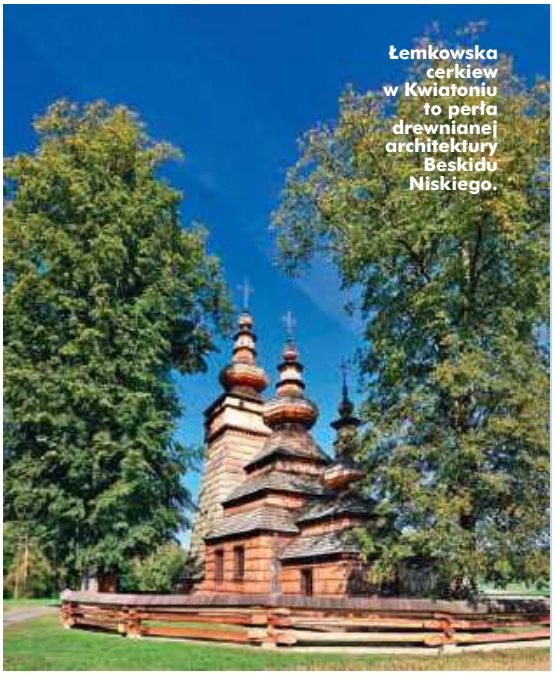


Opadający do skalnego wąwozu Wodospad Kamieńczyka to najwyższa kaskada polskich Karkonoszy.

SZLAK ZAMKÓW PIASTOWSKICH

DOLNOŚLĄSKIE

Oznaczony zielonym kolorem szlak przebiega przez województwo dolnośląskie – najbogatszy w zabytkowe rezydencje teren w kraju. Na 146 kilometrach szlaku można zobaczyć 15 obiektów, których historia sięga czasów pierwszej polskiej dynastii, a konkretniej – linii Piastów Śląskich. Rodowód znajdujących się na nim warowni, grodów, zamków i wież sięga więc XIII–XIV w. Początek szlaku to zamek Grodno w Zagórzu Śląskim, a koniec – piękny gotycki zamek Grodziec. Po drodze m.in. zamek Książ – choć gruntownie przebudowany w XVIII w., pierwotnie był średniowieczną warownią. Najstarszy na szlaku jest Zamek Świny z 1108 r. Dobrze zachowane są też: zamek w Bolkowie, słynny z festiwalu muzyki gotyckiej Castle Party, oraz Wieża Książęca w Siedlęcinie. Za pokonanie Szlaku Zamków Piastowskich, podobnie jak szlaków górskich, można dostać odznakę PTTK. Prowadzi on zresztą przez Sudety Zachodnie i Środkowe, więc podejść nie brakuje.



Łemkowska cerkiew w Kwiatoniu to perła drewnianej architektury Beskidu Niskiego.

SZLAK ARCHITEKTURY DREWNIANEJ

ŚLĄSKIE, MAŁOPOLSKIE, PODKARPACKIE, ŚWIĘTOKRZYSKIE

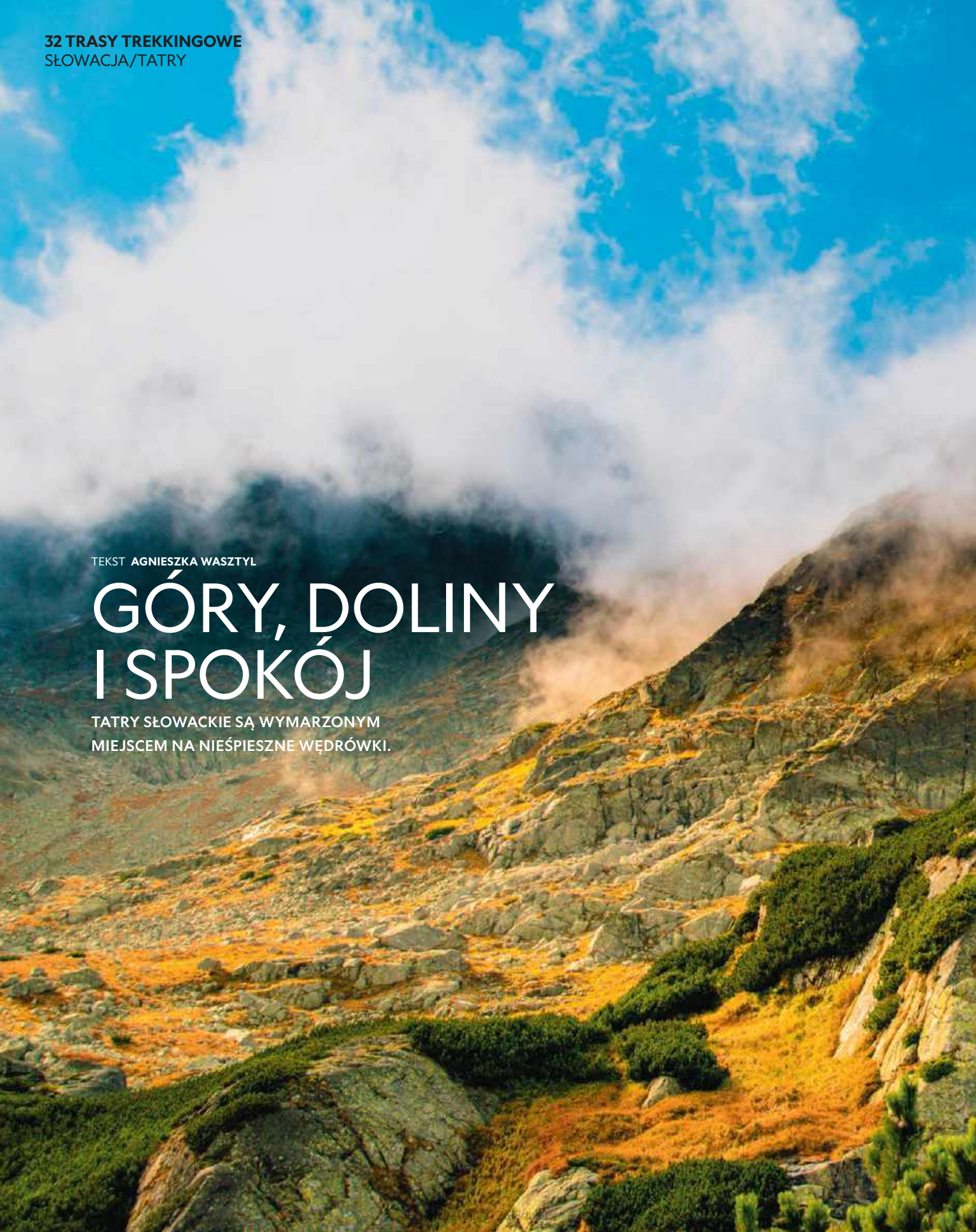
Ten szlak wiedzie przez 4 województwa, a znajdują się na nim aż 254 obiekty kultury materialnej: kościoły, cerkwie, dwory, kapliczki, karczmy, leśniczówki lub całe zespoły zabudowy, jak np. w Ojcowie, Lanckoronie czy Krościenku. Każde województwo oferuje od 4 do 9 tras do wyboru. Najcenniejsze obiekty, wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO, znajdziemy w Małopolsce, a są to 4 kościoły i 4 cerkwie, m.in. w Binarowej, Lipnicy Murowanej, Owczarach i Kwiatoniu.

GŁÓWNY SZLAK SUDECKI

DOLNOŚLĄSKIE, OPOLSKIE

To trzeci najdłuższy górski szlak w Polsce – liczy 443 km. Zaczyna się w Świeradowie-Zdroju (Góry Izerskie), a kończy w Prudniku (Góry Opawskie), przecinając całe 300-kilometrowe pasmo Sudetów. Pozwala poznać różnorodność tych gór, prowadząc przez krajobrazy tak różne jak Karkonosze, Góry Stołowe czy Rudawy Janowickie. Łącznie prowadzi przez 13 masywów górskich. Zanocować po drodze można między innymi w 25 schroniskach turystycznych. Chcąc szlak przejść jednym ciągiem, należy na to zarezerwować przynajmniej dwa tygodnie, oczywiście pod warunkiem że nie startujemy „z kanapy" i mamy już niezłą kondycję. Po drodze nie ma żadnych trudności skalnych, a suma podejść to ok. 14 km. GSS oznakowany jest kolorem czerwonym. Najlepsza pora, by go pokonać, to miesiące od czerwca do września. Wcześniej możemy się jeszcze natknąć na śnieg zalegający na przykład w wyższych partiach Karkonoszy, a później – narażamy się na nieprzewidywalną jesienną górską aurę. Po drodze czekają nie tylko góry, ale i całkiem sporo innych turystycznych atrakcji Dolnego Śląska i Opolszczyzny, np. bazylika w Wambierzycach, uzdrowiska: Lądek-Zdrój, Kudowa-Zdrój i Duszniki-Zdrój, kopalnia złota w Złotym Stoku. ■

eprasa.pl a72af8dce1



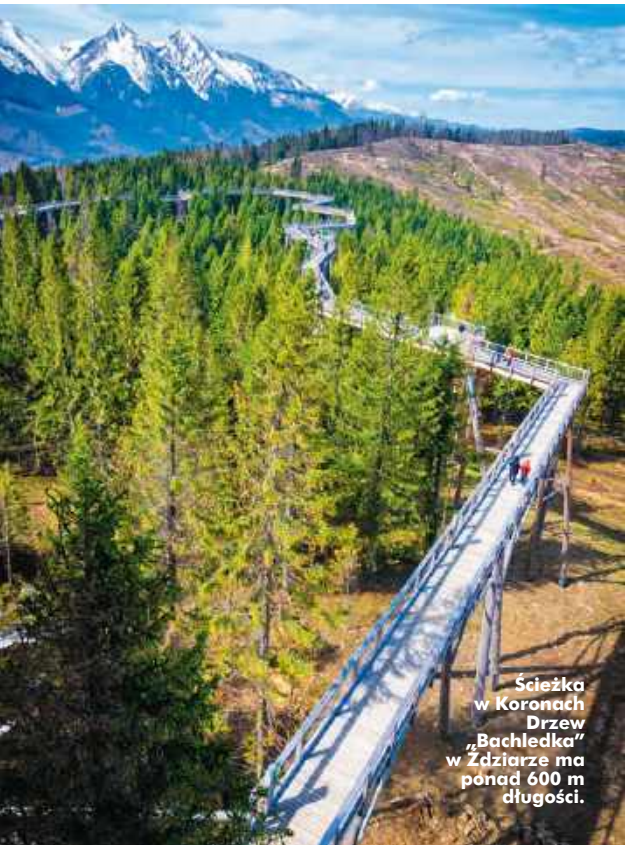
TEKST **AGNIESZKA WASZTYL**

GÓRY, DOLINY I SPOKÓJ

TATRY SŁOWACKIE SĄ WYMARZONYM MIEJSCEM NA NIEŚPIESZNE WĘDRÓWKI.



Widok na Dolinę Wielką Zimną (słow. Veľká Studená Dolina) oraz Sławkowskie Wieże – Pośrednią, Wschodnią i Zachodnią.



Ścieżka w Koronach Drzew „Bachledka" w Zdziarze ma ponad 600 m długości.





Wyżni Wielki Furkotny Staw, położony w górnej części Doliny Furkotnej, to jedno z najwyżej usytuowanych jezior tatrzańskich.

eprasa.pl a72af8dce1



Schronisko Bilíkova Chata położone na zboczu Sławkowskiego Szczytu w pobliżu Hrebienka.

Z Zakopanego do Starego Smokowca autem dojeżdżamy w godzinę. To niewielka miejscowość u podnóża Tatr Wysokich, położona kilka kilometrów od Tatrzańskiej Łomnicy. W planach mamy przejście do Wodospadów Zimnej Wody, ale najpierw musimy się dostać na Hrebienok nazywany słowacką Gubałówką. Trasa liczy 2,5 km, jest łatwa i przyjemna, chętnie wybierana przez rodziny z dziećmi. Spacer zajmuje 45 min, a jeśli pogoda dopisuje, można zobaczyć Gerlach – najwyższy szczyt Tatr.

TATRZAŃSCY NOSICZE

Słońce nieśmiało wychodzi zza chmur, a my wędrujemy zielonym szlakiem obok całorocznego schroniska Bilíkova Chata. Schodzimy do Wodospadów Zimnej Wody. To jedna z najpopularniejszych atrakcji słowackich Tatr. Ich szum słychać już z daleka. To cztery wodospady: Mały, Skryty, Wielki i Długi. Powstały na potoku Zimna Woda na długości 1,5 km. Najwyższy jest dwustopniowy i ma 13 m wysokości. Nic więc dziwnego, że cieszy się największą popularnością wśród turystów. Podziwiamy go z metalowego mostku. Wodospady już 100 lat temu chętnie odwiedzali kuracjusze odpoczywający w Starym Smokowcu. Dochodzimy do Rainerowej Chaty, najstarszego schroniska w słowackich Tatrach, zbudowanego w 1865 r. na skraju Doliny Staroleśnej. W środku znajduje się niewielkie muzeum tragarzy tatrzańskich. Tragarze, tzw. nosicze czy szerpowie, to na szlakach częsty widok. Dźwigają na plecach drewniane stelaże, a na nich mocują np. skrzynki z jedzeniem. Wnoszą ciężkie ładunki o każdej porze roku i zaopatrują schroniska położone w wysokich partiach gór. W muzeum dowiaduję się, że rekordzistą był Laco Kulanga, który wniósł na własnych plecach ładunek o wadze 207,5 kg i nazywany był królem tatrzańskich nosiczy. Od Rainerowej Chaty na Hrebienok schodzimy już czerwonym szlakiem, który jest częścią Tatrzańskiej Magistrali. W oddali majaczą częściowo przykryte chmurami szczyty gór. Skuszeni niewielką liczbą turystów zjeżdżamy kolejką do Starego Smokowca. Cała wyprawa zajmuje nam ok. 4 godz.

PODZIEMNE SKARBY SŁOWACJI

Pogoda nas nie rozpieszcza, więc siadamy w jednej z restauracji serwującej regionalne dania. Zamawiamy smażony panierowany ser w sosie tatarskim, kapuśniak z chlebem i popularne bryndzové halušky – kluseczki z bryndzą, cebulką i skwarkami. Palce lizać! Najedzeni wsiadamy do samochodu i po 20 minutach dojeżdżamy do Tatrzańskiej Kotliny, skąd już rzut beretem do słynnej Jaskini Bielskiej. Dotrzeć tu można także pociągiem elektrycznym, który łączy wiele podtatrzańskich miejscowości. Na

Na Słowacji znajduje się aż 6 tys. jaskiń, ale turystom udostępnionych jest ok. 20. Bielska jest jedną z pierwszych w Europie, w której zainstalowano oświetlenie elektryczne.



Wnętrze barokowego, drewnianego kościoła w Kieżmarku, wzniesionego bez użycia ani jednego gwoździa, wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Słowacji znajduje się aż 6 tys. jaskiń, ale turystom udostępnionych jest ok. 20. Bielska jest jedną z pierwszych w Europie, w której zainstalowano oświetlenie elektryczne. To jedyna wysokogórska jaskinia stalaktytowa w Tatrzańskim Parku Narodowym, do której można wejść. Zwiedzanie z przewodnikiem trwa nieco ponad godzinę. Trasa ma 1370 m długości. To królestwo stalagmitów, stalaktytów i stalagnatów. Oglądam wapienne wodospady, rozległe nacieki i jeziorka. W Sali Zbójnickiej urzekają formacje skalne, a jedna z nich przypomina ponoć Janosika, ale ja chyba nie mam aż tak bujnej wyobraźni. Przystanek

ADOBE STOCK(2),SHUTTERSTOCK,GETTY IMAGES; POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

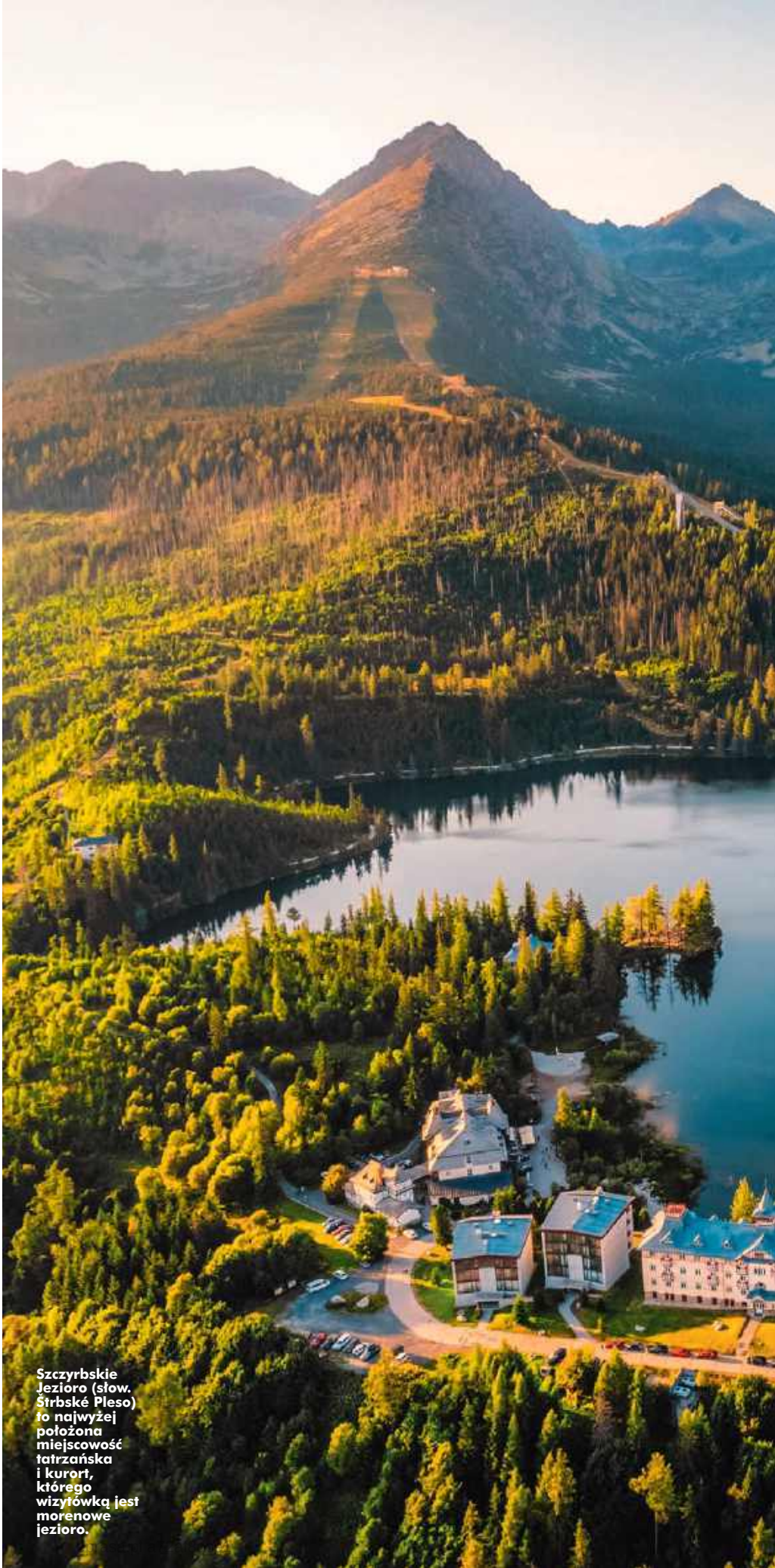
eprasa.pl a72af8dce1

W Popradzie zobaczycie doskonale zachowaną starówkę z renesansowymi kamienicami i kościołem św. Jana Chrzciciela z XIV w.

robimy też sobie w zbudowanym w średniowieczu miasteczku Kieżmark, które w XVI w. było ważnym ośrodkiem reformacji. Sercem miasta jest rynek z okazałym ratuszem i domami mieszczańskimi. Latem odbywa się tu Europejski Festiwal Rzemiosł Ludowych. Najważniejszym zabytkiem są bazylika św. Krzyża i drewniany kościół ewangelicki z 1717 r. wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Zachowała się także barokowa świątynia Nawiedzenia NMP. Jedną z piękniejszych uliczek miasteczka jest zaś Stary Targ, na której w przeszłości mieszkali rzemieślnicy – głównie krawcy, sukiennicy i szewcy. Ich wysokie domy pokryte były gontem. Nieopodal można też zobaczyć dobrze zachowany zamek.

NA SZLAKU

Po krótkim spacerze opuszczamy Kieżmark i jedziemy do Szczyrbskiego Jeziora, które jest drugim pod względem wielkości zbiornikiem wodnym w słowackich Tatrach. A miejscowość o tej samej nazwie już w XIX w. była znanym uzdrowiskiem. Nie brakuje tu hoteli, pensjonatów, sklepików z pamiątkami czy restauracji z regionalnym jedzeniem. Wzrok przyciąga wieża widokowa Tatras Tower, która liczy 53 m wysokości. Oryginalna konstrukcja jest mocno



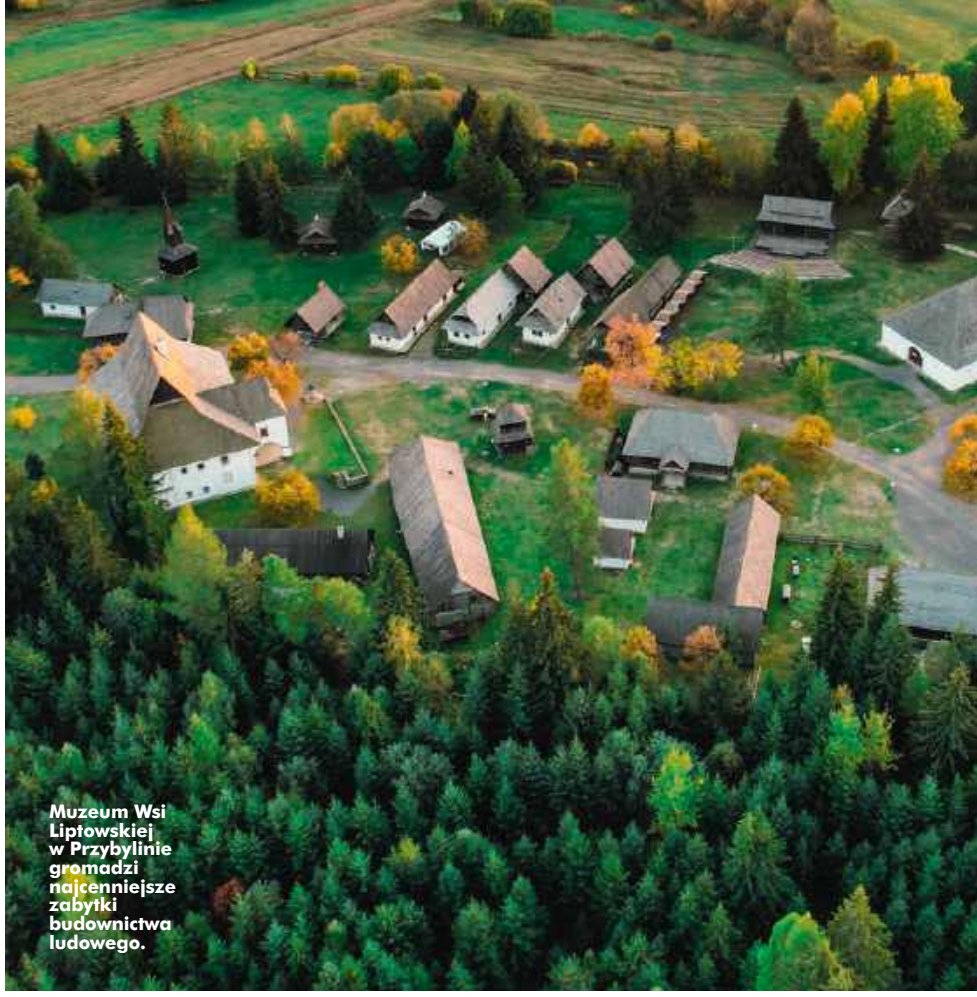
SHUTTERSTOCK

Szczyrbskie Jezioro (słow. Štrbské Pleso) to najwyżej położona miejscowość tatrzańska i kurort, którego wizytówką jest morenowe jezioro.





Co roku w lipcu w Kieżmarku odbywa się festiwal folkloru i rzemiosła ludowego.



Muzeum Wsi Liptowskiej w Przybylinie gromadzi najcenniejsze zabytki budownictwa ludowego.



Demianowska Jaskinia Lodowa pierwotnie znana jako Jaskinia Smocza.

eprasa.pl a72af8dce1



przekrzywiona. Można zjechać z niej... zjeżdżalnią, my jednak odpuszczamy sobie tę atrakcję. Po obfitym śniadaniu robimy spacer wokół jeziora. To nasza rozgrzewka. Wokół akwenu biegnie ścieżka spacerowa. Przejście zajmuje nam 40 min. W planach mamy jednak wejście na przełęcz Bystra Ławka, która znajduje się na wysokości ponad 2300 m n.p.m. Szlak na Bystrą Ławkę najpierw wiedzie asfaltową drogą. Dochodzimy do nieczynnych już skoczni narciarskich, które zbudowano w 1970 r. Odbijamy w stronę lasu i żółtym szlakiem wędrujemy Doliną Młynicką. Trasa jest malownicza i niewymagająca. Po ponad godzinie dochodzimy do mającego 25 m wysokości wodospadu Skok, jednego z najpiękniejszych w Tatrach. Dalej idziemy po skalnej płycie i robi się coraz bardziej stromo. Trzymając się łańcuchów, docieramy do Stawu nad Skokiem (1801 m n.p.m.). Kolejny postój robimy przy Capim Stawie – największym stawie w dolinie. Tu już mocniej wieje i robi się zimno. Jesteśmy na wysokości 2075 m n.p.m. Krajobraz staje się surowy: szarogranatowe wody akwenu, pozbawione roślinności skały i głazy. Czuję zmęczenie, ale przed nami jeszcze jeden stromy odcinek. Trzymając się łańcuchów, dochodzimy do Bystrej Ławki. Schodzimy natomiast z drugiej strony przełęczy do Doliny Furkotnej. Doskonale stąd widać szczyt Krywań, a także Stawy Furkotne. Teraz to już z górki – pocieszają mnie znajomi. Po kolejnych 3 godzinach znaleźliśmy się nad Szczyrbskim Jeziorem. Z niego można dojść także do Popradzkiego Stawu, ale my już nie mamy na to siły. Wyprawa zajęła nam ok. 7 godz. z postojami i robieniem zdjęć. Na nocleg dojeżdżamy autem do Popradu oddalonego od Szczyrbskiego Jeziora o 30 km.

BRAMA DO TATR

Poprad składa się z kilku dzielnic, które w przeszłości były niezależnymi miejscowościami. To doskonała baza wypadowa do zwiedzania okolicznych miejscowości, a także do wyjścia w góry. Znajduje się tu Galeria Tatrzańska i Muzeum Podtatrzańskie – jedno z najstarszych muzeów w kraju. Warto w nim zobaczyć wystawę przedstawiającą historię osadnictwa w Tatrach od czasów człowieka neandertalskiego do współczesności. W dzielnicy Straże pod Tatrami oglądamy doskonale zachowaną starówkę z renesansowymi kamienicami i kościołem św. Jana Chrzciciela z XIV w. Zabytkowe mieszczańskie kamienice, renesansową dzwonnicę i kościół św. Jerzego można podziwiać także w dzielnicy Spiska Sobota. Świątynia ma pięć ołtarzy gotyckich, a sama starówka uchodzi za najlepiej zachowaną w całym kraju. Ale najbardziej obleganą atrakcją w mieście jest Aqua City Poprad, park wodny z trzynastoma basenami termalnymi. Temperatura wody waha się w nich od 28 do 38 stopni Celsjusza. To idealne miejsce, żeby zregenerować się po trekkingu. Z jacuzzi, biczy wodnych i saun skorzystaliśmy także my. A potem znów ruszyliśmy w góry.

SMOK I JANOSIK

Co prawda Tatry Niżne (Niskie) nie należą do Łańcucha Tatrzańskiego, ale to wyjątkowo uroczy zakątek Słowacji. Opadające łagodnie zbocza gór, malownicze szlaki i doliny, a do tego miasteczka pełne zabytków. W 1978 r. na terenie Niżnych Tatr utworzono największy w kraju park narodowy. Nas przyciągnął zachwalany w przewodnikach system Jaskiń Demianowskich, z najbardziej obleganymi Demianowską Jaskinią Wolności i niesamowitą Demianowską Jaskinią Lodową. To tu znaleziono kości niedźwiedzia jaskiniowego, które w XVIII w. zostały uznane za... szczątki smoka. Korytarze mają długość prawie 2,5 km, ale turyści mogą się poruszać tylko na 650 m. To wystarczy, by przekonać się, że nie na wyrost zaliczana jest do najpiękniejszych jaskiń na świecie. Z Jaskiń Demianowskich podjeżdżamy zobaczyć Muzeum Wsi Liptowskiej w Przybylinie, które znajduje się u podnóża Tatr Zachodnich, niedaleko strefy ochronnej Tatrzańskiego Parku Narodowego. W skansenie można zobaczyć m.in. drewnianą karczmę, szkołę, budynki gospodarcze, chłopskie domy, które pokazują codzienne życie mieszkańców. Stąd już blisko do Liptowskiego Mikułasza – miasta leżącego niedaleko jeziora Liptovská Mara. To tu w 1713 r. został zabity słynny zbójnik Jerzy (Juraj) Janosik. Słowackiego Robin Hooda stracono w jeden z najbardziej okrutnych sposobów, wieszając na haku za lewe żebro. Dziś można się tu wybrać na spacer śladami Janosika, a przy okazji zobaczyć zabytkowe kamienice, synagogę i gotycki kościół św. Mikołaja. Ich zwiedzanie zostawiamy sobie jednak na zimę, kiedy wrócimy tu na narty. ■

SHUTTERSTOCK(2), ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1



Widok z góry Knutshøe w Parku Narodowym Jotunheimen na dolinę Leirungsdalen z jeziorami Gjende (szmaragdowe) i Øvre Leirungen.

eprasa.pl a72af8dce1



TEKST **BARBARA ŻUKOWSKA**

GRZBIETEM JASZCZURA

KAŻDY SZANUJĄCY SIĘ NORWEG POWINIEN PRZEJŚĆ SZLAK BESSEGGEN. PRAWDĘ MÓWIĄC, KAŻDY NIE-NORWEG TEŻ MUSI TO ZROBIĆ.



Ten szlak ma wszystko, co potrzeba, żebym uznała go za wyjątkowy. Da się go przejść w jeden dzień, przy czym najbardziej wymagający odcinek zazwyczaj przemierza się na czworakach. Nie jest jednak tak trudny, żeby był potrzebny specjalistyczny sprzęt. No i te widoki! Po horyzont ciągną się ośnieżone szczyty Parku Narodowego Jotunheimen, a w dolinach połyskują rzeki i jeziora w różnych kształtach i barwach. Besseggen jest zaliczany do klasyków norweskich szlaków górskich. Rocznie odwiedza go ok. 60 tys. osób. Idę więc pełna ciekawości. Skandynawia znowu jest dla mnie łaskawa. Słońca wprawdzie nie ma, gdy wychodzę ze schroniska Gjendesheim, ale nie pada i widoczność jest dobra. Gdyby dzień był mglisty, wybieranie się na szlak Besseggen mijałoby się z celem. Schronisko leży nad jeziorem Gjende, które wypełnia dno bardzo długiej doliny. Z tego powodu można je mylnie uznać za fiord. Prawy brzeg jest wysoki i skalisty. To właśnie słynny grzbiet Besseggen. Z dołu wygląda dość zwyczajnie, ale nie dajcie się zwieść pozorom. Wspinam się kamienistą ścieżką oznakowaną, jak wszystkie piesze szlaki w Norwegii, czerwoną literą „T" namalowaną na głazach. Teren przypomina pustynię – kamienie, nagie skały, trawa, ani jednego drzewa. W pewnym momencie szlak przybliża się do krawędzi grzbietu i wtedy po raz pierwszy pokazuje się jezioro Gjende. Ma niezwykły zielony odcień. Płynie po nim statek, z tej wysokości jest mały jak przecinek. Po prawej stronie wyłania się jezioro Bessvatnet. Jakże się różni od Gjende – jest ciemnogranatowe i puste. Za to uchodzi za najczystsze w Norwegii, widoczność sięga 30 m w głąb. Później napięcie rośnie. Kamieniste wypłaszczenie zwęża się, docieram do najwyższego punktu na szlaku (Veslfjellet, 1743 m) i oto ukazuje się widok na wąską stromą grań oddzielającą oba jeziora. Nie dość, że różnią się kolorem wody, to jeszcze leżą na różnych wysokościach. Gjende ma taflę ok. 400 m niżej niż Bessvatnet. Wygląda to fenomenalnie. Na dodatek słońce przebija się przez chmury i w jego promieniach woda staje się malachitowa. Stojąc na szczycie grani, mam przed i pod sobą przestrzeń tak wielką, że mogłabym

W paśmie górskim Jotunheimen jest mnóstwo jezior i lodowców. Największy z nich, Jostedalsbreen, zajmuje 486 km².



Lemingi norweskie, małe gryzonie z rodziny chomikowatych, żywią się trawą, gałązkami i pąkami krzewów, a głównie mchem.

SHUTTERSTOCK(2),ADOBE STOCK,GETTY IMAGES ; POPRZEDNIE STRONY SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a72af8dce1



Odpoczywając na grzbiecie Bessegenden, można podziwiać niezwykły kolor jeziora Gjende.



Znaki na szlaku Besseggen wskazujące drogę do schronisk Gjendesheim i Memurubu.



Nazwa jeziora Gjende pochodzi od staronordyckiego słowa *gandr*, czyli laska lub kij, i odzwierciedla jego długi, wąski kształt.

eprasa.pl a72af8dce1



Szlak Besseggen ma ok. 14 km długości, a różnica wzniesień wynosi ponad 1000 m.



Wędrówka szlakiem Besseggen zajmuje zwykle ok. 8 godz. i wymaga dobrego przygotowania fizycznego oraz odpowiedniego ubioru.

ADOBE STOCK, GETTY

rozwinąć skrzydła i odlecieć. Ale jeśli ktoś ma lęk wysokości, niech odpuści sobie Besseggen i wybierze szlak biegnący brzegiem jeziora Gjende. Niecałe 30 km stąd w linii prostej leży Galdhøpiggen, najwyższy szczyt Norwegii (2469 m), oraz nieco od niego niższy Glittertind. Mimo że oba ustępują naszym Rysom, położenie daleko na północy sprawia, że spływają z nich lodowce. Grań – poza tym, że najbardziej spektakularna – jest także najtrudniejszym odcinkiem szlaku. Nie ma tu takiej stromizny, żeby były potrzebne łańcuchy, ale trzeba uważnie szukać oparcia dla rąk i nóg. To dlatego czasem się tu zagęszcza od ludzi, oczywiście na miarę skandynawską. W najniższym punkcie grani ścieżka schodzi nad jezioro Bessvatnet. To dobre miejsce, żeby trochę odpocząć i coś zjeść. Na przejście całości – między schroniskami Gjendesheim i Memurubu – trzeba przyjąć 6 do 8 godz., wliczając w to przerwy. Pokonuje się w sumie około tysiąca metrów różnicy wysokości.

KANAPKA Z MAPĄ

Wyjmuję kanapkę i uważnie oglądam papier śniadaniowy, w który ją zawijałam rano w Gjendesheimie. Jest na nim nadrukowana mapa okolicy ze szlakami i schroniskami. Prawda, że genialne? Ktoś wpadł na najprostszy pomysł pod słońcem. Samo schronisko zrobiło na mnie duże wrażenie, nie tylko z powodu wyglądu, ale przede wszystkim sposobu zarządzania. W cenie łóżka jest śniadanie, obiad w dniu przyjścia, wspomniana kanapka i napełnienie wrzątkiem własnego termosu przed wyjściem w góry. Na dodatek tamtejsza kuchnia serwuje dania przyrządzone z lokalnych produktów: ziemniaków migdałowych (ich nazwa wzięła się od kształtu bulw), warzyw, serów, baraniny, borówki brusznicy. Kiedy patrzę z dołu na grań, przypomina mi grzbiet jaszczura, który przysnął w górach i ogonem zatrzymał ciemne wody jeziora Bessvatnet. Szlak biegnie teraz po ogonie i chociaż już nie tak wysoko jak wcześniej, widoki nadal są świetne. Dobrze widać kilka sąsiednich dolin i rzeki wpływające do malachitowego jeziora Gjende. Nie mogę oderwać od niego oczu. Swój kolor zawdzięcza topniejącym lodowcom. Woda z nich zawiera zawiesinę bardzo drobnych cząstek mineralnych, które rozpraszają się w jeziorze i nadają mu tę niezwykłą barwę. Ścieżka schodzi w końcu nad jego brzeg, do przystani koło schroniska Memurubu. Można tu przenocować i pójść dalej następnego dnia (to dopiero połowa długości jeziora) albo wsiąść na statek i wrócić do Gjendesheimu. Wybieram tę drugą opcję i wchodzę na pokład. Uśmiecham się do siebie na myśl, że za chwilę z góry będę wyglądała jak przecinek. ■

eprasa.pl a72af8dce1





Malownicza Droga Transfogaraska przebiega przez środkową część Rumunii. Ma 151 km długości.

TEKST **JAKUB RYBICKI**

W KRAINIE NIEDŹWIEDZI

WYPRAWA W GÓRY FOGARASKIE TO WĘDRÓWKA PRZEZ DZIKĄ RUMUŃSKĄ PRZYRODĘ.



Wejście na szczyt Moldoveanu to całodniowa wyprawa.

Był to szósty dzień wędrówki po Fogaraszach. Po ponad 80 kilometrach marszu przez najdziksze góry w Unii Europejskiej i zdobyciu kilkunastu dwutysięczników w końcu zmierzaliśmy w kierunku cywilizacji. Schodziliśmy już od dobrych kilku godzin, mijając kolejne znaki obecności niedźwiedzi – malinowe chruśniaki naznaczone kępkami futra, wygniecioną trawę i oczywiście ślady łap. W końcu z zarośli kilka metrów przed nami wyłonił się kosmaty brązowy kark, najpewniej szukający jakichś smakołyków. Właściwie to karków było kilka, a wszystkie budziły nasze przerażenie. Iść na spotkanie z niedźwiedziami nie wydaje się najlepszym pomysłem, ale z drugiej strony wiedzieliśmy, jak się zachować. A poza tym innej drogi po prostu nie było. Czekałem na nie z aparatem w pogotowiu, bo właściwie wszyscy piechurzy, których przez ostatnie kilka dni mijaliśmy po drodze, opowiadali o mniej lub bardziej spektakularnych spotkaniach z największym drapieżnikiem Europy. Praktycznie każdy Rumun dziwił się: „Jak to, nie widzieliście jeszcze niedźwiedzi?". Ruszyliśmy więc ku nim, pokrzykując sobie dla animuszu. W końcu gapowate zwierzęta zdały sobie sprawę z naszej obecności, a ja zauważyłem coś innego – zaniepokojone machały ogonami. Sęk w tym, że niedźwiedzie nie mają ogonów, a przynajmniej nie takich, którymi można machać!

Droga Transfogaraska łączy historyczne krainy: Transylwanię na północy z Wołoszczyzną na południu.



Brânză de burduf, tradycyjny rumuński ser owczy, często dojrzewa i jest sprzedawany w korze jodłowej lub w owczych żołądkach.

PUSTO NA SZLAKU I W SCHRONISKU

Góry Fogaraskie to najwyższe pasmo Karpat Południowych, czyli południowej części tych samych gór, które ciągną się ogromnym łukiem przez Ukrainę, Węgry i Słowację aż do Polski. Skaliste granie przeplatają się tu z otwartymi połoninami, a łagodne z jednej strony zbocza, z drugiej straszą pionowymi ścianami. Główny grzbiet rozciąga się na odległość ok. 70 km. Na tej przestrzeni możemy wszędzie rozbić namiot, uważając tylko, by nie schodzić na poziom żerowania niedźwiedzi. Zaczynamy jednak od noclegu pod dachem. Po przejściu prawie tysiąca metrów w górę z ostatniej wioski doczłapujemy wieczorem do Cabana Suru. *Cabana* znaczy „schronisko", a od tych, które znamy z Polski, różni się jednym ważnym szczegółem. Nie ma w nim ludzi – poza obsługą. Dostajemy kilkunastoosobową salę na wyłączność i pyszną kolację w pakiecie. Podobnie jak kilkanaście pozostałych caban, ta leży na wysokości ok. 1,5 tys. m n.p.m., czyli dobrze ponad 500 m poniżej głównej grani. Nie opłaca się zatem schodzić do schronisk na noc – całe jedzenie i ekwipunek biwakowy trzeba nosić ze sobą. To główna trudność tego szlaku – chodzenie z ciężkim plecakiem przez kilka dni jest dość męczące, nawet jeśli ciężki oznacza 13 kg, jak w naszym przypadku. Pierwszego dnia na grani nie spotykamy nikogo. Dopiero wieczorem mija nas grupa ośmiu wędrowców, którzy właśnie pocałowali klamkę refugiulu Scara. Refugiul to schron – metalowa konstrukcja mająca zapewnić dach nad głową w awaryjnej sytuacji, na przykład podczas burzy. Na dobrą sprawę można by zaryzykować przejście szlaku bez namiotu – trasę da się zaplanować od schronu do schronu. Tłoku w środku też raczej nie należy się obawiać, bo obiekty te są z reguły w fatalnym stanie.

ADOBE STOCK (4); POPRZEDNIE STRONY ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1





Moldoveanu to najwyższy szczyt Rumunii i Karpat Południowych. Ma wysokość 2544 m n.p.m.



Populacja niedźwiedzia brunatnego w Rumunii jest największa w Europie (poza Rosją) i wynosi od 8 do ponad 12 tys. osobników

eprasa.pl a72af8dce1



Trasa przez dolinę Valea Rea jest uważana za najkrótszą, choć wymagającą drogę na szczyt Moldoveanu.

Na tym tle zdecydowanie wyróżnia się czarna nowoczesna konstrukcja pod górą Scara. To zbyt piękne, by było prawdziwe – pomyślałem i ewidentnie zapeszyłem, bo drzwi były zamknięte na cztery spusty. Schron oficjalnie otworzono cztery dni później. W sumie wyszło nam to na dobre, bo rozbiliśmy namiot w miejscu tak pięknym, że szkoda by było zasłaniać sobie widok ścianami grubszymi niż te od namiotu. Najbardziej spektakularny odcinek grani Gór Fogaraskich przebiega we względnej bliskości Drogi Transfogaraskiej. Pełną serpentyn szosę zbudowano w latach 70. zeszłego wieku, oczywiście na polecenie Nicolae Ceauşescu, który w obawie przed radziecką inwazją (jak w Czechosłowacji) chciał zapewnić sobie szybki przerzut wojsk przez góry. To najbardziej malownicza droga w kraju. Najwyższy punkt osiąga nad jeziorem Bâlea (2034 m n.p.m.), zaraz przed tunelem zamykanym od października do maja. My przechodziliśmy kilkaset metrów nad nim, patrząc z wysoka na dziesiątki samochodów, które przywiozły ludzi chcących spędzić weekend w górach. Z parkingu na pierwszy szczyt można dotrzeć w dwie godziny. Bardziej ambitni zdobywają najwyższy w kraju, Moldoveanu (2544 m n.p.m.), w kilkanaście godzin. Część wybiera opcję z noclegiem w namiotach lub w hotelu nad jeziorem.

Przez stulecia Karpaty przemierzali trudniący się pasterstwem Wołosi.



Owczarek rumuński karpacki to rasa od wieków wykorzystywana jako psy stróżujące do ochrony stad owiec przed drapieżnikami.

GDZIE JEST NAJPIĘKNIEJ?

Pomijając dwa dni w okolicach Drogi Transfogaraskiej, szlak jest niemal bezludny. Spotykamy średnio kilkanaście osób dziennie. Wybór miejsca na rozbicie namiotu nie jest problemem, miewamy raczej dylematy typu: „Czy aby tu

ADOBE STOCK (3)

eprasa.pl a72af8dce1



Na rozległych halach można spotkać stada owiec liczące setki sztuk.

jest najpiękniej?". Czasem śpimy w towarzystwie innych ludzi, ale zdarzyło się też, że rozbijanie obozu nadzorowała samotna owieczka, ewidentnie uciekinierka ze swojego stada. Podobno większa jest radość z odnalezienia jednej zagubionej owcy niż całej grzecznie pasącej się trzody, ale nie spotkaliśmy żadnego dobrego pasterza, który ruszyłby na jej poszukiwania. Może dlatego, że trudno doliczyć się każdej sztuki, kiedy mają ich pod opieką kilkaset? Tak kiedyś musiał wyglądać wypas w Tatrach – co parę kilometrów widzimy oblepiające zbocza stada liczące minimum 200 zwierząt. Pasterze krzyczą coś po swojemu, nie bardzo zwracając na nas uwagę poza zwykłym pozdrowieniem. Zresztą i tak raczej trudno byłoby się nam dogadać, mimo że część słów związanych z górami można rozpoznać. Baca, bryndza, watra, koliba, cap, tarnica, przysłop, magura... to tylko niektóre z określeń brzmiących podobnie w kilku niespokrewnionych ze sobą językach. Podobieństwa nie wzięły się znikąd. Przez stulecia Karpaty przemierzali trudniący się pasterstwem Wołosi, przenosząc swoje zwyczaje i słowa od Bałkanów po Polskę. Tak zwane karpatyzmy świadczą o tym, że łączy nas z Rumunią więcej, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać.

MIZIANIE Z CZWORONOGIEM

Na pewno pasterzy wszystkich krajów łączy jedno – do skutecznej opieki nad zwierzętami potrzebują psów. Najczęściej wielkich, złych i bardzo nielubiących turystów. Psy pasterskie pod każdą szerokością geograficzną z jakiegoś powodu zgodnie uważają górołazów za złodziejaszków, którzy znaleźli się na szlaku na pewno tylko po to, by skraść ich drogocenne owce. Spotkanie ze wściekle ujadającym zwierzęciem o wadze sporego cielaka jest co najmniej tak samo stresujące jak widok wygłodniałego niedźwiedzia. Tak to przynajmniej wygląda we wszystkich górach świata, ale nie w Górach Fogaraskich. To było kolejnego dnia rano. Obudziłem się jak zwykle około siódmej, otworzyłem namiot i zobaczyłem go. Siedział grzecznie i patrzył na mnie z wyczekiwaniem, jedno ucho miał oklapnięte. – Nic dla ciebie nie mam, piesku – powiedziałem, bo nie sądziłem, żeby był zainteresowany liofilizatem albo batonikiem energetycznym. Chyba nie zrozumiał, bo zaczął się miziać, a potem, gdy zwinęliśmy namiot, odprowadził nas jeszcze dobry kawałek drogi, zamiast siedzieć i pilnować stada. Sytuacja

eprasa.pl a72af8dce1



Malownicze polodowcowe jezioro Bâlea jest położone na wysokości 2034 m n.p.m. W jego pobliżu znajdują się schroniska.

powtórzyła się jeszcze parę razy, widzieliśmy też kilku piechurów karmiących psy, więc w sumie trudno im się dziwić. Wygląda na to, że Rumuni chętnie dzielą się jedzeniem z czworonogami, nawet jeśli są to... niedźwiedzie. Jedynym miejscem, w którym możecie mieć problemy, są okolice Drogi Transfogaraskiej – turyści zatrzymują się tam i je dokarmiają – ostrzegała nas właścicielka schroniska.
To zaprzeczenie podstawowych zasad postępowania z dzikimi zwierzętami, ale wydaje się, że mało komu to przeszkadza. Skutki są takie, że niedźwiedzie schodzą do miast i buszują po śmietnikach, tak jak u nas dziki. Rumunia bezapelacyjnie ma najwyższą populację niedźwiedzi w Europie (poza Rosją) – ponad 10 tys., choć leśnicy nieoficjalnie podają jeszcze wyższe liczby. Dla porównania – w Polsce populacja

eprasa.pl a72af8dce1



ADOBE STOCK

liczy zaledwie ok. 150 osobników. Tak szokująco wysoka liczebność ma swoje źródła w epoce komunizmu. Rządzący Rumunią przez ćwierć wieku Nicolae Ceauşescu był zapalonym myśliwym, a w ciągu swojego życia zastrzelił podobno aż 10 tys. zwierząt, w tym ponad 400 niedźwiedzi. Sęk w tym, że nie pozwalał polować na nie nikomu innemu. W ten sposób znalazły się pod swego rodzaju „ścisłą ochroną", choć sam dyktator potrafił zabić jednego popołudnia ponad 20 drapieżników zaganianych pod jego myśliwską lodżię przez miejscową ludność. Tak populacja urosła z około tysiąca osobników po wojnie do ok. 8 tys. w 1989 r. Mimo potencjalnego zagrożenia człowiek nie należy do niedźwiedziego jadłospisu. Wszystkie spotkania, o których nam opowiadano, miały miejsce poniżej głównego grzbietu, czyli tam, gdzie występują jagody, jeżyny i inne przysmaki tych wszystkożernych zwierząt. Rozbijając namiot powyżej 2000 m n.p.m., możemy spać spokojnie. Sęk w tym, że ten ostatni dzień to 25 km zejścia przez niedźwiedzią stołówkę.

TO NIE BYŁY NIEDŹWIEDZIE!

Właśnie w takich okolicznościach natknęliśmy się na... stado żubrów! Jakież było moje rozczarowanie, gdy właścicielami podejrzanych ogonów okazały się znane z polskich lasów rogacze. Żubry to ja mam u siebie na Podlasiu! Każdy, kto dobrze zna puszczę, wie, gdzie można je spotkać. Zresztą niewykluczone, że przybyły do Rumunii właśnie z moich stron – w końcu stadko pierwszych ośmiu zwierząt zostało wypuszczone w Górach Fogaraskich raptem w roku 2020. Zobaczyć je na wolności, z bliska, w lesie, to prawdziwa gratka i powód do radości, ale o ileż piękniej byłoby, gdyby wystąpiły w parze z niedźwiedziem! Życie bywa jednak przewrotne. Po zakończeniu wycieczki postanowiliśmy spędzić jedną noc w bardziej komfortowych warunkach, czyli w hotelu. Około północy obudził mnie alarm w telefonie – to automatyczna usługa w Rumunii, która aktywuje się, gdy w pobliżu wałęsa się niedźwiedź. Wyjrzałem przez okno i rzeczywiście – tuż pod moimi oknami mama z dwójką młodych urządziła sobie popas przy kuble z odpadami. Ten niezbyt romantyczny, ale za to prawdziwy obrazek był odpowiedzią na moją chęć zrobienia zdjęcia majestatycznemu drapieżnikowi. Przyroda, zwłaszcza ta dzika, ma to do siebie, że nie ogląda się na nasze potrzeby i wyobrażenia. A trudno znaleźć w Europie miejsce bardziej dzikie niż Góry Fogaraskie. ■

eprasa.pl a72af8dce1



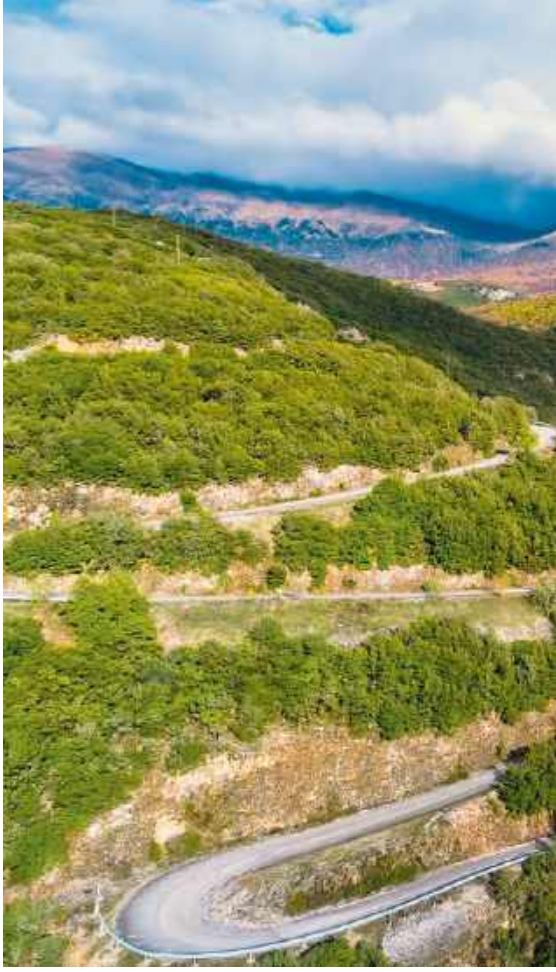
Drakolimni, czyli „Smocze Jezioro", to polodowcowy zbiornik położony na wysokości 2050 m n.p.m. w masywie Tymfi, który według legendy był areną starć mitycznych stworzeń.



TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

PRZEZ WIELKI KANION

W REGIONIE EPIR, POŁOŻONYM Z DALA OD WYBRZEŻA, DOŚWIADCZYCIE INNEJ GRECJI.



Nie widziałem ani jednej łodzi rybackiej. Zamiast bielonych domów mijałem chałupki z kamienia przykryte łupkowym dachem. Nie zamówiłem nawet pół talerza kalmarów, ale próbowałem za to aromatycznej koźliny. Trafiłem do Grecji alternatywnej. W akompaniamencie dźwięków krowich dzwonków i aromacie dymu ulatującego przez kominy wiejskich domów zanurzam łyżkę w miseczce z miodem. Jestem w Epirze, rejonie Zagori, na północno-zachodnim skrawku Grecji. Bliżej mu do Alp niż do rozbawionych wakacyjnymi imprezami wysp Hellady. To kraina gór, lasów, niedźwiedzi i poobijanych pikapów przewożących po krętych drogach ule pełne pszczół. Pszczelarstwo jest tu bowiem tradycją kultywowaną od setek, jak nie tysięcy lat. – Epir, a szczególnie geopark Vikos, słynie z bioróżnorodności – mówi Eleni Plachoura, która wraz z partnerem, Vassilisem, ma całkiem pokaźną liczbę uli. – Rosną tu setki roślin, ziół i kwiatów. Dla pszczół to Eden! Na potwierdzenie wyjątkowości miodu z Zagori Eleni ma papiery – sprzedawany przez nią produkt został zbadany na uniwersytecie w Tesalii i okazało się, że miód ma najwyższy z możliwych poziom przeciwutleniaczy oraz składników o działaniu zbliżonym do antybiotyków. Inaczej mówiąc, to bomba zdrowotna. – To nie dotyczy wyłącznie naszych miodów, ale większości z tych, które pozyskiwane są w tych górach – mówi Eleni. – Kluczowe bowiem są warunki, w których żyją pszczoły. A Zagori to wciąż jeden z najmniej zmienionych przez cywilizację rejonów Grecji, a może i Europy.

Jestem na północno-zachodnim skrawku Grecji. Bliżej mu do Alp niż do wakacyjnych wysp.



Wypiekany w tradycyjnym piecu opalanym drewnem chleb z wioski Vrosina jest podstawą lokalnej diety.

KRANIEC ŚWIATA

Jeszcze w latach 50. ubiegłego wieku nie było tu żadnych utwardzonych dróg, korzystano jedynie ze ścieżek puszczonych nad potokami łukowatymi mostami z kamienia. Nazwa regionu ma zresztą słowiańskie pochodzenie i wywodzi się od *za gori*, czyli „za górami", sugerując, że przez setki lat te ziemie znajdowały się z dala od szlaków oraz zainteresowania świata. Nawet za czasów otomańskich Epir zachował sporą niezależność. Tureccy najeźdźcy szybko zdali sobie sprawę, że tych gór nie da się w pełni kontrolować. Nie bardzo więc wtrącali się w życie miejscowych, wiedząc, że jeżeli ci zechcą sięgnąć po broń i zaszyją się w tutejszych dolinach i gęstych lasach, będą mogli odpierać ataki w nieskończoność. Góry, ciągnące się aż od Albanii, są częścią masywu Pindos, drugiego pod względem wysokości po Olimpie łańcucha górskiego w Grecji. W obrębie wytyczonego parku narodowego, na powierzchni ponad 200 tys. ha, mieszka zaledwie ok. 4 tys. ludzi. Większość żyje w 46 tradycyjnych wioskach w regionie Zagori. Gdy siedzę przy śniadaniu na tarasie butikowego, działającego w zrównoważony sposób hotelu, patrząc na wysokie szczy Astraki w oddali oraz skąpaną w ciemnej zieleni drzew szczelinę wąwozu Vikos, tę pustkę czuję niemal namacalnie. Zagori jest oazą pozwalającą odpocząć od miejskiego zgiełku, pośpiechu, tłumów i hałasu. Sunę wzrokiem po wygiętej w łuk linii kanionu, wyłapując w oddali kamienne zabudowania. Gdzieś tam kryją się też Drakolimni – Smocze Jeziora, oraz rzeka Voidomatis. Małe akweny są reliktami polodowcowymi, stawami o głębokości ok. 5 m ukrytymi wysoko w górach. Rzeka przecinająca

SHUTTERSTOCK (2), GETTY IMAGES (2). POPRZEDNIE STRONY: GETTY IMAGES

eprasa.pl a72af8dce1



Serpentyny drogi prowadzącej do wiosek regionu Zagori oferują spektakularne widoki na ściany wąwozu Vikos.



Naturalne baseny skalne Ovires Rogovou położone między wioskami Papingo i Mikro Papingo.



Rzeka Voidomatis, uznawana za jedną z najczystszych i najzimniejszych w Europie, oferuje idealne warunki do raftingu.

eprasa.pl a72af8dce1



eprasa.pl a72af8dce1



Kamienny most Kokkori-Noutsou z XVIII w. dawniej stanowił kluczowe połączenie między wioskami w górach Pindos.

GETTY IMAGES

Tureccy najeźdźcy szybko zdali sobie sprawę, że tych gór nie da się w pełni kontrolować. Nie bardzo więc wtrącali się w życie miejscowych.

wąwóz uważana jest natomiast za jedną z najczystszych rzek w Europie. Vikos ma długość 20 km, szerokość 400 m i głębokość dochodzącą do 1600 m. Przewodnicy podają często informację, że to najgłębszy kanion na świecie, w rzeczywistości jednak Vikos dzierży miano lidera tylko wtedy, gdy weźmie się stosunek szerokości do głębokości. Niezależnie od rekordów jest jednak miejscem imponującym. Patrzę na niego z oddali, myśląc o siłach natury, które przez mniej więcej 150 mln lat kształtowały to miejsce. O uporczywym działaniu czasu, wiatru i wody – rzeźbiarzy tej głębokiej szczeliny, którą można przemierzyć podczas kilkugodzinnego trekkingu.

NA WŁASNYCH NOGACH

Park Narodowy Vikos-Aoös w całości skrojony jest na potrzeby pieszych. Przez ostatnie dziesięciolecia przybyło tu co prawda dróg i ulic, wciąż jednak do wielu miejsc i wiosek można się dostać wyłącznie na własnych nogach. Drogowskazy często podają zresztą nie dystans, jaki dzieli cię od określonego punktu, lecz czas, jaki zajmie ci jego pokonanie pieszo. Zamiast kilometrów na tych tabliczkach widnieją godziny. Rano przy tablicy w Monodendri, będącej umownym początkiem szlaku, Znak wskazywał, że czeka mnie 5 godz. marszu. Z doświadczenia wiedziałem jednak, że te liczby nie uwzględniają zazwyczaj postojów na odpoczynek.



Kamienny Las (Petrino Dasos) w pobliżu Monodendri to unikalne skupisko krasowych formacji wapiennych.

Realnie więc na przebycie tych 12 km potrzeba 6–7 godz. Kamienista ścieżka poprowadziła mnie prosto do kanionu. Poczułem się, jakbym nurkował w utkaną z zieleni głębinę. Stoki wąwozu porasta las słynący z jednej z największych różnorodności gatunków drzew w Europie. Na obszarze dającym się objąć kilkoma spojrzeniami rosną klony, jesiony, dęby, leszczyny, lipy, sosny, jałowce i buki. W Vikos pojawiają się niedźwiedzie brunatne, ale też wilki i rysie. Dnem wąwozu, do którego docieram po chybotliwym, trudnym w pokonaniu rumoszu, biegnie jedna ścieżka. Prowadzi mnie wzdłuż koryta rzeki, której poziom latem jest bardzo niski. Moje plany zanurzenia się w chłodnych wodach Voidomatis spełzły więc właśnie na niczym. Nawet przy takiej suszy widać jednak, że rzeka mieni się turkusowym kolorem. W nurcie odbijają się niebo i zieleń drzew, ale intensywny kolor nadaje przede wszystkim wapienne podłoże.

SKALNA STUDNIA

Przez kolejne kilka godzin ścieżka kluczy, kreśląc łuki, kilka razy wspina się na wzniesienia, by po chwili z nich opaść. Nie jest trudna, ale wymaga uwagi, podłoże w większości jest kamieniste i niestabilne, kroki trzeba więc stawiać ostrożnie. Pod koniec wędrówki docieram do rozwidlenia. Po lewej, wysoko w górze, jest mój cel, wioska Vikos, do której prowadzi stroma dróżka. Po prawej druga, idąca do źródeł Papingo, o czym informuje drewniana tabliczka. Dzieli mnie od nich zaledwie 5 min marszu, postanawiam więc nadłożyć drogi i odbijam na chwilę z głównego szlaku. Docieram do piętrowych skalnych półek, pośród których przeciska się potok Rugova. Chcąc iść dalej, muszę zdjąć buty. Wędruję po zalanym wodą kamieniu, mając po obu stronach schodkowe ściany porośnięte drzewami. Nie ma tu nikogo, a ja się czuję, jakbym wkraczał w jakąś baśniową przestrzeń. Kilka razy przeskakuję rzeczkę, a chłód jej wody wbija mi się drobnymi igłami w stopy. Przekraczam niskie kaskady, nasłuchuję dudniących gdzieś w pobliżu wodospadów. Woda rozlewa się na kilka naturalnych basenów obramowanych przez łupkowe skały. W końcu docieram do zwężenia – ściany napierają na siebie, a kaskady zielonego mchu pokrywają kamienny klif wraz z pędami bluszczu zwieszającymi się długimi ramionami. Widok nieba przesłaniają schylające się ku sobie drzewa. Jestem w naturalnej studni, w której słyszę jedynie bębnienie wody i buszujące gdzieś w zaroślach ptaki. Stoję przez chwilę bez ruchu i myślę o tym, że widzę świat, który niewiele zmienił się od setek tysięcy lat. W końcu odwracam się, by ruszyć ku Vikos, a wąska kamienna ścieżka poprowadzi mnie ku współczesności. ■

SHUTTERSTOCK (4)

eprasa.pl a72af8dce1



Zbudowane z szarego łupka Monodendri to nie tylko górska oaza spokoju, ale i główna brama do wąwozu Vikos.



Tradycyjna portokalopita, czyli aromatyczne ciasto pomarańczowe na bazie ciasta filo. Skosztujecie go w wielu górskich wioskach.



Monodendri, położone na wysokości 1060 m n.p.m., to jedna z najlepiej zachowanych kamiennych wiosek Zagorochorii.

TEKST **AGNIESZKA MICHALAK**

KIEDY GÓRY ŚPIEWAJĄ

KONCERT MIĘDZY SZCZYTAMI DOLOMITI DI BRENTA, BIEGANIE BOSO PO LESIE I WYBORY NAJPIĘKNIEJSZEJ JAŁÓWKI. TAKIE RZECZY TYLKO W TRYDENCIE.

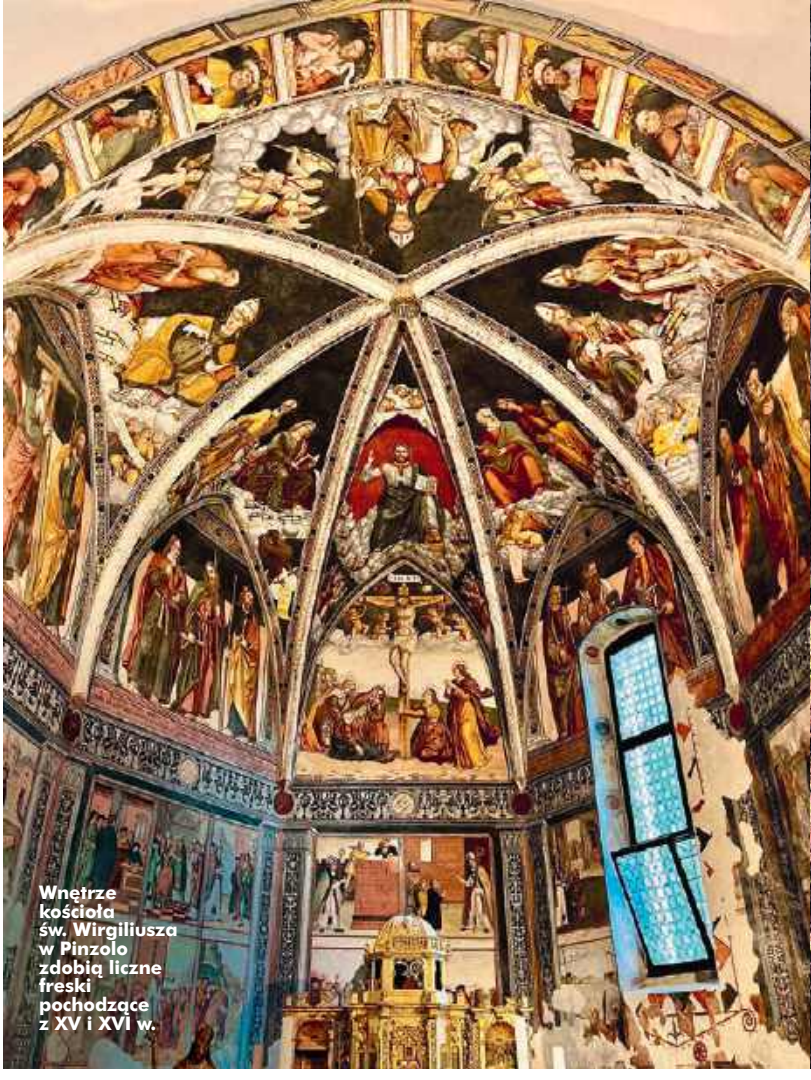




Coroczny festiwal Sounds of Dolomites trwa około miesiąca i odbywa się od 30 lat.



Podczas festynu Giovenche di Razza Rendena odbywa się huczna parada, która przechodzi ulicami Pinzolo.



Wnętrze kościoła św. Wirgiliusza w Pinzolo zdobią liczne freski pochodzące z XV i XVI w.

Kocham muzykę Mozarta. Ale czasem, by jej posłuchać, nie wystarczy wcisnąć „play" w odbiorniku lub pójść do filharmonii. Tylko – tak jak ja przed chwilą – trzeba zerwać się o 4 nad ranem, włożyć strój trekkingowy, a do plecaka spakować koc i latarkę czołową. Potem przejść żwawo przez pogrążone w błogim śnie miasteczko Madonna di Campiglio wprost do wyciągu, który powiezie na szlak prowadzący do przełęczy Grosté. Bo właśnie tam mają wybrzmieć dźwięki napisane przez austriackiego kompozytora. – Agnes, wybrałaś najbardziej wymagający koncert całego festiwalu Sounds of Dolomites – śmieje się mój przyjaciel z Trydentu, gdzie co roku odbywa się ta impreza. Zjeżdżają na nią najlepsi muzycy z całego świata i grają koncerty oraz opery między trzytysięcznikami. Po raz pierwszy byłam na festiwalu kilka lat temu – *Cyrulik sewilski* w naturalnej górskiej scenografii był dla mnie zjawiskiem. Wtedy operę Rossiniego grano wczesnym popołudniem. Tym razem zamierzałam posłuchać koncertu, który miał się odbyć o świcie. Najpierw jednak musiałam się dostać na wysokość 2442 m n.p.m., do rzeczonej przełęczy. Droga nie była łatwa, ale widok wschodzącego w górach słońca wart był każdych pieniędzy i każdego wysiłku.

KRÓLOWA JAŁÓWEK

Do Trydentu przyjechałam dzień wcześniej. To jeden z najpiękniejszych i najzamożniejszych obszarów północnych Włoch, usiany rozległymi łąkami, bujnymi lasami i jeziorami, w których odbijają się szczyty Dolomitów. Doliny przecina rzeka Adyga, która niezależnie od pory roku ma zawsze lazurowy kolor. Wiem, co mówię – wiosną przyjeżdżam tu, by zasuwać wzdłuż jej koryta rowerem, całymi dniami chodzić po górskich szlakach i pokonywać strach na ferratach, spać w schroniskach i jeść tam polentę z kozim serem i grzybami. Zimą, by jeździć na nartach po niekończących się, szerokich, spektakularnych trasach, a wczesną jesienią – by odwiedzać winnice i na nowo odkrywać muzykę. Jednym z najbardziej uroczych i eleganckich miasteczek Trydentu jest Madonna di Campiglio w dolinie Val di Rendena. Na tutejszej Via Monte Spinale lubię zaglądać do butików z wełnianymi czapkami, skórzanymi torebkami i puchowymi kamizelkami, na Piazza Righi wypić americano, a na tarasie docenionej gwiazdką Michelina restauracji Stube Hermitage zjeść spaghetti z serem caciocavallo. Na dłużej zwykle przysiadam na

A. MICHALAK(3), GETTY IMAGES ; POPRZEDNIE STRONY - F. MODICA/VISITTRENTINO.INFO

eprasa.pl a72af8dce1



Wędrówka przez Dolomity oznacza nieustający zachwyt nad przyrodą.



Kościół Santa Maria Nuova w Madonna di Campiglio.

ławeczce przy niewielkim jeziorze Campiglio położonym w sercu miasta i patrzę, jak wędkarze prześcigają się w łapaniu pstrągów. Włócząc się po przystrojonych kwiatami brukowanych deptakach, czuję się jak księżniczka Sisi, która uwielbiała Madonnę. Zresztą w dobie karnawału można tu wypożyczyć XIX-wieczną aksamitną lub jedwabną suknię z krynolinami i wziąć udział w przyjęciu na jej cześć. Także mąż Elżbiety Bawarskiej, cesarz Franciszek Józef, lubił spędzać tutaj długie popołudnia na spacerowaniu po lesie, trenowaniu walca lub urządzaniu kameralnych spotkań z dworzanami. Dopiero w 1948 r. ruszył stąd pierwszy wyciąg krzesełkowy i od tego momentu ciche miasteczko stało się modnym kurortem. Kręcąc się po Madonnie, dojrzałam plakat festynu Giovenche di Razza Rendena (w tym roku 30 sierpnia – 6 września)

Z Madonny di Campiglio prowadzi kilka szlaków Dolomiti Natural Wellness.



Włoska przystawka. Składa się na nią m.in. wybór tradycyjnych wędlin, serów i warzyw.

w Pinzolo, kilka kilometrów stąd. Długo nie myśląc, złapałam jadącego tam busa – nie mogłam przecież przegapić wyborów... miss jałówek, które zostały podkreślone na afiszu jako clou programu. Co roku na cześć tutejszej rasy bydła – rendena – odbywają się biesiady i huczna parada ustrojonych w kwiaty, dzwonki, a nawet spódniczki krowich panien. Wśród nich w wianku z białych róż dostrzegam tę najpiękniejszą – królową Pinzolo. Została nią dama o imieniu Giogo Isola, a w wyścigu o koronę pokonała aż 150 koleżanek. Zostałabym na festynie nieco dłużej i wspólnie z mieszkańcami dziękowała naturze za udane zbiory, ale za kilka godzin miałam przecież wstawać na koncert.

MOZART BYŁBY ZACHWYCONY

Kiedy wysiadłam z gondoli, na przełęczy Grostè było tak ciemno,

eprasa.pl a72af8dce1

Schroniska Sella i Tuckett, położone na wysokości 2200 m n.p.m., są otwarte od 20 czerwca do 20 września. Można do nich dotrzeć wyciągiem z Madonny di Campiglio i dalej ruszyć na trekking.



Świstak alpejski wydaje charakterystyczny głośny gwizd, by ostrzec inne osobniki przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

że po omacku szukałam w plecaku czołówki. Na szczęście nie tylko ja wpadłam na pomysł, by przywitać dzień z Mozartem, więc dookoła robiło się coraz gęściej od festiwalowych gości, których zwoziła kolejka. Przede mną był ok. 5-kilometrowy szlak Sentiero delle Palete, który miał mnie zaprowadzić do płaskowyżu Prà Castron di Flavona. Nałożyłam więc latarkę na czoło i ruszyłam w drogę – jednak ta okazała się wcale nie taka prosta. Momentami kierunek wyznaczały śliskie garby kamieni, musiałam schodzić też po skalnych półkach, by za chwilę wdrapywać się na kolejne. Coraz wyraźniej widziałam swój cel – dolinę wciśniętą między poszarpane szczyty Cima Grostè (2905 m) i Petra Grande (2936 m). Z każdą kolejną minutą robiło się coraz piękniej. Z oddali dochodziły dźwięki skrzypiec, wiolonczeli i klarnetu – muzycy amsterdamskiej Camerata Royal Concertgebouw Orchestra zaczynali się stroić. Ale prawdziwe widowisko rozgrywało się na niebie, które zmieniało kolor z czarnego, przez fioletowy, po różowy,

SHUTTERSTOCK, GETTY IMAGES

eprasa.pl a72af8dce1



by ok. godz. 6 powitać słońce i oblać nim cały masyw Dolomiti di Brenta. Gdy dotarłam na polanę, dookoła zespołu siedziała już spora grupa melomanów. Rozłożyłam koc i nagle, jakby na komendę, zapadła cisza. Gdzieś w oddali słychać było tylko świstaki i spadające z gór kamienie strącane przez kozice. Wszyscy w skupieniu cieszyliśmy oczy pięknem gołych grani, gdy nagle rozległa się *Eine kleine Nachtmusik*, a mnie ciarki przeszły po plecach. Muzyka popłynęła po bezkresnej dziewiczej, surowej przestrzeni – tworząc z nią harmonijną całość. Mozart byłby zachwycony tą akustyką.

KOMPRES DLA DUSZY

Jeśli zaczyna się dzień o 4 nad ranem, w dodatku takim widowiskiem, trzeba się jakoś uspokoić. A z Madonny di Campiglio prowadzi kilka szlaków Dolomiti Natural Wellness. Moja przewodniczka Catarina wybrała dla nas kilkukilometrową trasę nr 7 w dolinie Brenta (do chaty Pra de la Casa, przez Malga Brenta Bassa), której zwieńczeniem miał być wodospad rzeki Sarki. Rozległa polana poprowadziła nas do lasu. – Teraz zdejmij buty i skarpety, stań w lekkim rozkroku, weź głęboki oddech, podnieś ręce do góry i zamknij oczy. Wystarczy. A teraz energicznie pocieraj dłonie o siebie, dotknij policzków, podejdź na palcach do drzewa, przytul się – robiłam dokładnie to, o co prosiła Catarina. Kilkadziesiąt metrów dalej czekała na nas Sarca – lodowata woda okazała się idealnym kompresem dla stóp i jakkolwiek to brzmi – dla duszy. Całkiem jak muzyka Mozarta.■

eprasa.pl a72af8dce1



Widok na dolinę Ropojana w Czarnogórze, która jest punktem startowym dla wędrowców kierujących się w stronę Gór Przeklętych w Albanii.



TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

GÓRY PRZEKLĘTE

NIEGDYŚ GÓRY PÓŁNOCNOALBAŃSKIE PRZYCIĄGAŁY ŚMIAŁKÓW I ZBIEGÓW, A DZIŚ MIŁOŚNIKÓW WĘDRÓWEK.



Nawet nie zauważyłem, kiedy znalazłem się w Albanii. Powolnym krokiem zszedłem po stromych ścianach doliny Ropojana w Czarnogórze, by trafić na ścieżkę przecinającą przełęcz. Przystanąłem dla złapania oddechu i mój wzrok wyłowił spomiędzy głazów betonową konstrukcję w kształcie grzyba – niechybne świadectwo na to, że znalazłem się już w Albanii. Fakt przekroczenia granicy może tu piechurowi łatwo umknąć. Góry Północnoalbańskie, nazywane Przeklętymi (należące do pasma Gór Dynarskich), to wciąż jeden z najbardziej odizolowanych rejonów. Pokonanie wielu tutejszych dróg wymaga auta z napędem na cztery koła, a do niektórych wiosek można dotrzeć wyłącznie pieszo lub konno. Linia oddzielająca Czarnogórę i Albanię została rozrysowana w górach, co sprawia, że ścisła ochrona granicy jest w zasadzie niemożliwa. Mieszkańcy swobodnie ją przekraczają niemal każdego dnia, pędząc stada krów lub wędrując z wioski do wioski. W takich miejscach bardziej niż narodowość liczy się przynależność do regionu, wielopokoleniowe zażyłości i powiązania rodzinne. Kwestia tożsamości rozmywa się gdzieś pomiędzy kamienistymi ścieżkami, dolinami i leśnymi zagajnikami.

Theth okazuje się uroczym miejscem pełnym drewnianych i kamiennych domów i z niewielkim kościołem.



Börek (byrek) to tradycyjne bałkańskie danie z cienkiego warstwowego ciasta filo, które nadziewa się serem i szpinakiem.

NA GÓRĘ!

Przyglądałem się betonowemu bunkrowi ukrytemu pomiędzy głazami. Te konstrukcje kazał wznieść Enver Hodża, dyktator rządzący Albanią od końca II wojny światowej aż do lat 80. ubiegłego wieku. Owładnięty obsesją obrony przed wyimaginowanym wrogiem Hodża postanowił rozsiać po całym kraju tysiące bunkrów, w których naród miał przetrwać ewentualny atak na państwo. Ten jednak nigdy nie nastąpił, Hodża w końcu zmarł, a izolowana wcześniej od świata Albania zaczęła podążać w kierunku gospodarki otwartego rynku. Bunkry jednak pozostały – w większości nigdy nieużyte – sukcesywnie niszczejąc. Gdy natykam się na nie pośrodku wysokich, niemal bezludnych gór, wyglądają wyjątkowo absurdalnie. Lepszą kryjówką byłyby tu same doliny i szczyty niż żelbetonowe grzybki. Od kilku dni przemierzam tę przestrzeń ledwo zaznaczonymi szlakami, niosąc

ARCHIWUM

eprasa.pl a72af8dce1



Szlak łączący Valbonë z Theth prowadzi przez serce Gór Przeklętych.



Most linowy nad rzeką w dolinie Valbonë. Tego typu konstrukcje są niezbędne do komunikacji w trudno dostępnych rejonach północnej Albanii.



Tradycyjny kamienny dom w dolinie Valbonë.

eprasa.pl a72af8dce1



Szmaragdowe wody rzeki Shala w Parku Narodowym Theth.

plecak i lekki namiot. Po przekroczeniu czarnogórsko-albańskiej granicy odbijam na wschód, by od północnej strony okrążyć najwyższy szczyt tego pasma, sięgający 2644 m n.p.m. Maja e Jezercës. Mijam Runice, Buni Jezercës (gdzie rozbijam namiot nad pięknym niewielkim jeziorem) i dalej wędruję doliną Valbonë aż do Rragamu, gdzie czeka na mnie kemping. Startuję z samego rana. Przede mną 5 km i ok. 1300 m przewyższenia – osiągnięcie celu zajmuje zazwyczaj ok. 5 godz., a odwrót niewiele mniej. Na początku idzie mi całkiem sprawnie, przemykam przez szeroki żleb, by trawiastym zboczem dojść do skalnych bloków. Im wyżej, tym oznaczenie szlaku coraz bardziej rozmywa się jednak w niebycie, aż w końcu sprowadza się do ułożonych z kamieni kopczyków. Co jakiś czas wspomagam się nawigacją, mijając szczeliny, aż docieram do skalnej ściany, na którą muszę wejść, chwytając się stalowej liny. Gdy w końcu jestem na szczycie – będącym w rzeczywistości długą granitową granią zwieńczoną krzyżem – czuję już każdy mięsień w ciele. Zostawiam wpis w księdze pamiątkowej i zmykam w dół. W tę stronę idzie mi szybciej, a gdy docieram na piargi, oddycham z ulgą i zwalniam tempo. Mam teraz przed sobą rozległą panoramę na dolinę Valbonë i jest to widok, który bije na głowę nawet szwajcarskie krajobrazy.

WEJDŹ W MOJE PROGI

Gdy następnego dnia wędruję doliną w stronę Theth, towarzyszące mi w poprzednich dniach poczucie osamotnienia rozmywa się. Na szlaku spotykam grupki wędrowców, z którymi witam się skinieniem głowy lub kilkoma zdawkowymi zdaniami. Kiedy docieram do niżej położonych łąk, sypie się na mnie grad zaproszeń – mieszkańcy gór, licząc na podreperowanie domowego budżetu, gestykulując, namawiają mnie na postój. Proponują ciepły posiłek, szklaneczkę mocnej, pędzonej w domowym zaciszu wódki, podsuwają owoce, podpytują, czy nie chcę zostać na noc. Chętnie przyjmują drobną opłatę, ale w tych namowach więcej jest wrodzonej gościnności niż biznesowego zmysłu. To przyjemne spotkania upływające w swobodnej atmosferze mimo dzielącej nas bariery językowej. Opuszczenie progów ich domów okazuje się wyzwaniem – jedzenie jest smaczne, napitków pod dostatkiem, a nogi odpoczywają – chcąc jednak gdziekolwiek dotrzeć, muszę się zmuszać do podjęcia dalszej podróży. Theth, w którym pojawiam się po pięciu dniach od rozpoczęcia trekkingu, okazuje się uroczym miejscem pełnym drewnianych i kamiennych domów, z przyciągającym wzrok niewielkim kościołem o pojedynczej iglicy. Jeszcze kilka lat temu ta wioska była trudno dostępna, a zimą zwały śniegu potrafiły odciąć ją na całe tygodnie od świata. W 2021 r. wątłą drogę zamieniono jednak w pas gładkiego asfaltu i do miejscowości

ARCHIWUM

eprasa.pl a72af8dce1



Zbudowany w 1892 r. kościół w Theth to najbardziej rozpoznawalny zabytek tej górskiej wioski.

eprasa.pl/a/zaBuce



Wodospad Grunasi w Parku Narodowym Theth spada z 25-metrowej wapiennej skały, tworząc u jej podnóża turkusowe jezioro.

eprasa.pl a72af8dce1

Góry Przeklęte należące do pasma Gór Dynarskich to wciąż jeden z najbardziej odizolowanych rejonów w Europie.



Psy pasterskie na przełęczy w dolinie Ropojana. W tym regionie Gór Dynarskich zwierzęta te od pokoleń towarzyszą pasterzom przy wypasie stad.

ARCHIWUM

można teraz dojechać nawet lokalnym autobusem z miasta Szkodry. Wioska straciła na kameralności, zmiany przyniosły jednak szansę rozwoju, a mieszkańcom zarobku. Theth stała się dogodną bazą wypadową dla miłośników trekkingu. Dla mnie jest ostatnim punktem wędrówki, zostaję tu jednak jeszcze trzy dni, by mięśnie nóg miały czas powrócić do formy. Wybieram się w tym czasie tylko na krótkie wycieczki – godzina spaceru dzieli wioskę od wodospadu i wąwozu Grunasi. Kaskada wody spada tu z wysokości 25 m, zmieniając się w staw, nad którym unosi się mgiełka drobnych kropli. Przy odrobinie szczęścia, gdy promienie słońca padną z ukosa, można zobaczyć, jak zamieniają się one w rozświetloną rozedrganą tęczę. ■



eprasa.pl a72af8dce1



TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

NA DACHU BORNHOLMU

SZLAK WOKÓŁ WYSPY TO IDEALNA TRASA DLA TYCH, KTÓRZY CHCĄ DOPIERO WEJŚĆ W ŚWIAT PIESZYCH WĘDRÓWEK.

Ruiny Hammershus, największej średniowiecznej twierdzy w Europie Północnej, wzniesionej w XIII w.

eprasa.pl a72a8dce1



Dwóch mężczyzn nurkuje w spowitej dymem komnacie, by po chwili wychynąć z niej, tocząc wózek z kratownicą obwieszoną złocistymi rybami. To wędzone śledzie, zwane tu bornholmerami, jeszcze ciepłe i snujące zapach, od którego może pomieszać się w głowie. Jest ledwo po dziesiątej rano i choć nie mam zwyczaju pałaszować ryb na śniadanie, tym razem nie waham się nawet chwili. Kupuję razowy chleb obsypany pokrojoną w plasterki rzodkiewką, posiekanym koperkiem i zwieńczony kilkoma ziarnami grubej soli, do tego dwa śledzie i z drewnianej ławy przed wędzarnią obserwuję napływających gości, szerokie kominy w kształcie piramid wieńczące dach i ruch promów zmierzających na pobliską wyspę Christiansø. Ryba zostawia na opuszkach palców tłuste ślady, a ja muszę przemawiać sobie do rozsądku, żeby choć przez chwilę wstrzymać się, zanim pobiegnę po drugą porcję. Mój apetyt wziął się z ruchu. Na Bornholm, duńską wyspę na Bałtyku leżącą 100 km od polskiego wybrzeża, wybrałem się, by przebyć pieszy szlak Kyststien zataczający pętlę wzdłuż wybrzeża. Mająca ok. 120 km długości trasa jest z pewnością najbardziej znanym, choć nie jedynym szlakiem na wyspie. Dobrze oznakowana, stosunkowo łatwa, podzielona na 7–9 odcinków (choć oczywiście w tej kwestii ma się pełną dowolność), a przede wszystkim zapewniająca nieprzerwany potok majestatycznych widoków. Wyruszenie w tę wędrówkę oznacza, że niemal przez cały czas ma się w zasięgu wzroku morze. Kyststien jest jednak przede wszystkim doskonałą opcją dla osób, dla których trekking nie jest już aktywnością zupełnie obcą, ale które wciąż mają obawy przed wyruszeniem w długą i trudną podróż. Trasa naokoło Bornholmu okazuje się świetnym preludium do wejścia w świat wędrowców – ma optymalną długość, na jej przejście nie trzeba rezerwować miesiąca czy dwóch, biegnie przez obszary z dobrą infrastrukturą i nigdy nie jest nudna.

Południowa część szlaku przecina jedną plażę za drugą. Przerywnikiem są jedynie lasy sosnowe.



Słynny bornholmski śledź najlepiej smakuje z lokalnym piwem, tworząc duet będący kulinarną wizytówką wyspy.

GONIĄC UTOPIĘ

Co kilka kroków trafia się na takie punkty, jak wędzarnia Hasle, które sprawiają, że spacer przestaje być pokonywaniem kolejnych kilometrów, a staje się przepustką do

ADOBE STOCK, GETTY IMAGES, C. ZALTENBACH/VISITDENMARK.S.ASP/VISITDENMARK; POPRZEDNIE STRONY: VISITDENMARK

eprasa.pl a72af8dce1



Charakterystyczne białe budynki wędzarni ryb z dużymi kominami to nieodłączny element krajobrazu Bornholmu.



Opalsøen (Jezioro Opalowe) to turkusowy zbiornik wodny, który powstał w wyniku zalania dawnego kamieniołomu granitu.



Drewniane schody prowadzące do Jons Kapel (Kaplicy Jana) pozwalają dotrzeć do stóp 22-metrowej pionowej skały.

eprasa.pl a72af8dce1

wrażeń wypełniających cały dzień. Opracowana na wyspie technika wędzenia ryb sprawiła, że wiele starych chat rybackich wciąż działa, nawet gdy poziom połowów dawno już spadł. Jedno pozostało niezmienne – w lokalnych wędzarniach, zwanych tutaj røgeri, przygotowuje się ryby pochodzące z porannego połowu, wyłącznie gatunki występujące w Bałtyku, nie ma tu mowy o sprowadzanych z Morza Północnego halibutach czy łososiach. Jak to często bywa na wyspach, mieszkańcy żyją tym, co oferuje im natura w najbliższym otoczeniu. Wyruszyłem z Rønne, jak większość piechurów, bo to właśnie tu docierają promy przywożące gości na wyspę. Z lekkim plecakiem i dwoma butelkami wody skierowałem się na północ, prąc pod wiatr, który nigdy tu w zasadzie nie gaśnie, czasem tylko litościwie zmienia kierunek, by popchnąć cię trochę w plecy. Mieszkańcy wyspy zaprzęgli go do własnych celów – już dziś całość zużywanej energii pochodzi ze źródeł odnawialnych, choć na razie część importowana jest ze Szwecji. Na morzu powstaje jednak potężna farma wiatrowa, która w 2040 r. zapewni Bornholmowi energetyczną samowystarczalność. Jakby tego było mało, do 2032 r. na wyspie ma się poddawać recyklingowi (lub ponownemu wykorzystaniu) dosłownie każdy odpad – jeżeli się to uda, Bornholm osiągnie, zdawałoby się, utopijny cel bycia wolnym od śmieci.

POWRÓT NATURY

Po pierwszym, dość swobodnym dniu wędrówki drugi etap testuje moje siły. Teren jest nierówny, a szlak, oznaczony tabliczkami z białym ludzikiem, to opada się, to wznosi, rozciągając się tego dnia niemal na 20 km. Wędrówka nigdy nie staje się jednak nużąca – gdy przystaję co jakiś czas na moment, by wyrównać oddech, zawieszam wzrok na błękitnej plamie Bałtyku, drobnych zabudowaniach rybackich wiosek,



Klify Helligdomsklipperne (Święte Skały) są najbardziej malowniczym fragment północno-wschodniego wybrzeża Bornholmu.

ADOBE STOCK





smukłych pniach liściastych drzew. Droga kluczy, wspinając się na klify, by w końcu opaść ku kamienistej plaży, zaraz za nadmorskim miasteczkiem Vang. Wcześniej jednak przysiadam na drewnianej ławie w dawnym kamieniołomie Vang Granitbrud. Pod koniec XIX w. tutejsze zbocza zaczęto rozłupywać w poszukiwaniu granitu – kamień stąd trafiał między innymi do Kopenhagi, gdzie wzniesiono z niego ratusz oraz budynek Muzeum Narodowego. Kopalnię zamknięto w 1996 r., gdy pikujące ceny surowca pozbawiły całe przedsięwzięcie sensu ekonomicznego. Pozostały wyryte w skałach szczeliny, wąwozy, pęknięcia. Natura szybko zaczęła proces leczniczy, zabliźniając rany w krajobrazie. Powróciła gęsta roślinność, skalne ściany z czasem stały się ciemniejsze, jedynie proste geometryczne cięcia przypominają, że była tu niegdyś kopalnia. Aktywiści z RealDenmark i Mulighedernes Land uczynili z tego miejsca przestrzeń aktywności na otwartym powietrzu. Wytyczyli szlaki, postawili wiaty i wyznaczyli miejsca piknikowe. Opracowano kilka tras wspinaczkowych. Ludzie przychodzą tu teraz nie po to, by modyfikować krajobraz i wydzierać ziemi kamienne skarby, lecz by odpocząć i spędzić kilka chwil w bliskości z naturą.

Wybrałem się na pieszy szlak Kyststien zataczający pętlę wzdłuż wybrzeża.



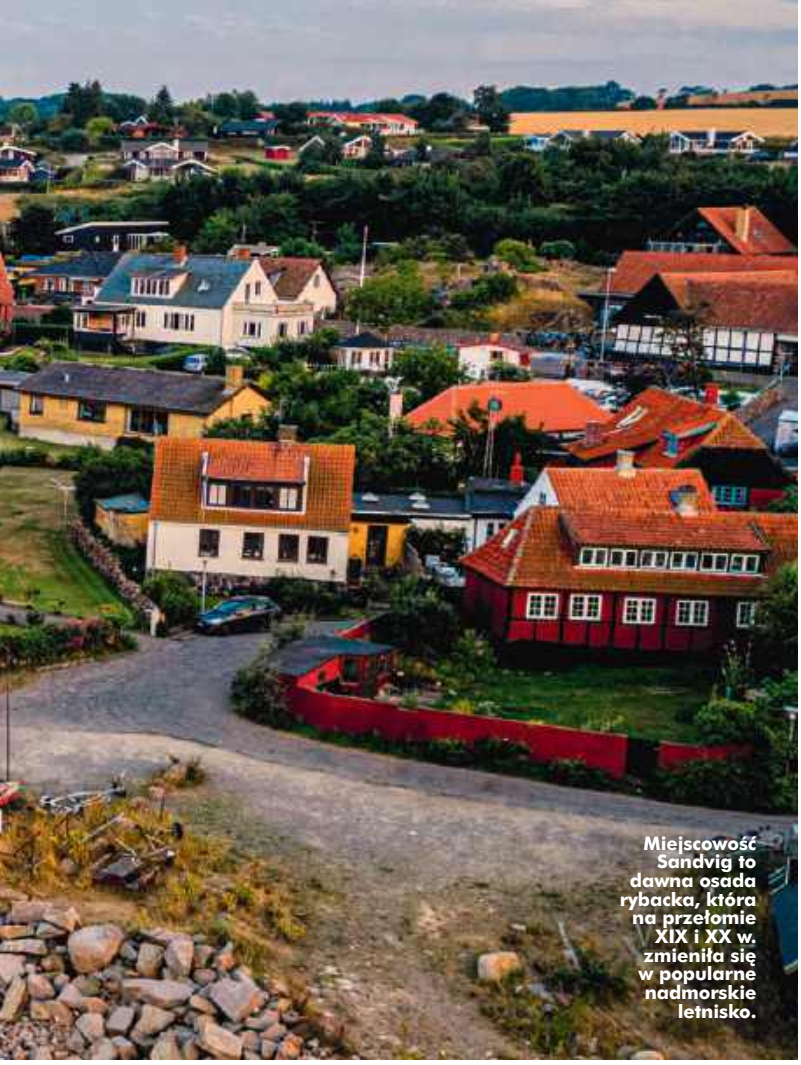
Wiejski krajobraz Bornholmu w czerwcu wypełniają pola zbóż usiane chabrami.

DACH BORNHOLMU

Któregoś wieczora, po przecięciu korony klejących się do morza klifów, docieram do punktu Snogebæk leżącego pomiędzy dwiema długimi plażami. W czerwonej chatce rybackiej urządzono pub Sørens i od jego otwarcia w 1972 r. miejsce każdego dnia przyciąga mieszkańców z okolicznych miejscowości. Przysiadam na zewnątrz, otulony łuną kolorowych lampek rozwieszonych

GETTY IMAGES (2), M. GREGERSEN/VISITDENMARK

eprasa.pl a72af8dce1



Miejscowość Sandvig to dawna osada rybacka, która na przełomie XIX i XX w. zmieniła się w popularne nadmorskie letnisko.



Røverborgen, czyli Zamek Zbójców, to imponująca formacja skalna na nadmorskim szlaku w okolicach Gudhjem.

przed wejściem, zamawiam szklankę piwa i patrzę na muzyków rozstawiających się na prowizorycznej scenie. Występy na żywo stały się tradycją pubu i trwają zwykle od dwudziestej aż do północy. Nawet wtedy jednak pub nie zamyka drzwi – zabawa trwa do rana. W naturalności tego miejsca jest coś ujmującego, nieliczni przyjezdni witani są przez społeczność z otwartymi ramionami, a pod wpływem muzyki, a pewnie i alkoholu, słynna skandynawska powściągliwość rozpływa się niczym mgła. Być może dlatego kilka godzin później wywijam ciężkim młotkiem, biorąc udział w rywalizacji, która stała się tradycją Sørens – wbijaniu na czas gwoździ w deskę. Zasady są proste: trzeba zrobić to po prostu szybciej niż inni. No cóż, nie wygrywam... Południowa część szlaku przecina jedną plażę za drugą. Przerywnikiem są lasy sosnowe, w które wpadam, by napełnić płuca aromatem żywicy i szyszek i po chwili znów dotrzeć do białego pasa piachu. Wędrówka staje się spokojna, jest płasko i nawet wiatr cichnie. Na moment odbijam od brzegu w kierunku Dueodde Fyr – najwyższej latarni morskiej w Danii, mierzącej 48 m, i jednej z wyższej w Europie. Sześciokątna budowla wyrasta spośród sosen, wyglądając niczym ogromny wbity w piach ołówek. Zautomatyzowana latarnia w sezonie otwarta jest dla zwiedzających. Po zapłaceniu 10 koron otwiera się przede mną 196 stopni, które doprowadzą mnie na dach Bornholmu – do szerokiej zewnętrznej galeryjki otaczającej pomieszczenie z laterną. Z tej wysokości nic nie ogranicza spojrzenia, przed oczami otwiera się cały tutejszy świat – wyspa, plaże, ogrom Bałtyku, punkty przesuwających się po falach statków handlowych i żaglowych jachtów. Gdy schodzę, wracam na plażę o niewiarygodnie jasnym piachu. Przez wieki używany on był do wypełniania klepsydr. Produkcja mechanicznych czasomierzy jest dziś już tylko fanaberią. Dużo lepiej radzą sobie szklarze – dostępność kwarcowego surowca uczyniła z wyspy hutnicze centrum północnej Europy. W niewielkich pomieszczeniach rzemieślnicy artyści, dmuchając w długie piszczele, wyczarowują szklane kształty, krągłości, uszka, dzióbki. Ten fach wciąż jest w cenie, tak jakby mieszkańcy Bornholmu postanowili zignorować tanie produkty napływające z dalekiej Azji, udowadniając w ten sposób, że potrafią docenić to, co lokalne, co znajduje się w zasięgu ręki. Być może zresztą to jeden z sekretów sztuki życia, którą Duńczycy opanowali do perfekcji, stając się jedną z najszczęśliwszych nacji na świecie. ■

eprasa.pl a72af8dce1



TEKST **SERGIUSZ PINKWART**

ZAKOSAMI NA SZCZYT

TREKKING NA SLÆTTARATINDUR, NAJWYŻSZĄ GÓRĘ WYSP OWCZYCH, TO WYZWANIE. PROBLEMEM JEDNAK NIE JEST WYSOKOŚĆ, A... ELFY.

Widok z wyspy Eysturoy na wijący się między stromymi zboczami fiord Funningur ukazuje typowy dla archipelagu krajobraz polodowcowy.




Tradycyjne domy kryte są darnią. Na zdj.: kawiarnia Paname w historycznym centrum Tórshavn.

Język farerski, którym posługują się mieszkańcy Wysp Owczych, brzmi, jakby ktoś złośliwie tarł szybę styropianem. Dlatego na życzliwe pozdrowienie wygłoszone z uśmiechem przez starego brodacza reaguję jedynie bezradnym uśmiechem. Stoimy na bardzo wąskiej i właściwie niemal niewidocznej ścieżce wijącej się zakosami po

Risin i Kellingin, czyli Wiedźma i Olbrzym. Według kolejnej mrocznej legendy to skamieniałe, złośliwe trolle.


Suszone na tradycyjnych drewnianych konstrukcjach ryby są jednym z przysmaków na Wyspach Owczych.

piarżystym zboczu, jakieś 200 m pod wierzchołkiem najwyższego szczytu Wysp Owczych – Slættaratindura. Mężczyzna przechodzi z farerskiego na angielski, ale szorstki akcent pozostaje i mam wrażenie, że rozmawiam z warsztatem ślusarskim.
– Ile masz lat? – pyta, jakby to miało jakieś znaczenie. – Czterdzieści pięć.
Kilka kamieni osuwa się, potrącając po drodze kolejne. Odprowadzam wzrokiem solidną lawinę, która z hurgotem pędzi 300 m w dół.
– Siadaj obok mnie. Opowiem ci historię, która może zachęci cię, żebyś jak najszybciej zawrócił i nie wracał tu przed siedemdziesiątką...

POMIĘDZY NORWEGIĄ A ISLANDIĄ

Nie mam zamiaru ryzykować siadania na ruchomych kamieniach. Nie po to przetrwałem w jako takim zdrowiu prawie pół wieku, żeby teraz narażać życie, bo lokalnemu Sabale zachciało się pogawędki. Za to z przyjemnością złapię chwilę oddechu. Bo choć wspinaczka na najwyższy szczyt Wysp Owczych nie powinna zająć średnio wysportowanemu turyście więcej niż półtorej godziny, to nie należy do najłatwiejszych trekkingów na świecie. Zresztą z tego miejsca, jakieś 200 m pod szczytem, już całkiem dobrze widać panoramę tego niewielkiego, ale głośnego archipelagu. Jesteśmy mniej więcej w połowie drogi pomiędzy zachodnim czubkiem Norwegii a Islandią. 250 km pustego Atlantyku oddziela nas od północnej Szkocji. Tu krzyżują się różne prądy – również kulturalne. Z obywatelami Wielkiej Brytanii łączy Farerów namiętność do piłki nożnej. Z Norwegami dzielą pamięć o pierwszych osadnikach, którzy przybyli tu w IX w., ale już od XIV w. Wyspy Owcze są częścią Danii. Choć zaznaczyć od razu trzeba, że Dania należy do Unii Europejskiej, a Wyspy Owcze – już nie. Nie musimy jednak, jako Europejczycy, martwić się o wizy. Farerzy z pewnością przyjmą nas gościnnie i podpowiedzą, jak odnaleźć szlak na Slaettaratindur.

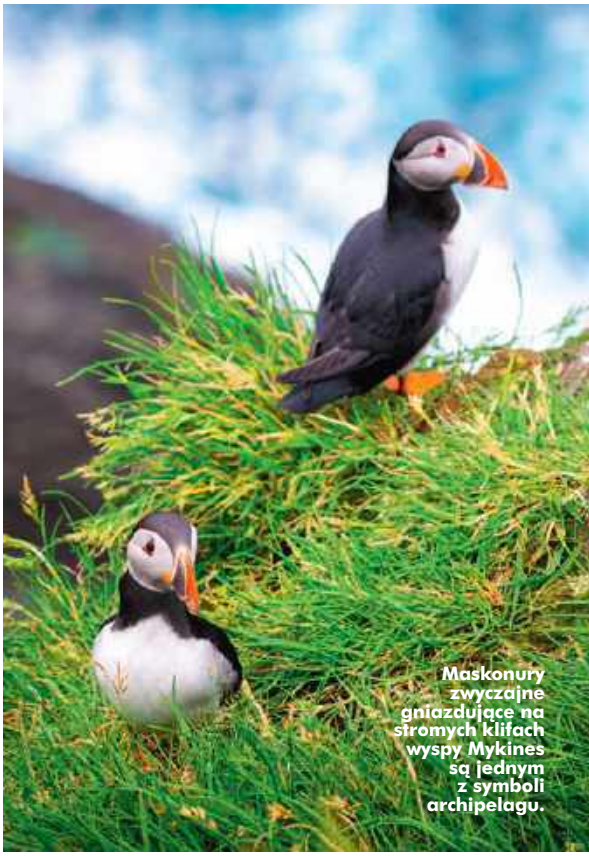
OWCA MA ZAWSZE RACJĘ

Bo trzeba wiedzieć, skąd zaczyna się szlak. Eysturoy – tak jak wszystkie wyspy archipelagu, przypomina czubki Tatr Wysokich wystające z morza. Wąska asfaltowa dróżka wije się wśród stromych wzgórz pokrytych rachityczną trawą. Jechać trzeba wolno, bo za co drugim zakrętem na asfalcie wylegują się owce. Wyspy

SHUTTERSTOCK(3), POPRZEDNIE STRONY ADOBE STOCK

eprasa.pl a72af8dce1





Maskonury zwyczajne gniazdujące na stromych klifach wyspy Mykines są jednym z symboli archipelagu.



Ólavsoka to najważniejsze święto narodowe na Wyspach Owczych, obchodzone w lipcu na cześć świętego Olafa, norweskiego króla Olafa Haraldssona II.

eprasa.pl a72af8dce1



Osada Gjógv słynie z naturalnego portu ukrytego w głębokiej na 200 m skalnej szczelinie.

Owcze to bardzo adekwatna nazwa dla archipelagu, na którym owiec jest dwa razy więcej niż mieszkańców i z jakiegoś nieznanego powodu uważają, że najsmaczniejsza trawa rośnie na poboczu dróg. Dlatego nie ma co się rozpędzać bardziej niż 50 na godzinę i trzeba zachować czujność, bo zgodnie z prawem „owca ma zawsze rację", a mandat za kolizję ze zwierzęciem – nie mówiąc już o kosztownej naprawie auta – będzie bardzo dotkliwy. A zatem jak tu trafić? Mniej więcej w połowie drogi pomiędzy miejscowościami Eiði (wym.: Eji) i Gjógv (Dziokw) na poboczu szosy jest mały spłachetek wydeptanej trawy. To parking, na którym trzeba się zatrzymać. Nie ma tu ani jednego znaku, ale miejsce jest dość charakterystyczne. Po jednej stronie mamy trzy potężne szczyty, które – jak się wydaje – sięgają nieba. Po drugiej jest płotek, nad którym jest przerzucona drabinka i niemal niewidoczna ścieżka powoli pnie się w stronę nieodległych skał. Pozory mylą, bo szlak na najwyższy szczyt Wysp Owczych to właśnie ta niemal niewidoczna ścieżka, a trzy „giganty" po drugiej stronie asfaltu są jednak niższe od Slaettaratindura, choć pięknie komponują się na zdjęciach. Żeby dostać się na ścieżkę, trzeba przejść po drabince nad ogrodzeniem (drut pod niskim napięciem, żeby

eprasa.pl a72af8dce1



ADOBE STOCK

odstraszyć owce). Potem jest fragment wznoszący się łagodnie, ale po piętnastu minutach wędrówki droga nagle staje dęba i posuwamy się po chybotliwym piargu niemal pionowo w górę. Rachityczna trawka rosnąca na spłachetkach nachylonych półek nie daje oparcia stopom. W pewnym momencie wąska ścieżka rozpływa się w dziesiątkach wypłukanych przez deszcz płytkich, gliniastych wąwozów. Trzeba przejść kilkadziesiąt metrów po chybotliwych kamieniach, by znów trafić na efemeryczny szlak. Wysokość Slaettaratindura – 882 m n.p.m. – nie budzi większych emocji, ale do pokonania jest prawie 400 m w pionie po osypującym się piargu. A sprawę utrudniają siły nadprzyrodzone...

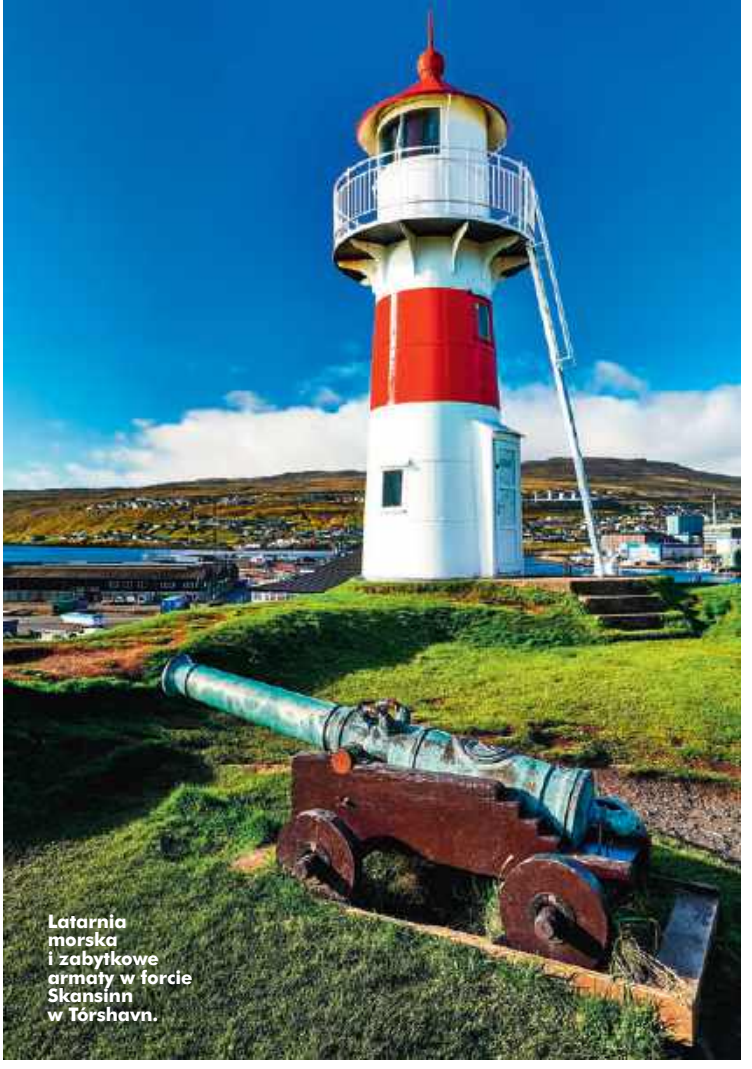
ELFY WALCZĄ O ZŁOTO

Asvaldur – mój samozwańczy towarzysz wspinaczki – życzliwie dzieli się ze mną legendą, według której przed wiekami ukrytego na szczycie złota strzegły dobre elfy. Któregoś razu podstępnie wdarła się na wierzchołek rodzina złych elfów i zabiła dotychczasowych strażników. Część skarbu ukryła w pobliskim fiordzie i zamieszkała – by go pilnować – w wiosce Funningur u stóp góry. Najpierw jednak udali się do stolicy, Torshavn. I tam, w małym czerwonym domu koło portu, weszli do fryzjera. Cyrulik, widząc włochate, złe stwory, zdębiał. Ale jak na profesjonalistę przystało, zgodził się za złote monety ucharakteryzować elfy na ludzi. Usadził na fotelu kolejno: dziadka elfa, babcię, ojca, matkę i trójkę złych małych elfików. Ogolił ich, obciął ogony i po tej operacji nie różnili się już zbytnio od ludzi. Mogli zamieszkać w Funningurze i strzec skradzionego złota. Jednak gdy zapadają ciemności, można było zauważyć, że elfy poruszają się jak nieludzie. I dlatego nasz Farer po zmroku stara się omijać Funningur, a jeśli musi tamtędy przejechać, to rozgląda się bardzo uważnie i ze strachem przygląda poruszającym się po drodze cieniom. To jednak nie koniec. Bo w sumie co by nas miały obchodzić bandyckie porachunki pomiędzy elfami. Problem w tym, że złe stwory rzuciły na Slaettaratindur urok. Każdy młodzieniec, który poważy się wedrzeć na szczyt, powróci w doliny jako siwy jak gołąbek staruszek. Wizja nagłej starości skutecznie odwodzi Farerów od trekkingu na najwyższy szczyt archipelagu. No, ale w pewnym wieku starość już tak nie przeraża, podobnie jak perspektywa próchnicy, więc po zjedzeniu tabliczki czekolady wyruszamy razem w stronę nieodległego już wierzchołka. Po wejściu na grań droga znacznie się poprawia. Zamiast piargu mamy litą skałę wulkaniczną. Jeszcze tylko kilka minut i jesteśmy na szczycie. Slaettaratindur to rzeczywiście płaska góra. Można byłoby na wierzchołku grać w piłkę, gdyby nie otaczające nas z każdej strony pionowe ściany.

eprasa.pl a72af8dce1



Owce farerskie to rasa unikalna, zdolna przetrwać ekstremalne warunki pogodowe.



Latarnia morska i zabytkowe armaty w forcie Skansinn w Tórshavn.

Stary Farer patrzy zadumany i pewno żałuje, że przez tyle lat omijał tak wspaniały szczyt. Widok jest zachwycający. Można stąd ogarnąć wzrokiem niemal cały archipelag 18 wysp sterczących wprost z oceanu. Aż szkoda, że z tej wysokości nie możemy dostrzec tysięcy maskonurów – pięknych ptaków przypominających połączenie pingwina i papugi. Są jednym z symboli wysp na północnym Atlantyku. Z roku na rok ich populacja się kurczy, ale większość turystów przybywających latem na Wyspy Owcze obserwację maskonurów ma wysoko na swojej liście priorytetów. Widać za to dwa pionowe głazy, które stoją samotnie u wybrzeży Eysturoy. To Risin i Kellingin, czyli Wiedźma i Olbrzym. Według kolejnej mrocznej legendy to skamieniałe trolle, które złośliwie chciały zaciągnąć archipelag do swojej rodzinnej Islandii. Wschodzące słońce zaskoczyło je w połowie drogi i tak Wyspy Owcze pozostały na samym środku Atlantyku. Widać w tej opowieści kompleksy Farerów wobec większej i bardziej znanej Islandii. Ma to swoje uzasadnienie. Słynne islandzkie swetry, które w Danii noszą zawodowi żołnierze, są robione z wełny farerskich owiec – superwytrzymałej, nieprzemakalnej, ultralekkiej i superciepłej. To nie koniec. Gdy w 1944 r. Islandia, z poparciem Wielkiej Brytanii, ogłosiła niepodległość od Danii, Wyspy Owcze bardzo chciały pójść tym samym tropem. Ale Winston Churchill ostudził ich zapał – doszedł do wniosku, że tak mały kraj nie ma racji bytu. Wszyscy też chwalą Islandię za Althing – najstarszy i najdłużej działający parlament w Europie. Tymczasem farerski Løgting zainaugurował swoją działalność na Wyspach Owczych w 825 r. – ponad sto lat wcześniej niż parlament na Islandii.

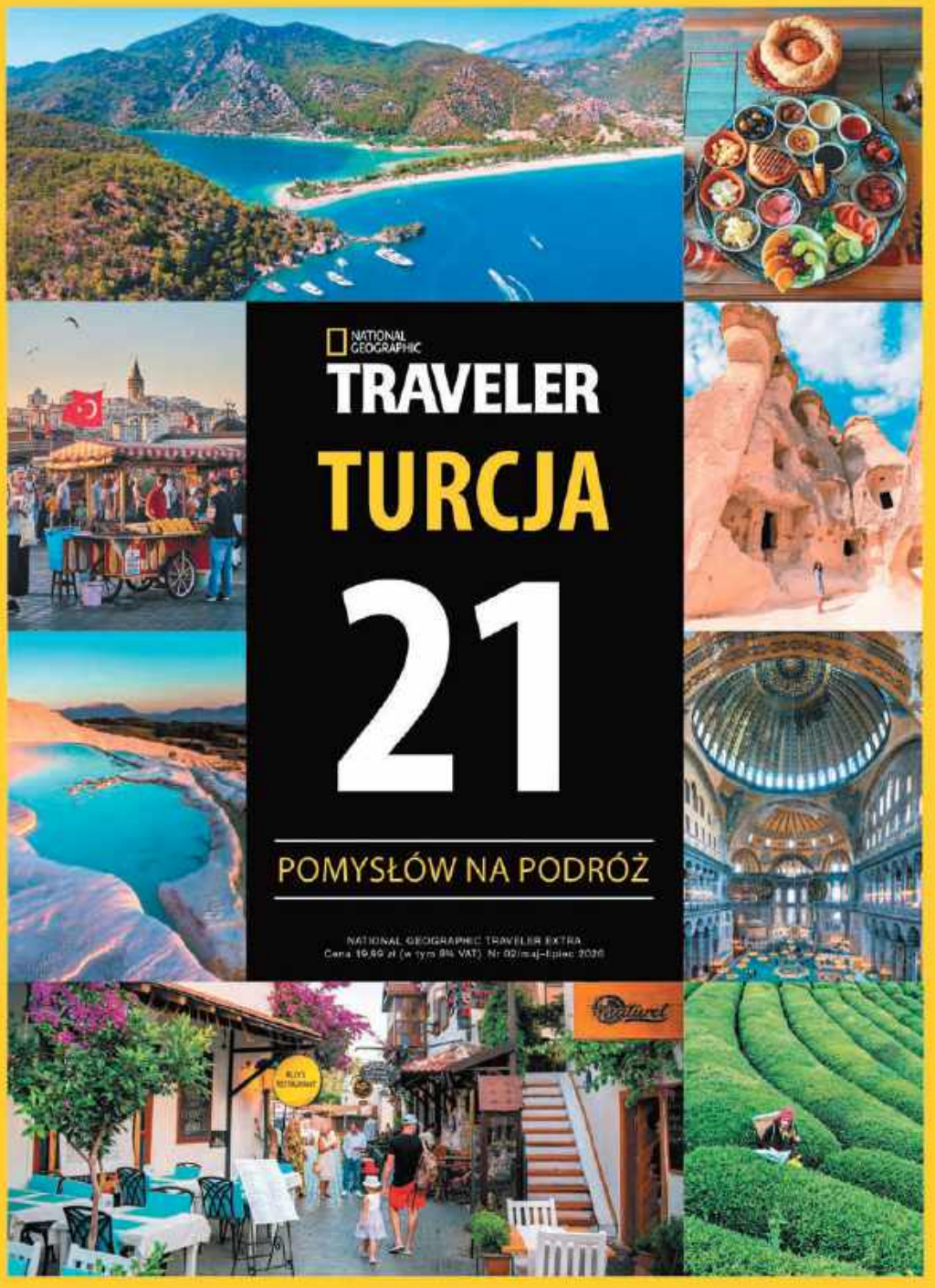
WYSPY NA GOLFSZTROMIE

Słońce jeszcze praży, ale na horyzoncie już zbierają się chmury. Trzeba wracać, bo pogoda na Wyspach Owczych potrafi się zmienić w mgnieniu oka. Taki jest urok archipelagu, który leży dokładnie na trasie Golfsztromu – ciepłego prądu morskiego biorącego swój początek na Morzu Karaibskim a koniec na północnym Atlantyku. Zejście wcale nie jest łatwiejsze. Kilka razy potykam się na piargu. Przewracam się na mokrej glinie, ale jakimś cudem nie staczam się w przepaść. Po powrocie do domu patrzę z niepokojem w lustro. Straszy mnie spalona słońcem, czerwona twarz. Zapomniałem kremu, a pogoda dziś w górach mojej skóry nie oszczędzała. To na pewno przez te złośliwe elfy. ■

ADOBE STOCK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a72af8dce1

JUŻ W SPRZEDAŻY!



Zamów magazyn na kultowy.pl

www.national-geographic.pl natgeopl

NOWY CYKL WIDEOPODCASTÓW
NATIONAL GEOGRAPHIC POLSKA



SŁUCHAJ NA SPOTIFY I OGLĄDAJ NA YOUTUBE

www.national-geographic.pl